SZPARGAŁY WIOSENNE

HUMORYSTYCZNO-ARTYSTYCZNE

ZEBRANE PRZEZ

BOCIANÓW POLSKICH.



WARSZAWA,
W DRUKARNI KAROLA KOWALEWSKIEGO, ULICA KRÓLEWSKA № 1065.
1859.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie dnia 25 Marca (6 Kwietnia) 1859 r.

Cenzor, A. FUNKENSTEIN.

SZPARGAŁY WIOSENNE



HUMORYSTYCZNO-ARTYSTYCZNE,

ZEBRANE PRZEZ

BOCIANÓW POLSKICH.

DO SZANOWNEGO PUBLIKUM

UMIEJĄCEGO CZYTAĆ.

Mieszkańcy Warszawy!
Luby kraju cały!
Dla Waszéj zabawy
Niesiem Wam **Szpargały:**
Snop żartów, zebrany
Przez Polskie Bociany!

* * *

Niech słońce pogodne
Od was im zaświeci!
Boć to pierworodne
Wolnych Żartów dzieci,
Które myśl wesoła
Zebrała dokoła!

* * *

By zaś większéj mocy
Były nasze szyki,
Mamy ku pomocy
Wszystkie gadołyki:
Łączą się w téj sprawie
Czaple i żurawie.

* * *

Znajdziecie przykłady,
Jak jaszczurki płaczą,
Jak pełzają gady,
Jak to żaby skaczą,
Urągając cnocie,
W naszém lubém błocie!

* * *

A jeżeli troszka,
Jak się czasem zdarza,
Odsłonim świętoszka,
Szarpniemy lichwiarza:
Toć wszystkim wśród świata
Należy zapłata!

* * *

Gdy wilczą w baranie
Odkryjem naturę,
Lub z osiołka, panie,
Ściągniemy lwią skórę:
Niechże zbyt nie łaje,
Gdy swoje dostaje!

* * *

Jeżeli krytyka,
Zbyt wścibskiego nosa,
Kiedy zazbyt bryka,
Pikniemy z ukosa:
Przyszła taka chwilka,
Że ponieśli wilka!

* * *

A jeśli artystę
O długiéj czuprynie,
Prawdy oczywiste
Kolną w złéj godzinie:
Toż niech cicho siedzi,
By zmilkli sąsiedzi!

* * *

Więc przyjmijcie szczerze,
W kraju i w Warszawie,
Co niesiem w ofierze
Ku Waszéj zabawie:
Więc *snopek*, zebrany
Przez **Polskie Bociany!**



POPRAWA

BŁĘDÓW ORTOGRAFICZNYCH I NIEORTOGRAFICZNYCH.

(wyjątek z życia eleganta prowincjonalnego).

Pan Franciszek Żartopłodzki, Inspektor Gimnazjum Gubernialnego, liczący obecnie czterdziestkę z okładem, należał niegdyś do rzędu pierwszych dowcipnisiów i elegantów w Gubernii; piastując urząd professora literatury polskiéj był kochanym od uczniów i szanowanym od kolegów, pożądanym w towarzystwach, a kobiéty utrzymywały nawet, że na upartego można się było w nim zakochać, ale nie objaśniały, kto nie chciał być upartym: on? czy one?

Rok za rokiem, kilkanaście wesołych latek spędził pan Franciszek, ale latka spędziły świeży rumieniec z jego twarzy, kilka promieni włosów z jego czaszki, zmieniły go na człowieka poważnego, dały mu urząd Inspektora i podsunęły projekt do żeniaczki.

Pewnego pięknego poranku pan Żartopłodzki, wstawszy z rana i ogoliwszy się, dłużéj niż zazwyczaj zatrzymał wzrok swój na zwierciedle; przypatrywał się sobie, wspominał przeszłość, rozważał, jakie czas zrobił w nim odmiany, na końcu podniósł się, uśmiechnął i rzekł: możesz się żenić, Inspektorze!

Rozważywszy rzeczy wszechstronnie, przekonał się, że w jego sercu głębiéj od innych wyryło się spojrzenie panny Cecylii Buśnickiéj, mającéj lat 34 od czasu ujrzenia światła i... nieostatni posażek.

Panna Cecylja była ładną, i to go nie odstraszało; pieszczoną, wszak i on miał ją pieścić; grymaśną, ale on umiał sobie radzić z trzema setkami studentów, więc uśmiechnął się tylko na to wspomnienie.

Szósta godzina wybiła na zegarze u Pijarów, pan Franciszek chodził już ubrany po spacerowym ogrodzie, słuchał kwileń słowika i układał najwłaściwszy sposób wynurzenia swoich afektów.

»Gdybym był studentem,« myślał sobie, »padłbym przed nią na kolana i zawołał: Pani! myślę o tobie, jak o patencie, wzdycham za tobą, jak za ferjami, nie bądź dla mnie tak nieprzystępną, jak grammatyka Butmana, niech na rygałowych twoich licach karminowy błyśnie rumieniec, a usta wyszemrzą pierwszą osobę czasu teraźniejszego: ja kocham!...«

»Ale Inspektor?!...« zadzwoniono na studentów, pan Franciszek przerwał pasmo swych marzeń i poszedł do Gimnazjum.

O godzinie 6 wieczorem, znowu zaczął debatować, ale szło mu już tylko o formy zewnętrzne, t. j. o garnitur w jakim miał wystąpić.

Frak czarny był najwłaściwszym, ale noszono fraki kuse, wcięte, a on przecięż był Inspektorem, nie fircykiem... ha!... włożę vice-mundur... rzekł sobie w głębi ducha p. Franciszek; niech moja najdroższa pamięta, żem się jéj przedstawił jako człowiek poważny, a jako mąż będę się starał utrzymać powagę w domu.

Tego samego dnia oświadczył się p. Żartopłodzki, a we dwa miesiące panna Cecylja została Panią Inspektorową. W pierwszych dniach małżonek był sługą najniższym; ubierał się podług ostatniéj mody, nosił lakierki z wązkiemi szpicami w górę zakrzywionemi na wysokich obcasach; fraczek kusiutki, żaboty, zarękawki, a nawet włosy na dwie strony przedzielone; ale jego Inspektorskiéj mości sprzykrzyły się stroje, zachciało mu się wrócić do naturalnéj, a raczéj właściwszéj skóry i postanowił drugą reformę przywieść do skutku.

W rok po ślubie, pani Żartopłodzka spoczywała snem szczęśliwych, jak dziecię śniące nad przepaścią o ogrodach raju; o wpół do siódméj, jéj małżonek w dawnym vice-mundurze, zbliżył się do jéj łóżeczka, zbudził ją całusem, i rzekł jéj: — Dzień dobry żoneczce!... — Dzień dobry!« odpowiedziała zaspana żonka i odwróciła do ściany główkę aby śnić jeszcze.

— Chciałbym się napić kawy... rzekł znowu pan Franciszek.

— Powiedz pokojówce...

— Przyjemniéjby mi było wypić ją razem z tobą... patrz jaki śliczny poranek! słońce wzbija się coraz wyżéj po tle z różowych obłoków, tak przyjemnie odetchnąć całą piersią, a ty zasypiasz, odtrącasz tak piękne widoki...

— Nie nudźże, mój Inspektorze!... odpowiedziała pani Cecylja.

— Żonka wstać nie chce?...

— Nie!...

— Ale ja proszę!... rzekł dobitnym i stanowczym głosem pan Franciszek.

Zbyt twarde brzmienie téj prośby wywołało łzę która błysła w oczach pani Cecylii.

— Płaczesz!... rzekł delikatnie p. Franciszek; wszak ja pragnę, abyś zawsze była wesołą... — kończąc te słowa, tak silnie objął ją rękami, że rozespaną postawił na ziemi w zupełnym negliżu, a dla otrzeźwienia jéj, przetańczył z nią dwa razy walca.

Po takiéj scenie pani Żartopłodzka musiała się ubrać, wyszła nawet z mężem na mszę do Pijarskiego kościołka, ale wróciwszy do domu, rzekła: — jestem jego niewolnicą!... spać nawet mi niewolno!...

Jak sępy czują, gdzie bitwa zostanie stoczoną, gdzie karm znajdą, tak i młodzi eleganci umieją przeczuć z wyrazu nosa pana męża lub żony, kiedy mogą mieć powodzenie.

Pewien dystyngwowany młodzieniec, kancellista sądu poprawczego, postrach mężów i pogromca piękności prowincjonalnych, mieszkający w tym samym domu na pierwszém piętrze od nieba, powziął zamiar pocieszania pani Cecylii i w słodkim bilecie wynurzył jéj swój afekt.

Pani Cecylja nazwała jego postępowanie zuchwalstwem!... poszła do kuchni rzucić list w ogień, ale nie zrobiła tego, bo kucharka była obecną; chciała go spalić przy świecy, ale nie mogła znaleść zapałki; przeczytała go raz jeszcze i stała się pobłażliwszą, bo pan kancellista pisał tak słodko, tak rzewnie, jak człowiek który cierpi bardzo długo, a w nieszczęściu jesteśmy pobłażliwi dla cierpiących; przytém na imie mu było Agaton!...

Zamiast na ogień, list z drżących rąk przeniósł się za staniczek i spoczął na drżącém łonie pani Inspektorowéj.

Pan Agaton po wysłaniu listu był przez chwilkę w obawie, ale potém myśl o wielkości własnéj dodała mu odwagi. — Jestem piękny! mówił do siebie, bom słyszał to nie raz z ust kobiét; mam rangę Registratora, ale mniejsza o nią; Prezes, Gubernator, cała nasza arystokracja usuwa mi się z drogi, gdy tańczę mazura w resursie... i mogłażby ona być dla mnie obojętną?!...

Po dniu, po wieczorze, nastąpiła noc, i miał miejsce wypadek, że pani Inspektorowa zapomniała na chwilę o liście odebranym, który upadł na dywanik przy jéj łóżku, i dostał się w ręce małżonka!...

Pan Franciszek przeczytał list z krwią najzimniejszą, poprawił wszystkie zmyłki ortograficzne, i dnia następnego znowu rano obudził żonkę, każąc jéj wielbić piękność natury i razem pić kawę.

Ośmielony milczeniem pani Cecylii, pan Agaton, kancelerz sądowy, jako bywający w domu państwa Żarto-

płodzkich, znalazł przyczynę do złożenia rannéj wizyty uciśnionéj małżonce; ale Inspektorskie oko czuwało zdaleka i gdy młodzian na kolanach czynił 20ty akt wyznań swoich strzelistych affektów, pan Franciszek wszedł do 1go pokoju, dając znać o swojéj obecności głośnym kaszlem.

Głos małżonka w takich wypadkach jest chrapowatszym od ryku trąby, a nawet od bojowego działa; uderza niespodziewanie, jak jastrząb' na gruchające w gniazdku gołąbki!... kochankowie zadrżeli i pierzchli; Cecylja wyszła na powitanie męża, pan Agaton zaryglował się w dużéj jesionowéj szafie.

Pan Franciszek pocałował żonę, ale oboje podobno nie czuli smaku tego całusa; potém przeszedł do pokoju, w którym ukrył się Agaton i zaczął rozmawiać z żoną o wszystkich sąsiadach, lokatorach, potém o młodym rywalu w sposób bardzo pochlebny, mówiąc: — Pan Agaton jest trzpiotem, ale ma serce tak szlachetne, że mógłbym mu wszystko powierzyć bez obawy; wiem że lubi strzelać czasem oczami, ale ma tak wysokie pojęcie o honorze, że umiałby odrzucić najpowabniejsze spojrzenie, aby nie stać się przyczyną cudzych cierpień.

Po tych słowach wyszedł p. Żartopłodzki, sądząc że młodzikowi dał dostateczną naukę i bez hałasów sprowadził żonkę na drogę powinności; w saméj rzeczy pan Agaton, w połączeniu strachu i wstydu, siedząc w szafie, uczynił mocne postanowienie poprawy życia, ale zamiary człecze to rzecz tak wątła, że za parę godzin śmiał się sam z swéj cnoty, siedząc w domu i patrząc w okna Inspektorowéj.

Na drugi dzień, znowu pani Cecylja odebrała wizytę, bo pan Agaton wytłómaczył sobie: że biedną kobietę może pocieszyć, która stanie się mniéj wymagającą od męża i wszyscy zostaną uszczęśliwieni. Cecylja nie chciała go przyjąć, ale nie mogła go wyrzucić z salonu, więc rada nie rada musiała słuchać przysiąg tak słodkich, jakie wychodzą z ust dwudziesto-cztero letniego chłopca.

Godzinę czasu przepędzili tylko ze sobą, ale w téj godzinie były całe wieki szczęścia (sposób mówienia tylko).

Pan Franciszek wiedział i o téj drugiéj wizycie, ale już jéj nie przerywał; udawał humor najweselszy, może był nawet wesoły, bo kto tam zgadnie ludzkie zamiary? a przy obiedzie oświadczył żonie, że będą mieli massę gości, samych professorów, a pomiędzy niemi jednego obcego, pana Agatona, do którego posłał służącego z zaproszeniem.

O 6éj wieczorem, jak to zazwyczaj bywa w miasteczku gubernialném, do państwa Żartopłodzkich zaczęli schodzić się goście, a o 7éj już nie brakowało nikogo.

Wieczór był tak pogodny, jak czoło młodego dziewczęcia, gdy z kotkiem mruczysiem biega po pokoju; pan Franciszek zaproponował panom wypicie kieliszka wina w ogrodzie do niego należącym, służący zaniósł kilka baterji butelek, ustawił je na stoliczku i wkrótce wszyscy mężczyźni znaleźli się w altanie, którą Inspektor zamknął na klucz za sobą, wchodząc ostatni, aby zabezpieczyć się od rejterady którego z kolegów.

Gdy już po kilka kieliszków mieli w głowie, zebrani wedle zwyczaju zwrócili prośby do Inspektora o powiedzenie jakiéj facecyjki; Inspektor wzdragał się niby, ale tak zaczął:

— Znałem professora literatury polskiéj, który miał jednę wadę, że rodził się pod znakiem bliźniąt; dla tego téż znalazł się ktoś taki, co lubił się podzielić jego pracą, zasługą i nagrodą, aż nareszcie przyszło do tego, że jego dawny uczeń chciał zostać wielbicielem jego żony.

Dziewicze uczucia swoje, dziewiczym określił jéj stylem, stylem górnym, ognistym i niepoprawnym; przypadkiem list dostał się mężowi, biedak! zapłakał, że jego uczeń zapomniał o ortografji; czuł, że mu wypadnie dać małą nauczkę żonie i jéj pocieszycielowi, i wkrótce nastręczyła się sposobność.

Niestety! pomimo całéj szlachetności w postępowaniu nie zdołał zwrócić młokosa na drogę powinności; dzieciak śmiał się z swojego professora, a na drugi dzień klęczał znowu u stóp jego żony, mówiąc jéj o świętości tego uczucia, którego nie miał dla niéj.

Cobyście panowie zrobili w takim wypadku z młokosem? bo o żonie niema mowy: ona nie była zepsutą, ale milczała przed mężem, obawiając się wybuchów jego gniewu.

— Dałbym mu tyle rózg, ile zrobił błędów ortograficznych, rzekł prefekt.

— Podzielamy zdanie prefekta, zawołali nauczyciele.

— Ale nie chcielibyście zapewne być wykonawcami waszego wyroku?

— Dla kolegi zrobilibyśmy to najchętniéj...

— Słowo?

— Słowo honoru!!! — zawołano...

— Wierzę wam koledzy!...ja jestem tym professorem... oto list z 18 błędami ortograficznemi, a to mój uczeń!— rzekł wskazując na Agatona...— Proszę o dotrzymanie słowa!

Nie będę wam opisywał dalszego biegu téj sprawy, która zajęła przeszło pół godziny czasu; dodam tylko, że prefekt bierzmował pana Agatona, a czterech professorów raczyło zostać ojcami chrzestnymi.

Po operacji wszyscy najspokojniéj wrócili do pokoju, przyobiecawszy młodzikowi, że to zostanie tajemnicą, co zaszło przed chwilą i nie pozwalając mu opuścić towarzystwa. Biedny Agaton! cały wieczór siedział jak na mękach, a gdy Cecylja sądząc, że cierpi z miłości, chciała go nagrodzić wejrzeniem, w inną stronę odwracał oczy i wzdychał tak ciężko, jak student nad książką.

Gwałtownie obudzona cyrkulacja krwi wróciła odtąd rozsądek Agatonowi, a pani Cecylja do dnia dzisiejszego jest najwierniejszą małżonką!

Farys.

PAN I KRAWIEC.



Pan. No! patrz pan, jak ja wiglądam w tego frak!
Krawiec. Wybornie, doskonale — a wreszcie Wny Pan dobr. wie zapewne, że nie suknia człowieka, ale człowiek suknę zdobi!

POLOWANIA I OBŁAWY.

Ponowa jest dla myśliwego tém, czém dla malarza zachód słońca, dla Beduina źródło w pustyni, dla redaktora parę tysięcy prenumeratorów, dla szklarza grad, a dla bociana żaba; i dlatego w roku zeszłym, chociaż nie Śty Marcin jak zwykle, ale Wszyscy Święci na białych koniach do nas przyjechali, choć tam wczesna zima wiele kłopotu biednym rolnikom narobiła, wąsaty strzelec wręczył mi list następującéj treści:

Kochany Bocianie!

Dalibóg że się nie godzi, abyście wy Bocian'A dla których wszyscy myśliwi taki szacunek mają, bo za-

den z nas w łeb wam nie strzela i szanujemy ptaka, który czyści z brudu okolice kraju naszego, tak o nas zapomnieli; w kilkunastu poszytach waszego pisma ani wzmianki o nas; tak się nie godzi! Prosiemy Cię więc, przyjedź jutro do nas na polowanie, a może wybierzesz co z tysiąca niewinnych facecji naszych i nam przecie coś wystylizujesz.

Czekamy Cię z pewnością, Twój Ludwik.

Cóż miałem robić? zdjąłem z kołka zardzewiałą ruśnicę, przymierzyłem, zdawało mi się, że przez moje *curtum visum* widzę dobrze cel na końcu lufy, machnąłem ręką i pomimo perswazyi żony mojéj, żyła myśliwska przemogła, a na drugi dzień równo ze świtem pojechałem na polowanie.

Już to nie głupi powiedział: co myśliwy to poczciwy!—i święte są słowa starego Generała, który zwykł był mawiać:

Tego kocham, tego wielbię,
Kto się kocha w koniu, strzelbie!
Dusza moja nienawidzi
Tego, co się psami brzydzi!

Zastałem zebranych myśliwych znajomych i nieznajomych, już gotowych do wyruszenia na polowanie. Pan Jan, pan Paweł, pan Wincenty, pan Ludwik i inni przywitali mnie najserdeczniéj — i w całym komplecie, w assystencji strzelców i psów, poszliśmy do kniei.

— Rekomenduję Ci *panie*, kochany sąsiedzie, pana Klemensa, mojego przyjaciela *panie*.

— Cieszę się z poznania pana dobrodzieja.

— Ja dawno pragnąłem *niby* poznać pana dobrodzieja; ale moja *niby* żona ciągle słaba i odwoziłem moje *niby* córki do Warszawy, bo je tam *niby* na pensją oddałem i tak się zwlekło; niemogłem Mu złożyć mojego *niby* uszanowania.

Rozstawiono nas na jednéj linii, przy mnie niedaleko na stanowisku stał pan Ludwik, a z drugiéj strony *niby* pan Klemens; psy niedługo zaczęły gonić.

Po chwili spojrzałem w stronę pana Klemensa, który machając rękami pakazywał coś za mną i w końcu straszne: »*pilnuj*«! wydobyło mu się z piersi. Obróciłem się, i istotnie tuż za plecami mojemi przemyka się zając i miga się jeszcze o jakie pięćdziesiąt kroków w drobnych jałowcach... Wycelowałem, jak lunę do niego... jeszcze daléj! — jak poprawię z drugiéj lufy!... smaruje jeszcze lepiéj, aż się kurzy za nim... i poszedł...

— A niechże Cię *panie* nie znam, woła pan Ludwik, trzeba psy co tchu *panie* na trop nawołać — Na tu! Grzmi las *panie!* Śpiewka Trębacz na tu! tu! *panie!* Lutnia na tu, jak Boga kocham spudłował i basta *panie!*

— Zdaje się, że pan *niby* spudłowałeś, zając szedł ostro po strzale.

Psy nadbiegły, naprowadzone na trop zaczęły daléj gonić za zającem; mój strzelec Kuba, którego wziąłem z sobą, poszedł zrewidować strzał, a mając na myśliwskie wykręty zawsze pewny zapas tużycy w torbie, którą z zabitego przed dwoma tygodniami zająca uskubał, przyniósł oczywisty dowod, że zając przezemnie postrzelonym został, chociaż tam prawdę mówiąc powiedział mi do ucha, że jeden nabój w kretowinę, a drugi w sosnę wpakowałem, a zającowi ani włos z głowy nie spadł. Bądź co bądź, *niby* postrzelony zając poszedł w świat, a na mnie wypadł jednomyślny wyrok, że za tak haniebne spudłowanie powinienem dostać sfory, albo jaki artykuł dla myśliwych napisać. Wybierając bardzo naturalnie drugie, przesyłam szanownéj redakcji *Szpargałów* bazgraniny moje, z prośbą o ich przyjęcie i uwolnienie kolegi swego od kary, bo przecie jak świat światem, Bocian nie dostał sforą ani batem!

Wywięzując się z słowa, na wasze żądanie
Zapraszam Was, Panowie, w świat na polowanie!
Zając, lis, wilk, dzik, sarna i jeleń i łania,
Za któremi się człowiek nieraz naugania,
Kuropatwy, jarząbki, cietrzewie, gołębie,
Kwiczoły, słomki, kaczki, przepiórki, jastrzębie,
Nazywamy zwierzyną; na te polujemy,
I albo zabijamy, albo pudłujemy.
Nieraz wśród ciężkiéj zimy, śniegów i zamieci
Zastawiamy żelaza, półapki i sieci,
Nieraz po nocach nawet, zmoknięci, o głodzie,
Brniemy, aby co zabić, po bagnie i wodzie.
A ludzi obeznanych z sposobami temi,
Nazywamy strzelcami, albo myśliwemi.
Lecz, kochani Panowie, niech Was to nie dziwi!
Nietylko Wy na świecie jesteście myśliwi!
Każdy człowiek co myśli, porusza się, czuje,
Każdy się na coś czai i na coś poluje.
Primo loco Was kładę z flintą na ramieniu,
Z wesołą śpiewką w ustach, z niczém na sumieniu,
Tych poczciwych myśliwych, co to dobrze mierzą,
Kochają bliźnich swoich, zawsze w Boga wierzą,
A chociaż czasem żartem i niewinnie skłamią,
Danego słowa jednak nie zgwałcą, nie złamią.
Lecz nietylko Wy jedni na tym bożym świecie,
Nie tylko Wy, Panowie, sami polujecie!
Panna Róża naprzykład tu przed nami stoi,
Nie zna zapachu prochu, wystrzału się boi,
A choć użyć nie umie broni ni oręża,
Od rana do wieczora poluje na męża!
Ale mąż to nie zając i trudno go ubić!
Bo jak zacznie młynkować i swe tropy gubić,
Choć się za nim nawzdycha, dużo naugania,
Wraca jednak biedaczka z niczém z polowania!
Lecz lepiéj, Panno Różo, dużo lepiéj pono,
Nie nazywać się nigdy kochanką i żoną,
Lepiéj to smutne życie saméj z sobą dzielić,
Niż męża niedołęgę na łowach zastrzelić!
I Kazio nieboraczek, z kieszenią dziurawą,
Idzie śmiało polować na posag z obławą;
A co on się nieborak nawietrzy, naczai!
A co się naopędza przeciwników zgrai!
A wszystko nadaremnie, mój ty mocny Boże!...
Bo na tém polowaniu nic zabić nie może!
O! lepiéj że z obławy wracasz, Kaziu, z niczém!
Choć biéda, spojrzéć możesz wesołém obliczem!
»*To moje*«! nikt ci, bracie, nie wrzeszczy nad głową,
Lepiéj miéć walkę z biedą, niż wojnę domową!

Jak zając co ze strachu jeży się w kotlinie
I patrzy, czy go strzelec przechodzący minie,
Tak drży i biedny Władzio na duszy i ciele,
Czy go dziś nie napadną straszni wierzyciele.
Pan komornik, bez względu na Władzia niedolę,
Dzielnego myśliwego chcąc odgrywać rolę,
W trójgraniastym pirogu, ze szpadą przy boku,
Biedną swoją zwierzynę ciągle ma na oku!
Panowie wierzyciele, jak gdyby ogary,
Gonią za biednym zwierzem i czci ani wiary
Nie pozostawią na nim, a gonią a gonią,
I kamieniują brata, własną bratnią dłonią!
Niechętnie się zdajemy na sąd naszych braci,
Każdy z większą ochotą grosz w procesie traci,
Nie lubimy poczekać, małych win darować,
Bez względu że nas także będą exekwować,
I za to polowanie, za drapieżne czyny,
Tak odpuszczą! jak i my odpuszczamy winy!...

* * *

Każdy człowiek na świecie, kto myśli i czuje,
Każdy się na coś czai i na coś poluje!
Ten goni by co ubić, ten znowu umyka:
Celnik pragnąłby zawsze trafić w szwarcownika,
I wszyscy chcą coś zabić, lub zemknąć przed strzałem,
A gonią się nawzajem z największym zapałem.
Ten, co na dzień z swéj pensyi ma tylko złotówkę,
Poluje nieboraczek ciągle na łapówkę.
Student, choć we łbie siedzi nic znaczące zero,
Wie że osioł, a jednak chciałby z chęcią szczerą
Choć na mierny patencik w szkołach zapolować,
By go tam lżej raczyli wyegzaminować!
My wszyscy grzeszni ludzie, wszyscy Ewy syny,
Literaci, burmistrze, wiejscy wójci gminy,
Na tym padole płaczu wśród biedy ucisku,
Gotowi do wystrzału! Na tém stanowisku
Z odwiedzioną rusznicą czekamy na zwierza,
I każdy pragnie strzelać i każdy przymierza.
Wtenczas człek najszczęśliwszy, gdy co upoluje
I zabitą zwierzynę, do torby wpakuje.
Bo też ta torba nasza, to otchłań nie lada,
Ona zawsze coś przyjąć w paszczę swoją rada,
A najcelniejsi strzelcy i myśliwi dzielni
Żaden jéj nie nasyci, żaden nie napełni!

* * *

Skoro tylko świt blady na niebie zabłyśnie,
Szanowny materjalizm serca nam przyciśnie,
I tę poczciwą duszę ostudzi, oziąbi,
Człek zaraz w róg myśliwski całą siłą trąbi!
I daléj na obławę! Panowie i Panie
Śpieszą się rozpoczynać wielkie polowanie,
Tego wiezie kareta, tę kocz, tego bryka, —
Ten jak lis piechotare nieborak umyka, —
Ta znów z poczciwą minką wietrzy i myszkuje, —
Ten strzela ale na wiatr, bo zawsze pudłuje, —
Ci jak wilki chcą gwałtem na drugich napadać, —
Połykać bliźnich swoich, sieroty pozjadać, —
Tamte ciągną jak słomki rano i wieczorem,
Spotkać się z jakim strzelcem lub adoratorem, —
Tamci znów, jak jastrzębie machają skrzydłami,
Aby swoje ofiary udławić szponami!
Wszędzie hałas i tartas i krzyki i wrzawa,
A wszędzie polowanie i wszędzie obława!
Wpośród tego chaosu, wpośród téj ochoty,
Nie słychać jęku biednych, ni płaczu sieroty!
Trudno nam nieszczęśliwych wspomagać, ratować...
Strzelcy, nie mamy czasu... musimy polować!
Sam mistrz sprawiedliwości poluje na zwierza,
Zmykającą zwierzynę prawem w łeb uderza,
I aby tylko broń swą mógł czémkolwiek nabić,
Pragnie przecie co zyskać i przecie co zabić!
I żeński *corps de ballet*, ubrany pół nago,
Wzgardziwszy starodawną cnotą i powagą,
Dlatego tylko śwista, skacze i tańcuje,
Że na tém polowaniu głupca upoluje.
A i my, strzelcy z piórem, bez knieı i borów,
Pragniemy upolować prenumeratorów!...
Ale próżno stawiamy żelaza i sieci,
Daremne to mozoły, rzadko tam co wleci!
Każdy śpiewa godzinki i *Veni Creator!*
Każdy ma gorzkie żale, a prenumerator
Zwierz rzadki w naszym kraju, bo na stu zajęcy
Liczyć się może jeden tylko i nic więcéj!...
I biedny organista także nie próżnuje,
I on na nieboszczyka z chęcią zapoluje,
A to mu życie jego jak najwięcéj słodzi,
Gdy kto zejdzie ze świata, albo się urodzi!
Słowem, wszyscyśmy strzelcy, a pomiędzy nami
Jedni są myśliwemi, a drudzy znów psami,
Jedni są polujący, a inni znów zwierzem,
Ci zmykają przed strzałem, a tych na cel bierzem;
Aż tu mozolna praca siły nam oziąbi,
I czas nam *»pojezdnego«* na rogu zatrąbi!
Wtenczas, panowie strzelcy, karki pospuszczamy,
A jak się zapytają: co tam w torbach mamy?
Cośmy przecie zyskali z tego polowania?
Jak się szczerze zabiorą do rewidowania,
Z tych naszych torb dobędą... ogryzione kości...
To nas pewno wypędzą w *»lewo«* bez litości!
I za te ciągłe walki, strzały i zabory,
Jeszcze może w dodatku dostaniemy sfory!

Mógłbym jeszcze przedłużyć to moje bazgranie,
Ale i bocian musi iść na polowanie!
Szanowne Żaby! raczcie łaskawie darować,
Bo właśnie się wybieram na Was zapolować.

PODSŁUCHANA ROZMOWA.

Siedzę sobie w teatrze i łakomém uchem
Chwytam słowa i każdym zajmuję się ruchem:
Bo właśnie towarzystwo aktorów Krakowian
Przedstawiało nam sztuczkę lubioną: Łobzowian,
Gdzie się szczerość, prostota, poczciwość poznaje
Naszych chłopków i wzór nam tak piękny ich daje.
Właśnie Tomek zaśpiewał, że nie chce szlachcionki...
Ani też zagranicznéj, ani też przechrzcionki....
Wtém słyszę tuż przed sobą jakiś głos mięszany,
Na wpół cicho, wpół głośno, z obcym na przemiany.
Wstrząsnąłem się, jak gdyby świerszcz mi wszedł do ucha,
Albo osa zabrzękła, lub hiszpańska mucha.
Spojrzę, przedemną Imość wypaczulowana....
Cała w bieli, kwiatami wybukietowana....
Wychładza się wachlarzem, a na oklask syka,
I na około strzela perspektywą Pika,
Jakby chciała przyciągnąć przed niegrzeczne oczy
Wszystkich widzów maszyną, co jéj czoło tłoczy;
A śledząc ich ubiory, rysy i postawy,
Stawiać ich na igraszkę swéj płochéj zabawy.
Tuż koło niéj Jegomość, wywiędła figurka,
W okularach na nosie, z lornetką u sznurka;
Bo dziś lwy modne wcześnie tracą oczów żary,
Więc szkłami je wzmacniają, chcąc ranić ofiary.
Właśnie co się przysunął, wdzięcznie się przymilał,
I na pół francuzczyzną ukłon się wysilał;
A w tém go owa Imość znienacka zagadła,
I nie dając mu kończyć, z wymówką nań wpadła:
— *A propos! je suis charmée*, że pana zdobywam!
Bo tak jestem znudzoną, że już ledwo ziewam.
Coś to tam pan porobił? *répondez sur l'objet!*
Wszak Pan byłeś z Anielą tak blisko, tak dobrze,
I gdy miało się skończyć, *vous battez la retraite!*
W tém się złego coś święci, pan masz jakiś sekret!
Wyglądasz pan, jakoby *mal-adroit évadé!*
— A! to mnie pani widzę posądza o zdradę!
— Być może, bo kto martwi swoją narzeczoną,
I to wtenczas, gdy wkrótce ma już zostać żoną,
Doit avoir des projets niezgodne z tym celem,
I w tym względzie innego zdania nie podzielem;
— Panie mnie nie pojmują! — *C'est cruel! mais hélas!...*
— Czy i pani tak sądzi jak panna Aniela?
To już przechodzi siły! *accablé de douleur,*
Il faut brûler la cervelle, jako zgrany szuler!
Panie mnie z wszystkich uczuć ogołocić chcecie!
Je fais tout mon possible! więc życia pragniecie?
Po tylu emocyjach i doznanych transach,
Jakich nie opisano w najczulszych romansach?
— *Assez, assez!* już wierzę! *je réfléchis la cause*,
I dlatego się wszystko da naprawić jakoś!
Zanadto się kochacie, w tém przyczyna cała!
A więc lada drobnostka pozorna i mała
Drażni was i wyradza *ękąwenijanse*,
Bo tak się zawsze kończą te czułe romanse.
A zatém *laissez moi faire!* już ja to naprawię!
Bo mi was żal naprawdę, więc oboje zbawię!—
Panicz czule dziękował. A w tém inna scena:
Wszedł Stanisław i Zosia, Hrabia, Magdalena;
Rozkosznie było patrzéć, jak te serca złote
Przypominały dawnych obyczajów cnotę!
Huczny oklask sypnięto, wszyscy ucieszeni,
Tylko państwo z przedemnie niezadowoleni!
Coś tam jeszcze szeptali, lecz już nie słuchałem....
Przejęty zgrozą właśnie odsunąć się chciałem,
Gdy dama znowu głośniéj tak się odezwała:
— Ach jaka nędzna sztuka! jaka nudna cała!
Comme ce public est bizarre! tak sypie oklaski!
Żegnam pana, *je me sauve*! wstydzą mnie te wrzaski!
To zupełnie jest gminne... *c'est pour la populace!* —
Wstałem i rzekłem tylko: — Żeby was piorun trzasł!

REBUS № 1.



INSTRUKCJA

PRZY WYJEŹDZIE ZA GRANICĘ OBOJGA DZIEDZICÓW

ZOSTAWIONA KOMISSARZOWI DÓBR

POKRZYWKA — BATOGI — I BRUDASY.

Panie Komissarzu!

1. — Od Pana Boga wszystkie rzeczy zaczynać potrzeba, a On cnotliwéj pracy zawsze błogosławić będzie. — Dlatego nie zapominaj Wacpan, podług zaprowadzonego zwyczaju, codzień z czeladzią Różaniec odprawić, ale przededniem, żeby nie było mitręgi: — w Niedzielę zaś i każde święto, niech wszyscy Mszy świętéj z przykładnością i nabożeństwem wysłuchują, bo modlitwa należy się Bogu, a praca ludziom.

2. — Znasz Wacpan trudność dostania parobków, a nam ich jeszcze kilku brakuje; miéjże więc ciągle na oku wszystkie sąsiednie wioski, i jak tylko upatrzysz gdzie jakiego fornala lub rataja, już go ze swéj ręki nie popuść, pochlebiaj, namawiaj, częstuj, a mianowicie obiecuj: bo to nic nie kosztuje, i jak upatrzysz po temu czas, nocą wypraw fury i przywóź nowo ugodzonego do wsi. — Tylko pilnuj, żeby się wszystko odbyło cicho, spokojnie, bez krzyku i bijatyki, bo sąsiedzką spokojność szczególniéj szanować należy.

3. — Gdyby z tego zaszły jakie skargi, to nie zapominaj, że kto smaruje ten jedzie, zwłaszcza że djabeł nie tak straszny, jak go malują. — Osobną instrukcję znajdziesz w dołączającéj się przy niniejszéj assygnacji do pachciarza i propinatora.

4. — Żyd Fraim zapewne będzie chciał kupić siano, sprzedaj mu więc takowe podług próby wziętéj z Sadowéj doliny, bo to siano piękne i zdrowe, a wydaj mu z Dławi-dołów, jako zupełnie nam na karmę nieprzydatne. — Nieprzyjaciołom bowiem imienia naszego nie należy folgować, zwłaszcza że wiesz, jak tych oszustów nienawidzę, i że zasada dobrego gospodarstwa jest sprzedawać tylko to, co zbywa od miejscowéj konsumcji. — Żeby zaś sprzedaż była i prawna i uczciwa, stóg tak postaw, żeby z wierzchu od dołu miał siano z Sadowéj doliny, a w górze i w środku z Dławi-dołów, więc się nie oszuka, bo kupi to co widział.

5. — Propinacją od Śgo Jana wypuścić innemu propinatorowi, bo nasz nieobrotny; zawsze u niego w karczmie i pusto i smutno. Poczciwemu bowiem temu ludowi, po mozolnéj pracy należy się zabawa; wynaleźć więc takiego, coby się znał na tém. — Sądzę, że najlepszy byłby z Dąbkowa, ale w takim razie summę dzierżawną podnieść, bo to wielki derus i kuty na cztery nogi; nie godzi się więc dopomagać mu do zbogacenia krzywdą naszych kmiotków. —

6. — W żniwa starać się troskliwie o żniwiarzy. — Po wioskach więc sąsiednich ogłosić cichaczem, że do ceny w okolicy ustalonéj doda się po półkwaterku wódki. Nasi bowiem sprzętowi nie wystarczą, a grzech to wielki, dopuścić zboże na pniu do wysypania.

7. — Pola i łąki od szkód chronić, lasu pilnować, a ludzi za jagody, orzechy i grzyby fantować, żeby w żniwa była robocizna. — Kto bowiem o grosz nie dba, ten nie wart szeląga, — do tego przystarunku nie ma frasunku, a przysłowia wiesz, panie Komisarzu, że są mądrością narodu.

8. — Jeżeli z Zabierzyna zechcą kupić żyta do siewu, to drożyć się i sprzedać o dwa złote drożéj jak w targu. Jak bowiem nie kupią od nas, to kupią od żyda, a ten bez zarobku nie przeda, więc się z Zabierzyna nie skrzywdzi, a my zarobiemy to, co żyd miał zarobić.

9. — Chłopom zapomóg na przednówku żadnych nie dawać, bo to i zuchwalî i na stratę naraża; — budowli nie poprawiać, bo zbytku nie nawidzę; rowów nowych nie bić, bo to tylko niepotrzebne wymysły: dawniéj tego nie robiono, a chleba było po uszy; — inwentarza wreszcie roboczego nie zmieniać, bo to wszystko powiększa wydatki, a powietrzem za granicą żyć nie można.

10. — W tych ciężkich czasach czeladź dworska niech się obchodzi na przednówku ziemniakami i mąką, bo obżarstwo rodzi grzech, a ja tego nie lubię.— Tylko, panie Komissarzu, na Boga! nie rozpuszczaj mi ludzi, albowiem zbytek i próżnowanie zaraz za sobą występek prowadzą. — Pilnuj więc, niech pracują i modlą się, o wygodę ciała dbać nie trzeba, bo mędrzec Pański powiada — »mniéj ciału obroku, a dusza będzie syta.«

11. — Szarwark do dróg bitych przeznaczony możesz Wacpan użyć do uprawy gruntu i zwózki zboża, i wówczas wydasz pokwitowanie z odrobienia dwóch dni szarwarku za jeden dzień robocizny. Pomału bowiem i tak droga ukończona zostanie, a że się jeden rok odwlecze, to po tylu wiekach czekania jeden rok już nic nie znaczy.

Gdyby ksiądz cóś o tém przebąkiwał, to mu zabronić zbiórki w lesie, i pasania bydła z wiejskiém bydłem: — w powiecie bowiem ze mną nie wygra, a do Biskupa ani nosa nie pokaże, przycukrowałem ja mu tam dobrze. — Na przypadek Kaśkę, co z plebanji wziął ją za żonę Benedykt, sprowadź Wacpan do wsi, i ofiaruj parę trzewików od siebie, żeby umiała gadać, jak o to będą wypytywać: — strzeżonego Pan Bóg strzeże.

12. — W processie granicznym zbliża się inkwizycja, kręć się więc wacpan dobrze, żeby pomyślnie wypadła, a choć pradziad mój rzeczywiście przedał grunt ten i odebrał za niego pieniądze, ale podobno był wtedy małoletnim, i przedał go innowiercom, a nie katolikom, więc jako z heretyckich rąk odebrać go należy.

Bo kto niszczy wroga,
Łaskę ma u Boga.

13. — Wszystkie wydatki, panie Komissarzu, prowadzić, jak to mówią, z kredką i z główką, na szmery

złych języków nie zważać, bo ludziom nigdy nie dogodzi, każdy grosz co się dostanie w twoje ręce, choćby się ziemia zatrzęsła, natychmiast do mnie za granicę wyséłaj. — Piérwsza miłość od siebie, a i tak podróż ta porządnie mnie szarpnie.

14. — Składki do towarzystwa rolniczego nie płacić, może się jako upiecze, bo sto złotych, jak to mówią, piechotą nie chodzi, a mnie gwałtem mimo chęci wpisano. — Jest tam i tak blisko 3000 członków, to się bezemnie wygodnie obejdzie, a jeżeli coś korzystnego dla szlachty uradzą, to mnie to nie minie, boć i ja szlachcic. — Wreszcie postaram się należéć do Towarzystwa rolniczego w Belgji, to i tak przyniosę zaszczyt krajowi.

15. — Sforę gończych z Mydłowa kupić, a jeżeli drożyć się będą, postąp na 50 rubli jak żądają, bo takich psów niema w całéj okolicy. — Gipsiarza, którego zgodziłem, przypilnować, żeby łeb koński nad stajnią, a barani nad owczarnią starannie odrobił, i pod niemi pomieścił herby mój i mojéj żony.

16. — Na ostatni kwartał zapisać na poczcie wszystkie dzienniki francuzkie, które dotąd prenumerowałem; polskich nie trzeba, a nawet wypuść i Czytelnią niedzielną, bo dla dwóch chłopców co ją czytają, wydatek zupełnie niepotrzebny.

17. — Wreszcie przyjmij za zasadę: wydawać jak najmniéj, zbiérać jak najwięcéj, a szczególniéj strzedz się wszelkich nakładów, co to kiedyś mają dopiéro procentować. — Czasy bowiem ciężkie, pożyczka coraz trudniejsza, świat w wydatkach niezmiernie wymagający, a lepszy wróbel na rożnie, niż bażant na gałęzi. —

NIEWINNA POMYŁKA.

Raz na stypę do Marcina,
Zjechała się szlachty chmara,
Gospodarz dosadził wina,
Aż z czupryn kurzyła para.
Przy kielichu i gawędzie,
Jakoś czas ucieka skory;
W tém ktoś krzyknął: — dosyć będzie!
Bo już dzwonią na nieszpory!
Nasza szlachta, choć pijana,
Lecz jak dzwon na pacierz woła,
Choćby była rozhulana,
Zaraz śpieszy do kościoła.
Najpijańszy był Pan Michał,
Kościół się z nim wciąż obracał,
Bił się w piersi, ciężko wzdychał,
Aż czołem ławki domacał;
I jak sobie zasnął miło,
Organy mu w uszach brzmiały,
Coś mu się o winie śniło;
A w tém... ucichł kościół cały.
I tém się właśnie przecucił....
Lecz był w rozmarzonym stanie,
A ksiądz w tym czasie zanucił
Wśród ciszy: — »Do Ciebie Panie«!' —
Szlachcic się zerwał na nogę,
I wrzasnął jak gdyby z miecha:
— Dalibóg! ja już nie mogę!
Pij wasindziéj do Wojciecha!

RAROGI

PRZEZ BOCIANA WILEŃSKIEGO.

1.

RAROGI SALONOWE.

(*Ciąg dalszy; patrz* **Wolnych Żartów** *Zeszyt VI Serji III.*)

Niech was domyślność nie łudzi!
Szydzę z błędów, a nie z ludzi.
Bocian.

Nieszczęsny nasz małżonek świetny pogrzeb sprawił,
Trzypiętrowy katafalk w kościele wystawił;
Ksiądz prałat Dębołebski miał kwiecistą mowę:
Chwalił zmarłéj hrabiny przymioty wzorowe,
Mówił o jéj słodyczy, o dobroczynności,
Przywiązaniu do męża, ślepéj uległości,
A nie szczędząc hiperbol, dowiódł jak na dłoni,
Że rodzina w rozpaczy, że kraj płacze po niéj; —
W końcu zaś, gdy jéj żywot opowiedział cały,
Otworzył wręcz podwoje wiekuistéj chwały,
Wprowadził pompatycznie do siódmego nieba — —
I dzisiaj już nam do niéj modlić się potrzeba!
Na wspaniałym cmentarzu księży Bernardynów
Hrabia pomnik postawił: — czterech kupidynów
Trzymało wielką urnę wspartą na kolumnie,
Na któréj herb rodziny połyskiwał dumnie,
U spodu wśród załamań litewsko-gotyckich
Był napis: »*Grób zwłok. Tu leży z Kręcickich*
Hrabini Cielątkowska. Wieku lat trzydzieści.
Ten pomnik jéj zbudował mąż smutny w boleści.
Ciężko było hrabiemu zgrywać rolę wdowca;
Wyglądał w towarzystwie jak zbłąkana owca,
Sam nie wiedział, u kogo trzeba szukać rady —
Czy żyć nakształt odludka, czy dawać obiady?
Czy miéć minę stroskaną, czy uśmiech na twarzy?...
W końcu na wieś wyjechał i tam gospodarzy. —
Upłynęło lat wiele od pamiętnéj doby,
Pan hrabia już oddawna nie nosił żałoby,

Zdziczał na wsi zupełnie, sposób życia zmienił;
Z garderóbną swéj pierwszéj żony się ożenił,
Miał z nią brzydkie dwie córki i dwóch pięknych synów,
Stworzonych do zbierania światowych wawrzynów.

Nowa pani hrabina — ach! odpuść jéj Boże!
Dawniéj było, céruje pończochy, lub porze,
Przed panną Jasnéj pani nie śmie ani pisnąć,
Młodemu pisarzowi daje się uścisnąć.
Dzisiaj strasznie poważna, przyzwoita srodze,
Stąpa z gracją i śmiało po ślizgiéj podłodze.
Zawsze prosto i sztywnie na kanapie siada,
Sznuruje z lekka usta, jak kanarek jada,
Nie może znieść herbaty, pije czekoladę —
Chce miéć talję sylfidy i oblicze blade —
Codzień w morach, dantelach, gustownie ubrana...
Ludzie mówią, że nawet bardzo oczytana;
Zawsze się romansami modnemi otacza —
Przebiegła w tłómaczeniu i *Żyda Tułacza*,
I *Hrabię Monte-Christo* i innych dzieł wiele;
Z fortepjanu Erarda wydobywa trele,
Ma głosek cale miły i włoską metodę...
W obejściu się hrabiny znać wielką swobodę;
W domu bardzo uprzejma i miła dla gości,
Nikomu nie uchybi cieniem niegrzeczności;
Każdemu wśród rozmowy da do zrozumienia,
Że się nigdy nie wstydzi swego pochodzenia,
Bo jest z domu Pstrykalska, ma herb ze łbem byczym,
A wujaszek w Smurgoniach został horodniczym.
Jednak damie téj braknie istotnéj ogłady;
Ma też swoje śmieszności, śmiesznostki i wady:
Nudzi sie strasznie na wsi i tęskni do miasta,
Służące o niéj mówią, że nadto *toniasta*,
Że dumna i gderliwa, że bieli swe lice,
Że ją zawsze sznurują cztery służebnice,
Że nieraz do salonu wychodząc z pośpiechem,
Żegna sługi przekleństwem, gościa wita śmiechem.
Ale grzeszy najwięcéj srogą niewinnością,
Nieustanném papleniem i wielką zazdrością
Wszelkich wdzięków kobiecych; każdą piękność gani,
Każda wyższość jéj serce jak sztyletem rani,
A nawet pasierbicę słynącą wdziękami
Chciałaby na kawałki podrzéć pazurkami. —

Nieboszczka Cielątkowska prócz białéj papugi
Zostawiła mężowi rachunki i długi,
Parę pięknych wyżełków, uczoną wiewiórkę
I hrabiankę Elwirę, ukochaną córkę. —
Elwira jest aniołem, chociaż w ludzkiém ciele:
Nie można o jéj wdziękach powiedziéć za wiele!
Ganić ją jest występkiem, wychwalać napróżno;
Niebianka ta na ziemi wygląda podróżną —
Zda się, łezkę uronił serafin niebieski,
A nadziemskie stworzenie powstało z téj łezki.
Pieszczona od dzieciństwa na rodziców łonie,
Jeżeli nie w kolebce, to była w salonie,
Pełna zimnéj powagi i swobodnéj gracyi
Może służyć za przykład świetnéj edukacyi.
Gra, śpiéwa i rysuje, w tańcu niezrównana,
A piękna tak, że tylko padać na kolana!
Oczy czarne, wymowne, jakby u gazelki,
Usta w serce, różowe, nos grecki niewielki,
Włosy ciemne jak heban, długie aż po pięta,
Pierś i szyja cudowne, a talijka wcięta,
Ręce małe, zgrabniutkie, nóżeczki wzorowe,
I oczy wam pochwycą i zawrócą głowę —
Słowem, panna jest jakiémś przywidzeniem błogiém...
Niemniéj jednak zda mi się potężnym rarogiem!
Dlaczego?... wnet wam powiem, posłuchajcie nieco!
Dawne życia wypadki charakter wyświecą: —
— Matka pięknéj Elwiry, kobiecina płocha,
Tak swą córkę kochała, jak się cacka kocha,
Stroiła nieustannie i w oczy mówiła,
Że piękna, że zgrabniutka i nadzwyczaj miła.
Córeczka, co swą matkę miała za wyrocznię,
Wszystkim tym komplimentom wierzyła widocznie.
Już się dobrze stworzeńko przed lustrem mizdrzyło,
Ciągle nowe sukienki zmieniało, mierzyło;
Wiedząc o tém, że piękne układało minki,
Przywdziewało perełki, pierścionki i spinki; —
Matka zaś zakochana w swojém własném dziele,
Twierdziła, że Elwirka już ma gustu wiele;
Że zaś główną podstawą wychowania w świecie
Jest dowcip — więc dowcipne powinno być dziecię....
Rozpieszczoną laleczkę uczono szyderstwa,
Niewinnych kalemburów, płochego oszczerstwa,
I tak, niby wpajając polor światowości,
Skażono jadem pychy i głupstwem próżności. —
Późniejsze wychowanie szło podobnym torem,
Wszystkiego nauczono, co ludzi pozorem.
Brała lekcje religji od dwóch kanoników,
Guwernantki zamorskie dawały języków,
Miss Brykel po angielsku czytała Bajrona,
Pani Mąkier Żorżanda, Musseta, Hugona,
Z fortepianem obeznał sławny Kokofoni,
Lekcje śpiewu wykładał soprano Koljoni,
Tańców uczył Niedźwiecki, rysunków Peckała,
I niewiem wiele inszych jeszcze lekcji brała!
Przy takiém, jak widzicie, świetném wychowaniu
O niczém nie myślała, tylko o ubraniu,
O tańcach i zabawach, podróżach i fetach,
Powodzeniu w salonach i własnych zaletach;
Lecz tych wszystkich przymiotów, które zwykle czynią
Kobietę dobrą matką, mądrą gospodynią,
Przywiązaną do męża i uczciwą żoną,
Elwiruni posiadać wcale nie sądzono....
Bo Opatrzność przezornie skarbami szafuje —
Dosyć pięknéj hrabiance, że *w świecie bryluje!*
Elwira ze swą ciotką, już niemłodą lwicą,
Lat kilka w różnych miastach była za granicą;
Dwie litewskie piękności robiły furore —
Niejeden w ślad za niemi woził serce chore,
Pewien Anglik z miłości został księdzem w Rzymie,
Drugi w panny sztambuchu zapisał swe imie,
Trzeci, baron niemiecki, co ją wielce cenił,
Z rozpaczy w krótkim czasie z inną się ożenił, —

Nawet książe bogaty, Frydryk Mopsen-Pudel,
Łodzi uczuć gorących ku niéj zwrócił rudel. —
Elwira go kochała, bo chciała być księżną,
A ta miłość ją wbiła w dumę tak potężną,
Iż wcale nie zważała, jako Hiszpan śniady,
Przywiązany bezpłatnie do swéj ambasady,
Usychał z przywiązania i pisał końcówki,
Za co mu sam minister już robił wymówki.
Ale Frydryk niegrzeczny zapomniał o pannie,
I jak twierdzą, otruty skończył życie w wannie.
Odtąd śliczna Elwira udawała smutną,
Niepojętą, zdradzoną, zimną i okrutną. —
Po tych wszystkich sukcessach, wróciwszy do kraju,
Łatwo poznać, że biedna nie czuła się w raju:
Nie miała przed kim swoich opowiadać żalów,
Śmieszyła ją litewskich meskinerja balów,
Młodzież była podobną do dzikich Huronów,
Matrony nie umiały urządzać salonów,
A panienki tak wiejskie, tak źle wychowane,
Że w dobrém towarzystwie są jakby złapane.
Lecz co ją ostatecznie wiodło do rozpaczy —
(W tym razie, każdy pannie tę rozpacz wybaczy)
Tak, że nieraz bywały całodzienne szlochy —
To straszna *moweżanrność* nieznośnéj macochy,
Która jéj nie cierpiała, choć mówiąc nawiasem,
W towarzystwie lubiła naśladować czasem. —
Młodzież koło Elwiry kręciła się tłumnie,
Chociaż ją sławna piękność traktowała dumnie;
Jednak, będąc oddawna kokietką z nałogu,
Umiała wzniecić miłość w swym największym wrogu.
Kochało się w niéj wielu gołych spekulantów,
Bogatych łapigroszów, hrabiowskich infantów,
Kilku szlachty zamożnéj, cnych obywateli, —
Ale nikt się o rękę prosić nie ośmieli:
Ten wie dobrze, że pewnie będzie pogardzony,
Bo choć srodze bogaty, lecz źle urodzony;
Drugi z wielkiém imieniem, ale bez szkatuły;
Trzeci szpetny niegrzecznie, choć nadzwyczaj czuły....
A młodzieniec szlachetny, prawy i zamożny,
W wyborze połowicy zwyczajnie ostrożny,
Nie chce mieć takiéj damy, co mu fundusz straci,
Wyjedzie za granicę i wyśmieje braci,
Dla któréj dom za ciasny, kraj rodzinny brzydki,
Która jest wzorem lalki i.... kosmopolitki.
Jednak latka mijały, popsuła się cera,
Niedługo już trwać mogła panieńska karjera,
Pora była pomyśléć o wyborze męża —
Radził jéj i sam ojciec i radzili księża...
Zamieszkał wtenczas w Wilnie bogaty Nososki,
Cichego charakteru i człowiek bez troski,
Wiedziano, że za panną do piekła poleci,
Na niego padł więc wybór i rzucono sieci.
Wkrótce się pan Nososki już kochał po uszy,
Na balach rznął mazura, choć był sporéj tuszy, —
Oświadczył się ojcowi i przyszedł do panny...
Ale biedak miał dziwny katar nieustanny,
W chwili czułych oświadczeń jak z armaty kichnął,
Elwira się rozśmiała — kawaler odstrychnął. —



Po tak dzikiéj przygodzie, smutku było wiele,
Katar splątał zamiary i zerwał wesele. —
Hrabianeczka na duchu nie upadła wcale:
Przedsięwzięła mieć męża wnet po karnawale,
Bo czuła, że jéj wdzięki wkrótce zejdą z pola,
A rola staréj panny, opłakana rola. —
Na ostatnich sejmikach bez sporu obrany
Był marszałkiem Rodowski, człek powszechnie znany,
Bogaty i oddawna w kraju zasłużony,
Wdowiec jeszcze niestary, szukający żony,
Któraby miała pozór matrony wzorowéj,
Nosiła przyzwoicie urząd marszałkowéj,
Umiała imponować, nie szkodząc nikomu,
Słowem, była ozdobą salonu i domu.
Elwira, o tém wszystkiém uprzedzona rano,
Wzięła się do ataku z wprawą niesłychaną:

Spoważniała nadzwyczaj, kokieterję skryła,
Że zaś iście w salonie *bardzo dobrze* była,
Marszałek prędko spostrzegł, że mu jest na rękę —
A nawet i podobał poważną panienkę.
Mamunie już szeptały z ukrytą zazdrością,
Że się żeni marszałek, lecz grzeszy płochością,
Bo hrabianka mu pewnie przypnie z czasem rogi....
Że i sama niemłoda i posag ubogi....
Wszakże rzeczy kierunek w tym razie był inny,
Choć wziął karę występny, nie cierpiał niewinny.
Historja była taka (opowiem dokładnie):
Gdy już wszystko z marszałkiem ułożono ładnie,
Elwira i macocha na wieś wyjechały,
Gdzie się wkrótce miał odbyć ślub arcy-wspaniały.
Hrabina u Adeli sprawiła pak strojów,
Z najbogatszych materyj, najmodniejszych krojów;
Hrabianka wypisała cztery krynoliny,
Każe srogiéj postaci, niebezpiecznéj miny, —
I już była do ślubu zupełnie gotową.
Ale na wsi znalazła postać dla się nową:
Był to braci przyrodnich pan Guwerner młody,
Dziedzic.... oczu błękitnych i francuzkiéj brody.
Ukończywszy kurs w Moskwie, przybył na wakacje,
Hrabia z nim się zapoznał, widząc edukację
Uprosił o przydłuższe na wsi pozostanie,
I poruczył mu zaraz synów wychowanie.
Elwira, czy tak jakoś będąc w złym humorze,
Czy poprostu z nałogu, czy też żartem może,
Zaczęła kokietować pięknego młodzieńca,
A jak widać z wszystkiego, poetę-szaleńca...
Słuchała deklamacyi niby bardzo rada
Gdy jéj z ogniem powtarzał ustępy z Konrada,
Z Grażyny, Tadeusza; udawała smutek,
Kiedy słuchać wypadło jakichś czulszych zwrótek,
Patrzała zaś mu w oczy długo, wyraziście —
Tak, że młodzian drżał cały i mówił ogniście,
A nie mogąc powstrzymać ślepéj namiętności,
Zrozumiał, że hrabianka już mu w sercu gości. —
Jak kochał pan guwerner, ja wam nie opiszę —
Wiadomo jak się w pannach kochają hołysze,
Jak szczerze i naiwnie, bo wciąż wierzą młodzi,
Że uczucie prawdziwe wzajemność im rodzi....
Lecą w przepaść bez myśli, sensu i obawy,
Nie wiedząc, że z pieskami służą dla zabawy.
Szalał biedny Teodor i błądził po nocach,
Pisał wiersze, nic nie jadł, *ją* widział w owocach,
W kwiatach, drzewach, kamykach, na gwiazdach, na chmurze,
Dla niéj piały słowiki i kwitnęły róże,
Dla niéj, o niéj, koło niéj każda rzecz stworzona,
Ludzie — świat — grób — poezja — to ona! — to ona!
Oczywiście Guwerner został panteistą...
Jakoś razu jednego, kiedy z duszą mglistą
Przechadzał się w alejach już spóźnioną dobą,
Nagle piękną Elwirę obaczył przed sobą:
Stoi w bieli ubrana, mając bukiet w dłoni,
Obrywa margarytkę, liść po liściu roni —
Zdało się młodzieńcowi, że spotkał z cherubem,
Stanął w miejscu jak wryty, wstrząsnął długim czubem,
Oddech w piersiach mu został, łza mu błysła w oku,
I sądził, że już z lubą leci na obłoku. —
— »Pan smutny, — rzecze anioł, — ja wiem o powodzie,
Wiem co w sercu jest pańskiém, znam miłość w zarodzie.« —
Ośmielony Teodor wypalił jak z procy,
Dlaczego taki smutny i łazi po nocy,
Kogo kocha, jak dawno, jak czule i szczerze,
Że musi być kochanym, lub życie odbierze.
Elwira nie zdziwiona wcale oświadczeniem,
Oddając cały bukiet, wyrzekła z westchnieniem:
— »I ja kocham też ciebie... nie traćmy nadziei!«
Ścisnęła z lekka rękę i znikła w alei. —
Być może, w słowach panny było prawdy nieco,
Bo kto tam zgadnie serce i duszę kobiecą?
Mówią, że i hrabianki, po dwudziestu latach,
Kochają się z potrzeby nawet w literatach,
Że w pannach salonowych serce z wiekiem wzrasta,
Że choć zwyczaj zwyczajem, niewiastą niewiasta....
Nazajutrz po téj scenie marszałek przyjechał,
Teodor wierząc pannie zlekka się uśmiechał,
A wieczorem, w salonie gdy sam na sam byli,
Przystąpił do Elwiry, korzystając z chwili,
Wziął ją śmiało za rękę... ale Boże drogi!
Elwira wnet wyrwała, a miała wzrok srogi,
Zimny uśmiech na ustach i rzekła dość śpiesznie:
— »Przestań pan! co to znaczy?... zanadto pociesznie!...
»Ja z pana żartowałam!... dostaniesz po łapie!...
»Może nadejść marszałek — Idź, bo powiem papie!«
Guwerner stracił mowę, wyleciał jak strzała,
Głowa mu się kręciła, krew jak ukrop wrzała,
Wpadł do swojéj komnaty, na stół lał atrament,
Napisał *czarną odę* i ciemny testament;
Przy kolacji był wesoł, ciągle wąsik gładził —
W nocy zaś z dubeltówki łeb sobie rozsadził. —
Narzeczona marszałka, niby z wrażliwości,
Dostała bicia serca i gwałtownych mdłości —
Znaleziono testament, marszałek go czytał,
Przyczynę samobójstwa z odrazą powitał; —
Kokieterja Elwiny była tak niemylna,
Że wnet oddał obrączkę i drapnął do Wilna.
Ten wypadek do reszty całą młodzież burzy,
Nikt już pannie Elwirze w salonach nie służy....
Zostanie starą panną, jeżeli z obawy
Nie pojedzie na zimę czasem do Warszawy,
I nie złowi bankiera, bogatego żyda,
Który mi się z nią razem do rarogów przyda.

O młodych Cielątkowskich wspomnę wam niedbale:
Wszyscy ich już oddawna znacie doskonale!
Oni to całe życie z wizytami chodzą,
Aranżują pikniki, w salonach rej wodzą, —
Oni to wprost światowéj oddani karjerze, —
W nich to głupstwo z próżnością zawarło przymierze, —
Oni wierni zwyczajom i najgłupszym modom
Nadają różne kształty pazurom i brodom; —
Badając zaś ich rodzaj, bywa kwestja taka:
Czy frak dla nich stworzony, czy oni dla fraka?

Czy w ich głowach jakowe światełko migoce?
Czy to tylko po prostu perukarskie kloce?...
Cel ich życia: bogate porobić marjaże, —
Otwierać wszystkie bale, tańcząc w pierwszéj parze, —
Na ważnych prezentacjach stawać w pierwszym rzędzie,—
Być w ścisłéj zażyłości z wyższymi w urzędzie...:
Cielątkowskich dziś każdy poznaje z ubrania,
Z ukłonu i żargonu, z głośnego paplania,
Z biletów wizytowych, na których olbrzymie
Świecą w górze dwa herby zdobiące ich imie,
Lub owa nieodzowna na bilecie miedza:
De, co zawsze nazwisko szlacheckie poprzedza.
Takich panów jest różnych kategoryj wiele,
Lecz ich myśli jednakie i jednakie cele.
Nie grzeszą przesadzoną massą wiadomości,
Przywiązaniem do kraju, miłością ludzkości,
A wyrzutów sumienia nie doznają mnogich,
Że swój fundusz strwonili, wspierając ubogich,
Artystów, literatów, lub chudych studentów.
Od składek dobroczynnych pełni są wykrętów,
Lecz dać kwotę niemałą nadobnéj kwestarce,
Wyrzucić kilka secin na bale i harce,
Kupić kocz nowomodny, lub prezent metresie,
Każdy z nich ostatniego dukata przyniesie.
Nie wiem, po co ci ludzie po tym świecie łażą?
Czemu im łbów dotychczas ogolić nie każą?
Czemu, gdy się postawą odznaczają hożą,
Jeszcze ich Kazanowy z małpami nie wożą?
Byłaby z ich istnienia jakaś korzyść przecie,
Ślicznieby wyglądali w małpiéj toalecie,
W czerwonych surducikach, w czapeczkach z piórkami,
Mogliby sprawić efekt, siedząc za kratami,—
Dzisiaj tylko do tańców cenią się ich nogi:
Są to najpospolitsze, najgłupsze rarogi!

Nim wszystkie salonowe rarogi wyliczę,
Zwracam waszą uwagę na jasne oblicze
Pana Jana Wścibskiego i jego rodziny,
To jest: długiéj małżonki i krótkiéj Malwiny,
Przyzwoitéj córuni, skromnéj jedynaczki,
Co choć bywa na świecie, jednak piecze raczki.
Pan Wścibski, człek zamożny i zacnego rodu,
Uczył się na Alwarze łaciny za młodu,
Służył do mszy w niedzielę, z gniazd wróble wyjmował,
Potém łąki osuszał, z chartami polował,
Był w mieście powiatowém lat dziewięć prezesem,
Pod starość, jak to mówią, ogłupiał z kretesem.
Choruje dziś na pana i z nieznanéj racyi
Pnie się gwałtem do hrabiów i arystokracyi.
Jedni winią w tém żonę, że to są jéj fochy,
Że ma umysł niestały i charakter płochy,
Że kiedyś, przerzucając Niesieckiego karty,
Wbiła sobie do głowy, i to nie na żarty,
Iż matki jéj małżonka prababka rodzona
Z domem hrabiów Wrzeszczyców była spokrewniona,
Więc z takowéj przyczyny, mając ród na względzie,
Prezesostwu uchodzi figurować wszędzie,
A że przytém im niebrak i dobréj maniery,
To nawet domy książąt są ich własnéj sfery.
Drudzy zarzut powyższy czynią prezesowi,
Że się dał zbałamucić jakiemuś księciowi,
Który mając interes (chcąc pożyczyć pono),
Zaprosił go do siebie raz z córką i żoną,
Tam było kilku hrabiów, których prezes poznał
I dziwnie ujmującéj gościnności doznał.
Że zaś szlachta ciekawa pytała go dużo:
Jak to jedzą u książąt? jak do stołu służą?
Co mówił książe Roman? co księżna Celina?
Tak jakoś wbił się w dumę poczciwy szlachcina,
Że odtąd postanowił w pięknym świecie bywać,
Pożyczać ruble książętom i hrabiom przegrywać.
Jaką korzyść miał z tego? nie rozumiem zgoła,
Chyba, że nań sam książę po imieniu woła,
Że się z nim na ulicy niekiedy przechadza,
Że hrabiemu w zawiłych processach doradza,
Że ich często odwiedza, gdy pragną pomocy,
Że go raz odwiedzają koło Wielkiéj-Nocy,
Że żona w gronie szlachty może się poszczycić
Córunią, która hrabiów zdołała zachwycić,
Lub koszyk z biletami wskazać przepełniony,
Gdzie się świécą nazwiska, herby i korony,
Kędy zwykle na wierzchu leży od niechcenia
Bilet księżnéj, najwięcéj słynącéj z imienia...
Wreszcie, żeby módz wyrzec słowy dość głośnemi:
»Mamy spędzić Wielkanoc *pomiędzy swojemi*:
»Dzień pierwszy u hrabiny na wielkiém święconém,
»Drugi zaś u margrabiów na balu proszonym.«
Co na owych stosunkach skorzystała córka?...
Zawsze taka niezgrabna, zawsze zmokła kurka,
Żaden książe o rękę nie prosił jéj jeszcze,
Choć na twarzy już znaczne punkciki złowieszcze;
Żadna dotąd hrabianka nie kocha jéj szczerze,
Chociaż do nich pisuje na modnym papierze,
Chociaż sie czasem grzeczną odpowiedzią chlubi—
I stary ją szambelan za niezgrabność lubi.
Pani Wścibska z swą córką ciągle wizytują,
Tych z powodu imienin, — tamtych, że chorują,
Owych prosto bez racyi... w ważnym interesie!
Do inszych chyba licho nudną babę niesie, —
Jednak się nie przyznała dotychczas nikomu,
Że musi być co tydzień w każdym modnym domu.
Przez grzeczność, starsze damy, za srogie jéj trudy,
Jeżdżą czasem i do niéj na śmiertelne nudy,
Lecz gdy ich obowiązek do prezesów wiedzie,
Zawsze jakoś znajdują państwo przy obiedzie,
I tak płacą nieszczęsnéj za charakter czuły
Kawałkiem załamanéj na rogu bibuły. —
O swoich znajomościach ciągle Wścibska plecie:
W jakim były humorze, w jakiéj toalecie,
O księżnéj zaś powtarza, gdy jest w pełnéj wenie:
»Kochana księżna Ida, ja ją wielce cenię! —
»Wczorajśmy cały wieczór przepędziły mile,
»O swych nowych projektach mówiła mi tyle!....«
Księżna zaś o niéj rzadko wspomina w swém kole,
Nazywa: *bonne vieille* Wścibska — *jakże nad nią boleję!*
A gdy stary szambelan zanadto z niéj szydzi,
To mu zlekka pogrozi, kiedy nikt nie widzi. —



Pan prezes u hrabiostwa jeszcze częściéj bywa,
Śmieszy swą naiwnością, *w preferansa grywa,*
Kiedy nie ma kompletu, lub się partja składa,
Do któréj sam pan hrabia przez dumę nie siada.
Gdy w gronie *wielkich* panów i znajomych blisko,
Hrabia musi wymienić prezesa nazwisko,
Un certain monsieur Wścibski dodaje nawiasem,
Żeby kto o zażyłość nie posądził czasem. —
Prezesówna hrabianki i wszystkie księżniczki
Ma za swe przyjaciółki i swe rówienniczki;
Jest na stopie poufnej, imituje kroje,
Przesadza w krynolinach, przeinacza stroje,
Całuje czule w usta z najsłodszém wejrzeniem,
I woła najpieściwiéj spieszczoném imieniem:
Ludko, Misiu, Celinko, najdroższa Kazieczko,
Wandziuniu, Ludgarduniu, Maniu, Feluteczko!
Przestraszone księżniczki podają jéj ręce,
Robiąc różne grymasy i figle panięce.
Rozmawiając o pannach, gdy ją wspomną kiedy,
La pauvre petite Wścibska, raczą nazwać z biedy;
Młodzież zaś tytułowa.... miłosierny Panie!
Żaden z nią do mazura na balu nie stanie,
Lornetując pod nosem, obojętnie kroczy,
A gdy raczy przemówić, to żartuje w oczy. —
Takie to państwa Wścibskich położenie w świecie,
Jednak stokroć smutniejsze w ich własnym powiecie:
Szlachta na nich bij zabij! góry mury wali, —
Wspomina czém są dzisiaj, a z czego powstali!
Wiedzą, kto był ów pradziad, co ich ród otwiera!
Nie wiedzą, czemu prezes tak nosa zadziera?
Czemu jego przyjmują i z nim się witają
Ci, do których sędziowie przystępu nie mają?
Czemu to?... czemu owo?... czemu prezes dumny?...
Zkąd ten herb na pojeździe?... przy domie kolumny?
Prezesowa w sobolach?... córka w krynolinie?!...
Niech-no przyjdą sejmiki!!... marszałkowstwo minie!

Ale żarty na stronę! — gdzie u Wścibskich głowa?...
Od szlachty ich spotyka nienawiść, obmowa,
Od książąt obojętność lub szyderstwa nieco,
A oni jeszcze do nich jak po szczęście lecą —
Śmieszni ludzie i biedni, sami sobie wrogi,
Łez godni, nie satyry — wszelakoż.... rarogi. —

Jest jeszcze pewien rodzaj rarogów salonu,
Miłego wychowania i dobrego tonu,
Co winien Bogu duszę, sobie głupstwa wiele,
A potrzebny na świecie jak dzwonek w kościele.
Wszystkich starych mężatek jest to ręka prawa,
Podpora zwiędłych panien i młodych zabawa;
Mężczyzni o nim mało, prawie nic nie wiedzą —
Te rarogi zazwyczaj przy fartuszkach siedzą. —
Hijacynt Pfeferkuchen najstarszy w ich rodzie:
Po ściśle ogolonéj poznacie go brodzie,
Po fraku starych krojów, po lasce z lwią głową,
Po spince na koszuli z różą brylantową,
I po owéj peruce, któréj kolor dziki
Przypomina toruńskie rumiane pierniki.
Pan Hijacynt za młodu (jeżeli był młody),
Słynął z dobréj manjery i pięknéj urody,
Do domu książąt Lalskich od młodości wzięty,
Pobierał wychowanie z młodemi książęty,
Z starym księciem Januszem jeździł za granicę,
Niejedną zjadł aktorkę i pokonał lwicę, —
Potém był *mażordomem* i faktotum księcia,
Dzisiaj siedzi na bruku.... kawaler do wzięcia. —
Pan Hijacynt, gdy wchodzi, cicho drzwi otwiera,
A że jakoś w młodości powąchał Woltera,
Umie czasem się zdobyć na koncepcik gładki
Z oliwą, lecz w bawełnie, smaczny dla mężatki.
Zbiera wszystkie ploteczki, chwyta myśl w przelocie,
Je dużo, lubi sago — pożera łakocie, —
Tak zaś w kole niewieściém zmiękczała mu dusza,
Że i piesków choroba aż do łez go wzrusza,
Tak go słodkim zrobiły grzeczności i dygi,
Że głowę ma z daktyla, a serduszko z figi. — —
Pan Hipolit Ricyna odznacza się cnotą,
Dwa razy do Białynicz wędrował piechotą;
Faworyt dam pobożnych i przyjaciel księży,
Nikogo obecnością swoją nie mitręży;
Na każdéj margrabiny leci zawołanie,
Spełni rozkaz najmniejszy: przepisze kazanie,
Kupi klucz do szkatułki — na kwestę prowadzi,
Konającéj papudze lekarstwo doradzi, —
Nosić szal na spacerze, stanąć do mazura....
Jedyna do wszystkiego, poczciwa figura.
Kochają go matrony, robią prezenciki;
Bo Ricyna uwielbia graty i graciki;
Ceni czystość, perfumę, małe porządeczki,
Gile, szczygły, kanarki, zielone klateczki.
Punktualny, dyskretny, detaliczny w mowie,
Wie wszystko, ale rzadko na sucho coś powie,
I to wnet pełen żeny, patrząc na kobiéty,
Poprawia bez potrzeby krochmalne mankiety,

Jest u niego, jak mówi, jedna spinka mała,
Co mu w roku dwunastym Podskarbina dała,
Lecz pokazać jéj nie chce, szanując uczucia, —
Zapisał w testamencie dla pana Bołtucia....
Dobry człowiek; tém jedném w mych się oczach gubi›
Że zamiast ważnych rzeczy same fraszki lubi. —
Pan Krapo, brudny strasznie, lecz zna się na strojach,
Wie pierwszy o najnowszych zagranicznych krojach,
Ma stosunki z kupcami, wypisze co chcecie
I potrafi w tym względzie dogodzić kobiecie;
Bardzo czuły na wszystko, co się talji tycze,
Kupował jakieś dziwne brykle tajemnicze,
Chowa zapas olejków, angielskich plasterków,
Kosmetyków, bandolin, proszeczków, eterków;
Sam się z radą narzuca, przykłady przytacza,
A chodzi całe życie jak widmo tułacza.
Plotek pełną ma torbę, roznosi je wszędzie,
Wie, kto kogo odwiedził i u kogo będzie;
Pieści pieski, śpi w kącie, a worek hrabiny
Z chusteczką i flakonem (faworyt jedyny!)
Czasem przez cały wieczór nosi po salonie,
Odszpila i zaszpila, lub tuli na łonie. — —
Oto główne postaci tych istot bez miana;
Naiwne, puste serca — rozumy bez pana —
Co wy o nich myślicie?.... ja nie myślę zgoła,
Niechaj myślą kobiety, gdy każda ich woła,
Kiedy siadłszy na karku pędzi bez ostrogi —
Są to grzeczne, niewinne, potulne.... rarogi.

W końcu powiem wam słówko o jednym z tych ludzi,
Co to zwykle w salonach uwielbienie budzi, —
Lecz przebaczcie nazwisko — urok je otacza —
Opiszę wam charakter Azora Szczekacza. —
Pan Azor w towarzystwie znajomy oddawna,
Figura pożądana, wesoła, zabawna....
Zkąd się wziął? jak i kiedy? nikt nie pyta o to,
Wszyscy go otaczają największą pieszczotą,
Ci z ukrytéj bojazni, owi że ich śmieszy —
Wyszydzi państwa Wścibskich i wyjście przyspieszy.
Pan Szczekacz drwi z wszystkiego, kalamburem strzela,
Zazwyczaj po francuzku czerni przyjaciela;
Téj ogadać kapelusz, tamtéj złą wymowę,
Temu rogi olbrzymie wpakować na głowę,
Owemu dać przezwisko, epitet złośliwy,
O biednéj marszałkowéj opowiadać dziwy,
Innych giesta małpować, lub naiwnie strzelić
Lubrycznym dwuznacznikiem — młodzież rozweselić—
A nawet najuczciwszych obedrzeć ze skóry,
Jeśli mogą być żarty, drwinki, kalambury, —
Oto cel jego chęci, to myśl jego stała,
Do tego tylko dąży i ku temu pała. —
Pan Azor zawsze wszystkich na dowcip wyzywa —
Często w swoich konceptach *nec plus ultra* bywa,
Ale dotąd nie wyszedł z ram *osobistości*,
Nie pojmuje ironji na zgubę zdrożności,
Nie zrozumiał satyry — jakie są jéj cele —
Że *ridendo* dziś jeszcze można zdziałać wiele, —
Zły na wszystko, drwi ciągle, tak musi, tak czuje,
Niezdolny do myślenia, a więc dowcipkuje,
Jak kundel, co bez racyi całe noce szczeka,
Drażniony własnym cieniem, choć nie ma człowieka.
W teatrze marjonetek, co salonem żwie się,
Pan Azor Poliszynel do honorów pnie się, —
Boją się go poczciwi, uwielbiają osły,
A panny już pod niebo oddawna wyniosły. —
O! ja takim figurom, chcąc nabawić czkawek,
Stawiłbym na języki po półkopy pijawek,
Żeby choć za pomocą błotnistego gadu,
Przytępić ostre żądła i pozbawić jadu.
Niechajby wpadłszy w nader nieprzyjemne sidła,
Przypłacili i oni za swoje czernidła! —
Są to ludzie bez serca, ich umysł ubogi,
Zjadliwe, dosyć rzadkie, lecz wielkie.... rarogi. —

2.

RAROGI OBYWATELSKIE.

Teraz waszą fantazję w inszy świat powiodę,
Nad ciche wiejskie pola, nad źródlaną wodę,
Nad owe piękne łąki haftowane w kwiaty,
Nad owe wiejskie dwory i wioskowe chaty,
Kędy komin browarny gęstym dymem bucha,
Gdzie *ponocny* zziębnięty w zmarzłe ręce chucha,
Gdzie po tłustéj wieczerzy pan ekonom marzy,
Gdzie w gumnie biednych kmiotków Lejba gospodarzy, —
Gdzie córka pana domu, wzór śmiesznych pretensji,
Powróciwszy niedawno ze wzorowéj pensyi,
Tarmosi na klawiszach Karnawał Wenecki,
Marsz Szturma, Noktiurn Pusza, lub walczyk niemiecki;
Gdzie w karczmie skaczą *byczka* pół-pijani włościanie,
Gdzie wszystko dosyć drogie, tylko rózgi tanie, —
Gdzie sędzia w preferansa grywa całe noce,
A w chatach już *o kurach* łuczywo migoce,—
Kędy dobra sędzina gdérze nieustannie,
Gdzie w niczém garderobny nie dogodzą pannie,
Gdzie się kucharz dzień cały zakrapia potrosze,
Rej wodzą tłuste gęsi, tronują kokosze,
Kiełbasy są bożyszczem, wędlina osłodą
I baby wielkanocne wsławione urodą; —
Gdzie owe konfitury smażone na miodzie,
Których zapach przyjemny powonienie bodzie,
O których Cwejbakosia jakiś sekret skrywa
(Kładzie *groszak* do miodu, co smak wydobywa),
A robi tak ich dużo, tyle gościom daje,
Że możnaby nasycić całą głodną zgraję; —
Gdzie jakoś dla poety jeszcze niezbyt miło,
Gdzie wiele się ujęło, a nic nie zrobiło,

Zkąd wreszcie nowy zapas rarogów przyniosę,
Bo biedne ideały obdarte i bose,
Bo wśród chłodu żywota wyobraźnia młoda
Porasta w sople lodu, jak na mrozie broda,
A serce darmo bada czyli w tym odmęcie,
Powstanie jakie ciepło na dobra poczęcie, —
Gdzie dotąd, jak na hańbę staréj Europy,
Mieszkają Chłopodusie, żyją Dusichłopy. —

Muzo, ciocio półgłówków, stryjenko fiksatów!
Co durzysz na Olimpie chudych literatów,
Coś poetą zrobiła *pana* Kalidasa,
Zaślepiła Homera, zubożyła Tassa,
Pchnęła Danta do piekła, Miltona do raju,
Wznieciła łez krynicę w Petrarce mazgaju,
Kazała badać człeka nieznośnemu Pope,
Bajronem zachwyciła całą Europę,
A i naszym Litwinom, cnym obywatelom,
Poleciła hołd składać swym różnym czcicielom....
O! Muzo — precz odemnie! nie chcę twojéj sławy!
Jestem człowiek praktyczny, obywatel prawy,
Nie chcę już poezjami miłosnéj osnowy
Sędziance gospodarczéj bałamucić głowy,
Nie chcę być, jak ten skryba, o którym wciąż słyszę,
Co to powiat objedzie, a potém opisze!
Dość mi mego browaru, obory i brzucha,
Sam pastuchem nie będę, mam chłopa pastucha;
Co mi twoja poezja! co twoja oświata!
Mam dość chleba na dzisiaj, mam na przyszłe lata!
Lecz ty zacny *Kurjerze* i ty *Kalendarzu*,
Dajcie mi chrzest głupoty na waszym ołtarzu;
W bibulastym *Zymelu* (*), w dodatku gazety,
Lepsze są wiadomości niż w książkach poety. —
O! Muzo — zmykaj z drogi! jadę do sąsiada,
Już Satyr dwa otyłe pegazy zakłada;
Oba mają najedzie i zęby bez daty —
Kasztanek dychawiczny i kozincowaty,
Bułańczyk ochwacony, zatarty na karku,
Wepchnę panu hrabiemu w Widzach na jarmarku,
Zrobię mały handelek — Mordchel dopomoże,
Hrabia da cztery siwki, ja wyżła dołożę, —
Bo wiedz o tém, szanowna olimpijska pani,
Że choć szlachcic szlachcicem, dziś końmi cygani;
A sędzia do handlarstwa ma jasne powody:
Pegazy go nosiły, gdy był jeszcze młody,
Przypłacił nader grubo i kieską i zdrowiem,
Aż teraz dreszcz po skórze przebiega mu mrowiem;
Bo i on, będąc w klassach, do podkomorzanki
Pisywał tryolety, elegje, sielanki
Tak pełne sentymentów, jak podróże Sterna,
Lecz się ojciec zawinął koło sempiterna,
Taką chryję wypisał mu na pargaminie,
Mówiąc: szlachcic z urzędu, nie z poezyi słynie,
Iż zaprzestał gryzmolić, poczuwszy zło w piórze, —
Dzisiaj pisze bizunem na włościańskiéj skórze,
Jako szlachcic uczciwy je i gospodarzy,
A nazwą literata herbu nie znieważy.
Muzo ty olimpijska!... Ale dosyć o tém!
Wstrzymał Satyr pegazy, jak oblane potém,
Już z ganku pan Chłopoduś czapeczką mię wita —
Postać zacna, kochana, nasza rodowita:
»*Tysiąc smaków!* sąsiedzie, dobry deputacie!
»Jak widzę, *tysiąc smaków*, często przyjeżdżacie!
»Zdrowieczko co? jak tego?... a żona i dzieci?....
»Spędziłeś całkiem konie — któż-to w upał leci?!
»Prosimy do pokojów! — żona w oficynie,
»Ja sam cały dziś ranek spędziłem w odrynie,
»Józia piecze sucharki, *tysiąc smaków* w sali
»Przyjmie cię guwernantka którąśmy dostali, —
»Panienka z edukacją — Flora Fitfirdycka,
»Muzykę umie *arto* i śpiewa z gotycka;
»Ja sam wkrótce nadejdę, odprawię Lejzera,
»Kupił beczkę kartofli i zaraz zabiera. —

Pan Kajetan Chłopoduś, jak widzą sąsiedzi,
W Ciuciszkach na dwudziestu własnych chatach siedzi,
Gospodarzy zajadle, nie wysuwa nosa,
A co z chłopa wyciśnie, to wepchnie do trzosa.
Zkąd jest rodem Chłopoduś, różnie o tém plotą,
Ojciec jego w te strony przypełznął piechotą,
Od pana prezydenta dzierżawił zaścianek,
Wynajmował żydowi po kilka furmanek,
Wyrabiał z cudzych lasów gonty i obody, —
Złożył w Wilnie prawdziwe szlacheckie wywody,
A po latach niewielu kupiwszy majątek,
Pojechał na sejmiczki; na pierwszy początek
Obrany delegatem, wkrótce sędzią został,
Tył, sądził, grywał w karty i parobków chłostał,
Sprzedawał jajka, sery, cebule i boby —
Umarł w wieku podeszłym z wydęcia wątroby,
W mundurze swym sędziowskim został pochowany,
Jak w sali na potrecie tu wymalowany. —
Niektórzy dowodzili, że przybył z Pińszczyzny,
Złośliwsi, że z jakowejś zamorskiéj ojczyzny —
Że był rzeźnik, mieszczanin, bił wieprze i smolił....
A może, co najgorsza! podbródka nie golił. —
Lecz to fałsz oczywisty, kalumnja zawzięta,
Leżą wszystkie szlacheckie w aktach dokumenta.
Pan Kajetan świadomy, że w jego rodzicu
Powiat miał zaufanie, jak w prawym szlachcicu;
Postanowił rozsądnie zdążać w ojca ślady,
Unikać zażyłości, przyjaźni i zwady:
Pochlebiać całéj szlachcie, krzyczéć na magnata,
Nie miéć żadnéj pretensyi do wielkiego świata,
Nie cierpiéć bród, lornetek, fraków, francuzczyzny,
Lecz wcale nie z niechęci do wszelkiéj obczyzny,
Bo Lejbę trzyma w karczmie, nie słucha zakazów —
Umie nawet lość dużo *żydowskich* wyrazów,
Ale prosto z zazdrości że sam nie posiada
Języka, którym każdy *arystokrat* gada;

(*) Drukarz w Wilnie.

A że jest demokratą, zrozumiéć zbyt łatwo:
Młodość swoją przepędził z folwarkową dziatwą,
Z synaczkiem ekonoma ciągał się za włosy,
Jeździł konno nå kiju, obdarty i bosy,
Kręcił bicze z pastuszkiem, puszczał wilczka z kija,
Wiedział, jak się na wiosnę z łoz dudka wywija,
Kotowi przypiąć pęcherz z grochem do ogona,
Skraść z apteki pierniki, z inspektów kawona,
Potém rzucić na kogoś, nie przyznać się wcale,
Wszystko to umiał wcześnie bardzo doskonale. —
A że kiedy do domu przybywała obca
Czasem jaka figura, ukrywano chłopca,
Bo był zawsze obdarty i nigdy nie myty,
Do tego o wypadkach domowych nieskryty,
Tak iż wnet opowiadał z czém się taił tata;
Niedziw więc, że dziś taki srogi demokrata.
W dwunastéj wiośnie życia uczyć go zaczęto;
Przypadkiem guwernera w miasteczku najęto,
Co ukończył trzy klassy i przy assesorze
Pełnił urząd kopisty w swobodniejszéj porze,
To jest, kiedy u Mowszy w karczmie murowanéj
Nie zaglądał z rozpaczą do szklanki nalanéj. —
Pan Hilary Zapojło, za rubli czterdzieście,
Będąc w dobrym humorze po odbytym feście,
Zgodził się wnet sędzica, wziąwszy czas pod miarę,
Przygotować do *pierwszéj* za miesięcy parę.
Jak tam szły te nauki, nie powiem dokładnie, —
Lecz widać, że Kajetan uczył się przykładnie,
Bo zaraz po wakacjach wszedł do pierwszéj klassy,
Gdzie mu drogę utarły szynki i kiełbasy,
Kilka fasek masełka, wór mąki grochowéj,
Dla méj zacnéj, kochanéj pani Prefektowéj. —
W gimnazjum Kajetanek uczył się pośrednio;
Nie wsławił siebie żadną nadzwyczajną brednią.
Miał zdolności niemałe do arytmetyki,
Lubił go Pneumatowicz, professor fizyki;
Z łaciną i historją gorzéj mu się działo,
Do wokabuł i faktów pamięci nie stało:
Zawsze osioł był — *porcus*, a *asinus* wieprzem,
Piper polskim ogórkiem, a *cucumis* pieprzem,
Cezar zabił Brutusa — przeciw Cycerona
Sławna jest Katylina ojczyzny obrona, —
Popiel zjadł wszystkie myszy — Krakus przyjął wiarę —
Mieczysław zabił smoka, straszliwą poczwarę....
Mógłby lepiéj powiedziéć, lecz był roztargniony,
Zawsze w jakiéjś tajemnéj myśli zatopiony,
A że milczał najczęściéj, jakby zamiar knując,
Koledzy go abstraktem przezwali żartując;
Sam dziś sobie przyznaje skłonność do dystrakcyi,
I mówi: »ja mam zdolność do ciągłéj *abstrakcyi.*«
(Jednak mędrców niemieckich wcale nie zastrasza,
Nigdy swych transcendentnych studjów nie ogłasza).
Lecz mniejsza o nauki; uczył się jak inni:
Kiedy lekcyi nie umie, to się uniewinni —
Stracił książkę, lub sekstern, czy bolała głowa, —
Kiedy umie, to wszystko wypali do słowa,
Sam się zręcznie nawinie, poprosi o zdanie,
I nigdy na dwa lata w klassie nie zostanie.
Kaptował professorów, umizgał się ładnie,
Gdy spotka na ulicy, czapeczki nie kładnie,
Gdy powraca z wakacyi, przywozi prezenta,
A o wszelkich słabościach i gustach pamięta.
Kochali więc go wszyscy, tylko dla złéj miny
Nie lubił pan Bzikowicz, profesor łaciny. —
Lecz czém z czasem Chłopoduś miał zostać na świecie,
Tém się już nawet w szkołach odznaczało dziecię:
Skąpy był niesłychanie i chciwy straszliwie,
Bez serca i każdego krzywdzący złośliwie.
Wyzwać głupszych na handel i oszukać godnie,
U poczciwych prezencik wyprosić łagodnie,
Przepisywać zadania za różne graciki,
Cyrkle, książki, pomady, szczotki, scyzoryki,
Dać rubelka na procent, umiał przewybornie,
A wszystko to tak robił słodko i pokornie,
Tak każdego oczmucił, że za złe nie miano,
Kiedy się nawet w końcu na figlu poznano. —
Krył zawsze kilka rubli na dnie toaletki, —
Handlował wszystko, wszystko: buciki, skarpetki,
Łańcuszki od zegarków, pióra, kałamarze,
Wszystko-wszystkiém, gdzie tylko korzyść się okaże;
A gdy czasem oszukał chłopczyka młodszego,
Nie zważał na lamenty i śmiał się z łez jego. —
Matka się radowała, że kochany synek
Zwykle dla niéj przywoził jakiś upominek,
Ojciec zaś, że nie tracił dawanych pieniędzy,
Że będzie prawy szlachcic i nie pozna nędzy. —
Takie to było dziecko z pana Kajetana —
Dzisiaj wzór egoisty i chłopów tyrana.
Pod nosem w piątéj klassie skrobał scyzorykiem,
Chcąc w domu garderóbnę zachwycić wąsikiem,
W szóstéj.... szóstéj nie skończył, dla prostéj przyczyny,
Że musiał zostać głową domu i rodziny. —
Umarł sędzia i ojciec, a słaba sędzina
Wnet ze szkół do Ciuciszek przywołała syna —
(Zacna to była dama, z sercem wiecznie młodém,
Urodzona Szpicmamel, z pod Kurlandyi rodem),
Wręczyła Kajesiowi rządy gospodarki,
Gorzelnie, śpichrz, oborę i włościańskie karki, —
Sama bowiem, choć piekła wybornie pierniki,
Nie umiała odróżnić pszenicy od gryki. —
Dziwnie się jakoś zawsze na tym świecie składa —
Jabłuszko od jabłoni niedaleko pada:
Kajetan w gospodarstwie poszedł ojca torem,
Był wkrótce litewskiego agronoma wzorem,
Trzymał się w każdym względzie odwiecznéj rutyny,
Chował bydło *rassowe* z różnéj mięszaniny, —
Jak ognia piekielnego bał się płodozmianów,
Wyrabiał trzy poletki wśród obszernych łanów,
Młócił wszystko cepami, by mieć więcéj ziarna,
A browar — browar panie — świątynia ofiarna!
Przez nią cała intrata, kartofle i żyto,
Wpływała do imbaru *wonną* okowitą.
Uwielbiał tę zasadę: jak najwięcéj sprzedać,
Ciągnąć korzyść z wszystkiego — nikomu nic nie dać.
W stosunku z poddanymi miał ich za zwierzęta,
Potrzebne w gospodarce jak inne bydlęta,
Bo chłop z chama się rodzi, a rodzi pijakiem,
Hultajem i złodziejem — wierutnym łajdakiem;
Pędził więc na pańszczyznę trzy dni z każdéj duszy —
Nigdy go narzekanie żadne nie poruszy,
Ani własny pożytek, bo gdzie chłop bogaty,
Tam się téż i pan większéj spodziewa intraty:

— Niech chłop będzie ubogi, nie ma ani hetki,
Byle dworne, jak trzeba, wyrobił poletki,
Niech sprzeda na podatek cielicę jedyną,
Byle wszystko zapłacił i wyżył z rodziną. —
Nie bił wszakże swych włościan — nie masz w tém korzyści,
Bo skórą z należności chłop się nie uiści;
Sztrof naznaczyć za winę, to najlepsza groza,
Przytém szkoda i rózeg — niech podrasta łoza! —
By nie stracić pańszczyzny, nie mieć zaległości,
Zazwyczaj w dni święteczne brał furmanki z włości,
Gdy ksiądz uczył w kościele, jak czczą się dni święte,
Szły furmanki z Ciuciszek żydowi najęte....
O! Chłopoduś swéj wioski jest pijawką prawdziwą:
Męczy, gniecie, wysysa, wypija krew żywą,
Okłada daninami, każe znosić grzyby,
Orzechy, kury, jajka, prosięta i ryby,
Prząść talki, miód podbierać — i niewiem co więcéj!
A tych danin pilnować zmusza najgoręcéj
I wybredza straszliwie — bo to zawsze zda się,
Można sprzedać do miasta i mieć *drobne* w kassie,
A jak durzy swych kmieci! jakie zmyśla środki!
Jak prosi uniżenie i robi wzrok słodki
Kiedy od nich wymaga pańszczyzny nad miarę:
»*Kochane moje dziatki!* zróbcie mi ofiarę! —
»Proszę z serca, jak ojciec, nie administrator....
»Przyjdźcie jutro do gumna... ot tak... kto amator!«
Pomnę, razu jednego jechałem tą stroną
Przez wioskę Chłopodusia starą i zniszczoną,
Spotykam kilku włościan, jedni cepy niosą,
Drugi idzie z siekierą, łopatą i kosą....
Wszyscy biedni, obdarci, schyleni do ziemi,
Twarze stare, zawiędłe, z oczami łzawemi:
— Dokądże to idziecie? — wszak już późna pora —
»Do dworu, dobrodzieju, — czas na *amatora.*«
Nie pojąłem zupełnie, co ten koncept znaczył,
Potém mi sam Chłopoduś serjo wytłómaczył.
Niedosyć, że ich gnębi, ogołaca z mienia,
Ma prawo do ich duszy, serca i sumienia:
Trzyma w karczmie wśród wioski żyda arendarza,
Co ich poi, a pojąc rozpustę rozmnaża;
Żeni gwałtem parobków, a za mąż dziewczyny
Nie puszcza do wsi cudzéj, by nie zmniejszyć gminy;
Umysł karmi ciemnotą, szkółki nie zakłada
I pozwala kraść drzewo z porębów sąsiada —
Zacny, miły paterek — nie wstydzi się ludzi,
Lecz kréska na Matyska i jego obudzi!...
Chciałbym pisać morały, krew się w żyłach burzy,
Ściskają się kułaki.... a koncept nie służy. —

Jakto? koncept nie służy — i cóż to ja plotę?
Możnaż puścić bezkarnie podłość i głupotę?
Użyję do mych żartów wszystkich alembików:
Trójkątów, pół-księżyców, gwiazdek, kwadracików,
I choćby mię Chłopoduś nazwał astrologiem,
Jak Bóg miły! dowiodę że on jest rarogiem.
Bo czyż nie jest rarogiem, kto się gości lęka,
A kiedy doń przyjadą, to ze złości pęka,
Tak wykrzywia swe usta i tak nosem kręci,
Jakby siarką cuchnęli wśród piekła poczęci?...
Kto mając w swéj szkatule śpleśniałe dukaty,
Żałuje dla sąsiadów uczciwéj herbaty?
Kto każe pod sekretem gościnnym furmanom,
Zaprzęgać prędzéj konie, by nie dać jeść panom?
U kogo biedna czeladź sześć dni zwykle pości,
A w niedzielę dostaje na okrasę kości?
Kto unika stosunków i nie żyje z nikim;
Tylko z panem *Stanowym* i panem *Sprawnikiem*,
Bo mogą być potrzebni gdy się śledztwo zdarzy,
Lub się w głowie jakowy processik zamarzy? —
Kto nic więcéj nie kocha, jeno kieszeń własną?
Kto mieszka jak ubogi i brudno i ciasno,
Sprzedając gonty, cegły, kamienie i belki,
Mając gumna wspaniałe, hodując las wszelki?
Kto cale nie wygląda na szlachcica, pana?
Figura odlepiona prosto z parawana:



Niezgrabny, niski, chudy, podobny do trzaski,
Nos wielki, łebek wązki, śpiczasty i płaski,
Oczki małe, ruchliwe, usta zaciśnięte,
Włos ryży, przyplaskany, wąsiki podcięte,
Broda z nosem w harmonji, ruchy kołowate,
Słowem, pchnij do komina, lub sadź na łopatę. —
Kto wreszcie w swém ubraniu tak rarogowaty,
Że nosi kamizelki w najjaskrawsze kwiaty,
Maniszkę na koszuli, halsztuch lastyngowy,
Kraciaste pantalony i surducik płowy?...
Kto ma żonę tak śmieszną, tak dziką infantkę,
A w końcu, jak na deser — taką guwernantkę!?
Nie jestże ten rarogiem, u kogo na ścianie
Wisi w ramach złoconych podobne peckanie?...
Tu peizażyk litewski — las przy słońca wschodzie:
Pływają żółte kaczki na czerwonéj wodzie,
Stérczą drzewa błękitne na zieloném niebie
I każde o swój rodzaj, zda się, pyta siebie —
Jest-li sosną, leszczyną, topolą lub dębem?
Bo każdy liść okrągły z jednakowym zębem;

Z po za prostych gałęzi, podobnych do kratek,
Wyziera małe słońce jak brudny opłatek,
A z boku jakiś rycerz czarno malowany
Pędzi cepem przed sobą koty czy barany? —
U kogo zdobi salon ów zbiór znakomity:
Krakowiak paciorkami na kanwie wyszyty,
Wilhelm Tel strzela z łuku, Esmeralda płacze,
I Józef Poniatowski konno w wodę skacze;
Na gzymsie od kominka siedzi *kot gipsowy*
Drażniący *turka z fajką* ciągłym ruchem głowy,
Między nimi zaś stoi drewniana poczwarka —
Niemczyk, co zamiast brzucha używa zegarka?
Kto wszędzie zwykł unikać wszystkich literatów,
Mając ich za oszustów, albo za warjatów?
Kto się boi nauki szkodliwéj dla tłumu,
Dowodząc że pretensyi nie ma do rozumu?
Szczególną zaś awersję do krytyków czuje,
Bo krytyk nie kto inny satyry drukuje....
Nie jestże ten istotnym, bezwzględnym rarogiem,
Kto i mnie za te rymy nazwie — demagogiem?—

Lecz wejdźmy do salonu; oto panna Flora,
Z podwiązaną twarzyczką, bo na zęby chora,
Przyjmuje nas uprzejmie, kręci się i dyga,
Ślizga się po posadzce jak w ustach ostryga....
Co za postać nadobna! jaka rączka mała!
Zgrabniutka i pulchniutka, nieco ogorzała;
Talja Nimfy — ściśnięta, choć wielkie ramiona,
Choć cała na dość krótkich nóżkach osadzona,
A biust dzikich rozmiarów i szyjka nielada,
Co kształtem ogółowi wiernie odpowiada;
Nosek mały, zadarty, jawnie znamionuje
Osobę, która żywo i myśli i czuje,
A z uśmiechu na ustach i z bystrego oka
Wnoszę, że lubi czytać dzieła Paul-de-Kock'a,
Nóżka zas z pod sukienki patrząca figlarnie
Przekonywa, że dotąd nie czytała marnie;
Papierosik w usteczkach bardzo jéj do twarzy,
Kiedy w oknie otwartém przy księżycu marzy, —
Piwonja w jasnych włosach, bukiet na bawecie
Czyni z niéj anielicę błądzącą po świecie. —
Florjanna Fitfirdycka z ułożenia słynie,
Imponuje w Ciuciszkach szlacheckiéj rodzinie;
Z pensjonu Głupkiewiczów wyszła z atestatem,
Oswojona z nauką i zna się ze światem. —
Chłopoduś o niéj mówi: »wszak posłuchać warto,
»Bo gra prosto jak Szopin, co *arto*, to *arto!*
»Śpiewa zaś jak Taljoni, tańcuje by Wjardo —
cA z gośćmi tak po pańsku — i śmiało i hardo;
»To mi panie, kobieta; tylko wielkie tony!
»*Tysiąc smaków* za droga — przyjąłem dla żony,
»Ona tego żądała; wedle mnie dla córki
»Dosyć umiéć haftować i sadzić ogórki.« —
Że u państwa Zapieckich sześć miesięcy była,
Fitfirdycka zupełnie Ciuciszka podbiła,
Bo Zapieccy w powiecie znani z urodzenia,
Stosunków, wychowania i znacznego mienia:

Gdy czasem guwernantkę regularna pani
Za lekcyi opuszczenie cokolwiek nagani,
Lub córka chce się uczyć wokabuł niemieckich,
Flora wnet woła z dąsem: nie tak u Zapieckich!
A ten silny argument wprost trafia do mety —
Musi milczéć Chłopoduś i milczą kobiety.
Panna Flora dzień cały pali papierosy,
Przechodząc koło lustra aranżuje włosy,
Grywa z Józią poleczki, kadryle, walczyki,
Uczy ją pod sekretem miłosnej mimiki, —
Fałszywie śpiewa piosnki uczuciowéj treści,
Czytują tuzinkowe warszawskie powieści,
Od roku już dla siebie wyszywa falbanę....
Miewa czasem pod wieczór oczy zapłakane,
Półgłosem długie z sobą rozmowy prowadzi,
Zda się komuś przebacza, to znów się z nim wadzi,
Kładzie rękę na serce, z westchnieniem wspomina
Jakiegoś niewdzięcznika pana Zefiryna. —
Śpi zwykle do dziesiątéj i roi o szczęściu,
Które niebo zawarło w najprędszém zamęźciu,
I nieraz jéj się śniło... że jest w domu *wdowca*
Przy córce jedynaczce... *on* z nią, niby owca,
Cichy, skromny, niepewny, rumieńcem oblany....
Bogaty.... pan Marszałek i tak.... zakochany!...
Biorą ślub... tańczy sama... Zefiryn tuż za nią....
Czuje ciepło... je lody... i jest... *wielką panią*....
Ma piórko obwinięte błękitnym atłasem
Z przytwierdzonym u góry szychowym kutasem,
Na różowym papierze pisuje niém listy
Do bliskiego krewnego w Wilnie — kancelisty;
Choć niczego nie uczy, lecz rzecz oczywista,
Że Józia na manjerach przy Florze skorzysta. —

— Pan deputat! jak dobrze!
»Witam panną Florę.«
— Mamy już od dni kilku bardzo piękną porę. —
»Tak, pani, ale deszcze bywają stronami.«

(*milczenie*).

— Co słychać u Zapieckich?... nie widzą się z nami..
»Nic nowego, spokojnie; jak na wsi, zwyczajnie.«
— Czy prawda że podsędek wymurował stajnię?....
»A jakże! i gotycką«...
Krysia za mąż idzie....
I podobno bogato... wychowana w biedzie!
Jak to los sprzyja ludziom... prawda deputacie?
»Za strapczego, do Grodna«....

(*milczenie*).

— Co teraz czytacie?
Ja czytałam *Pieniążka* — bardzo cenne dziełko!
»O pieniążki, pieniążki! to nie błahe szkiełko!
»I ja lubię utwory takiego rodzaju,
»Bodajby ich najwięcéj było w naszym kraju.«
— Jak pan zręcznie powiedział! —

(*Dalszy ciąg później*).

REBUS № 2.



KORRESPONDENCJA

DWÓCH PANIEN LITEWSKICH.

1.

LIST Z MIASTA.

Julciu, serce moje! nie możesz sobie wystawić, jak mi tęskno do ciebie! Miasto nasze teraz tak nudne, że aż mię we dnie sen morzy; nikogo przyzwoitego nie ma; wszystko co żyło, po sławnym balu w klubie wyjechało na wieś, a tylkośmy z mamą pozostały pomiędzy czterema ścianami. Nie wiem co z sobą począć? śpię do godziny jedenastéj, w negliżu piję herbatę, ubieram się jak mogę najskromniéj, bo niemam dla kogo, tak, że moja Izabella gorszy się, mówiąc iż mało myślę o sobie; przed obiadem piszę listy, lub czytam Dumasa syna *L'histoire de quatre femmes et d'un perroquet*, czy téż z desperacji haftuję kołnierzyk; przychodzi obiad, jem za czterech *et j'ai peur de devenir forte;* po obiedzie znowu lektura lub sen aż do zmroku, nim w salonie nie zapalą lamp, wtenczas kładnę nieco lepszą suknię i przyjmujem z mamą gości Znasz Julciu wszystkich naszych znajomych, a nikt nowy nie przybył; wiecznie ci sami: stary p. M. ze swoim synowcem, p. R. w peruce i z zapasem nowin brukowych, młody D., którego tak dobrze nazwałaś szesnastoletnim pawjanem obdarzonym mową, doktor C., p. K., marszałek F., nieoszacowany P. i wreszcie długowłosy poeta. Cała ta truppa aktorów teatru życia mało co się odmieniła, bo jak wiesz, mówiąc stylem Wiktorka: zwracam uwagę na fazy rozwoju ich moralnéj istoty i jedno tylko spostrzegłam, że P. zaczyna zupełnie dywagować. Wszyscy teraz zajęci kwestją włościańską, o któréj długie *tirady* panów komitetowych nieraz mię do ostateczności doprowadzały, a on zatopiony w jakichś kwestjach żywotnych, ciągle o nich gada, lecz nietylko ja, biedna istotka, ale nikt go zupełnie nie rozumie. Bez ustanku słyszę wyrazy: prawda i byt, byt w prawdzie, prawda w bycie, byt pod prawdą, na prawdzie, koło prawdy; tak że aż spazmów można dostać; a że jeszcze przychodzą często do nas panowie Z. i Y. należący do komitetu, więc się jak zawiąże dysputa, mając w głowie remanenta, siedziby, gminy, szarwarki i indemnizację, połączoną z żywotnemi kwestjami w prawdzie bytu, idę spać do mojego pokoiku jak z krzyża zdjęta, i nie mogę dobrze zmówić pacierza. Izabelka zaś dowodzi, że przeraźliwie krzyczę przez sen. Oto skutki żywotnych kwestji... niechby ci panowie nie gadali o nich w naszym salonie! Jaka ty szczęśliwa, moja Julciu,

że nie słyszysz tych wszystkich rozpraw i bawisz się w miłém kółku swojéj rodziny; musisz zapewne odwiedzać i sąsiedztwo; napisz do mnie, czy ci kto nie trafił do serca? słyszałem, że w waszych stronach jest dużo młodzieży i wiele przyzwoitych panien. A *à propos* młodzieży, powiem ci, że pewien młody człowiek, któregośmy nazywały Cherubinkiem, a którego błękitne oczy, pełne wyrazu niewinności, umiały się wielu osobom podobać, żeni się; co zaś najokropniejsza, że się żeni bogato; wystaw sobie z kim?... z Petrunelką, *gui était si gauche*, co to zawsze używała żółtych wstążek do błękitnéj sukni i nosiła takie nieznośne kapelusze! Pfe! ja tego nie rozumiem! żeby jeszcze była ładna, darowałabym mu, ale to, *soit dit entre nous*, straszydełko, bez talji, bez cery i do tego *avec un nez exorbitant!* Wszakże zważając na to, że Cherubinek pełen dziwnéj exaltacji, wiecznie *w Przedświtach, Dziadach, Zachwycony i ubłogosławiony*, a Petrunelka, jak wiesz, od dzieciństwa kultywuje polską literaturę i przejęta Lenartowiczem, gada nieustannie *o biednym ludku* i nieszczęśliwych *kmiotkach*, więc te dwie istoty mogły do siebie przystać; zeszły się na gościńcu ducha! Spostrzegasz, Julciu, że i ja zaczynam górno-lotnie się wyrażać, zostanę wkrótce *światłomiotem*, jak pan Jerzy nazywa naszego nieporównanego Wiktorka, który dotąd nie może się *oddorpacić*. Szkoda Cherubinka! ta Petrunelka go zadziubie; a taki on był miły, kiedy podnosząc w górę swoje błękitne oczy, odpowiadał na twe zapytania: „O! pani, tak!" a przytém kawaler do wzięcia! Anielka, która na niego rzucała *eljady*, pęka ze złości, że nie potrafiła go złowić; śmieje się z niego, dowodzi że był spekulantem marjażowym i zupełnie zaprzestała wspominać o słowikach, strumykach, kwiatkach i przyjemnościach wiejskich, do których nigdy nie miała słabości, będąc panną w całém znaczeniu miastową i lubiącą paradować w ogrodach i na ulicy dla zafrapowania sobą, lub popisania się z jakim nowym stroikiem.... Napisz czy u was na wsi już są znajome *każe*? tutaj wszyscy mężczyzni, powodowani wocyferacjami gazeciarzy, nastają na krynoliny, chóciaż w duchu czują, że one nam wiele dodają. Śmieszni! wystaw sobie, że mi Wiktor dowodził, jakoby kobietę można porównać do pestki, któréj skorupą jest krynolina, lub że każda z nas podobna do polnéj cykorji; zdmuchnąć krynolinę, a zostanie... doprawdy już nie wiem, co takiego?... Ja zaś mu na to: — Czy ci się podoba ta piękna kometa, którą widzisz przez okno? — On: — Bardzo ładna gwiazda!—Ja:—Ładna, tak, bo kometa jest gwiazdą w krynolinie; zatém gdy gwiazdy pozwalają sobie téj przyjemności, czemużbyśmy nie miały robić tego samego? —Widzisz, jakem się dobrze znalazła! — Julciu! Julciu! kiedy ty do nas powrócisz? tak mi źle bez ciebie, niemam się z kim wygadać *et j'ai mille et mille choses à vous dire...* czy pamiętasz ostatni bal?... jakeś ty na nim ładnie wyglądała! jak dużo tańcowałyśmy obie tyle wspomnień!... przypomnij Tadeusza!

Czy pamiętasz twój kąteczek?
Ja pamiętam buduarek! —
Tam ci prawił twój Tadeczek,
Tu mi mówił mój Oskarek...
Tam dłoń ścisnął ci Tadeczek,
Tutaj westchnął mój Oskarek...
Drogi dla cię twój kąteczek,
Miły dla mnie buduarek.

Uważasz... od czasu jak się w tobie zakochał nasz długowłosy poeta, i drukuje swoje mistyczno-alegoryczno-sentymentalne wiersze, a my je przez grzeczność musimy czytać, i ja zaczęłam poetyzować; przyznaj wszakże, że mam wielki talent. Na zakończenie muszę ci powiedzieć, że Oskar nie wyjechał z miasta, i żeby nie to, że się często przejeżdża konno przed naszemi oknami, zanudziłabym się bez ciebie; ten Oskar niezły człowiek, ale... nosi dotychczas wielkie krochmalne kołnierzyki i strasznie bez taktu tańczy polkę! Kochać go nie można, choć mi mama dawała do zrozumienia, że jest wcale dobrą partją. Ale kończę już list, bije pierwsza godzina w nocy, spać mi się chce niemiłosiernie; całuję cię w twoje śliczne oczki i czekam odpowiedzi.

Twoja Krystyna B.

P. S. Mama mi sprowadziła z Warszawy od Adeli przecudowny kapelusik. Przyślij formę twoich mankiecików! u Anielki bałam się prosić, wiesz jaka ona zazdrosna.

2.

ODPOWIEDŹ ZE WSI.

Krysiu, Aniołku!

Zaledwie dzisiaj złowiłam wolną chwilę do odpisania na twój poczciwy bilecik, za który wdzięczną ci będę do grobu; tak już pragnęłam wiadomości z miasta, żem się kilka razy decydowała pisać do ciebie, ale tysiączne okoliczności stawały mi na przeszkodzie, z których pierwszą była ta, że ciągle miałyśmy gości, lub jeździłyśmy do sąsiedztwa na imieninowe fety. Ach! ile to ja miałam pociechy z tych wiejskich festynów! Opiszę ci jeden; wprzód wszakże muszę się użalić nad tobą, biedna ty moja Krysiu! Pojmuję co się to z tobą dzieje, gdy cię jak osy i bąki opadają te wszystkie włościańskie i żywotne kwestje! Ale nie myśl, abym pod tym względem była szczęśliwszą od ciebie, o! zazdroszczę raczéj tobie, bo ty przynajmniéj słuchasz rozpraw ludzi mniej więcéj światłych, ja zaś jestem skazaną na słuchanie elukubracji rozmaitego rodzaju szlachty, która ma głowy przewrócone bytem chłopów i o niczém więcéj nie gada, chyba o akcyzie i żelaznéj kolei. Jak wejdą nudziarze na chłopów, a puszczą się wagonem za granicę, to zaledwie w browarze zatrzymają się, jeżeli im w drogę nie wlézie Sewastopol! Z początku bawiły mię te wszystkie wykrzykniki, negacje i protestacje chudych i tłustych, cienkich i grubych, długich i krótkich, ostrogłowych i tęponosych,

a najkomiczniéj giestykulujących hreczkosiejów; ale nareszcie zabrakło mi cierpliwości i jak tylko zaczynają się ich niesforne debata, uciekam do panien, które znowu chorują na poezję: jedna, Marynia Stroczyńska, umie na pamięć całego Mickiewicza i zaledwie z nią kilka słów przemówię, wnet wyjeżdża z zapytaniem: Czy znasz Dziady?... Ja jéj na to: Nie znam żadnego, lecz wielu widziałam pod kościołem!... a ona zaczyna deklamować: »Kobieto! puchu marny, ty wietrzna istoto!« Szkoda, że ona sama nie ma w sobie nic powietrznego i eterycznego, podobna do naszéj praczki Ewusi, t. j. ni mniéj ni więcéj, dwa razy otylsza od twojéj famdeszambry. Jeden młody człowiek z sąsiedztwa, nieprzyzwoity synalo nieokrzesanego ojca, który ukończył pięć klass w Oszmianie i słowa nie umie po francuzku, strasznie się mną zajął, bez ustanku persekwuje, że zaś przez jego *dobra*, jak się wyraża, przechodzi kolej żelazna, więc mi ciągle o niéj prawi, tak iż innéj nie mogłam z nim zawiązać konwersecji. Tematem jego dowodzeń jest piękna myśl, że droga żelazna przyczyni się do upadku kraju, a szczególnie Wilna; ja sądzę przeciwnie, Wilno się podniesie i obaczysz, że będziemy sprowadzały z Paryża kapelusze i trzewiki, on tego nie rozumie! Mówiąc o trzewikach, odpowiem na twoje zapytanie: czy już na wsi weszły w modę krynoliny? Ach! moja Krysiu! te wieśniaczki we wszystkiem nas naśladują, chociaż się z tém kryją, a często nawet żartują z mód naszych; krynoliny pozbawiły ich zupełnie przytomności, nosiłyby je na głowach, żeby można było, używając krynolin zamiast kaszpeniów; tak się istotnie poznały na téj pięknéj modzie. Do jakiego stopnia *krynolinomanja* opanowała wszystkie wieśniackie umysły, zrozumiesz gdy powiem ci, że nawet sprawnikowe i assesorowe chodzą w *każach*, a ich mężowie w skutek tego więcéj obdzierają obywateli, jak to mój papa zauważał. Byłam świadkiem dwóch tragiczno-komicznych scen, spowodowanych krynolinomanją. Pierwszego lutego przypadały imieniny naszego sąsiada, marszałka X., na których miał być wielki zjazd całego powiatu i bal tańcujący w ściśłém znaczeniu. Na kilka dni przedtém, uprzedzona przez Wandę R., pojechałam z ciocią do Flondryszek i przywiozłam dla Wandy na ów bal moją starą krynolinę, bo Wanda miała koniecznie być w *każy* na tak znakomitéj fecie. Wiesz, że moja dawniejsza krynolina strasznie już połamana, nie ma prawie większéj połowy *dalnego obręcza*; że zaś Wanda *dobrze* wyższa odemnie, brak ten bardzo się na niéj dał uczuć. Wpadła tedy na myśl zastąpienia niedostających części *każy* jakiemi giętkiemi gałązkami, czyli mówiąc słowami jéj garderobny: *witkami*. Flondryszki znajdują się nad Wilją, w środku któréj jest wyspa porosła łozą bardzo giętką; wyprawiono więc kuchcika po cienkim lodzie na wyspę, patrzałyśmy przez okno na jego expedycję. Dostał się wybornie, wyłamał kilkanaście rózeg i powracał szczęśliwie do domu, w tém przy samym brzegu lód się pod nim załamał, a biedny Jasiek wpadł po szyję do wody, narobił wrzasku i zatopił większą połowę wyłamanéj łozy. Zaledwie go wyratowano z kilku rózgami, z przestrachu zaś i przeziębienia dostał nieborak nerwowéj gorączki i dotąd leży w łóżku. Ocalona z potopu łoza przydała się do załatania *każy*, jakoś wszystko było dobrze; Wandzia miała kilka szerokich sukien i w jednéj z nich, błękitnéj *more-antique*, wcale nieźle wyglądała. Lecz nie koniec na tém: 1go lutego pojechałyśmy do marszałka; zjazd był niesłychany, bo marszałeczka, pomimo jego nieznośnéj żony, wszyscy bardzo kochają. Pokoje były jak nabite, tak że my biedne panny musiałyśmy siedzieć na łóżkach w panieńskich pokojach, gdzie do nas przychodziła młodzież, niemam talentu Dickens'a, ani pędzla Hogarta, a chciałabym ci serdecznie przedstawić tych lwów powiatowych, rumianych i barczystych, zafajczonych i zastajnionych, w czerwonych kraciastych kamizelkach, z dewizkami łańcuchowych rozmiarów, ufryzowanych jak merynosy, zgrabnych jak słonie, czułych jak krokodyle, uczonych jak organiści, nieznośnych jak musztarda po kremie, słowem równie dobrze wychowanych, jak wasz furman Józef: *même, si je ne me trompe pas, il est mieux.* Po obiedzie, na którym były nieodzowne pasztéciki w naleśnikowém cieście, pasztet ze zwierzyny i krem zalany sokiem malinowym, zaczęły się tańce; podochocona zaś młodzież, ze swojemi srogiemi butami puszczając się mazura, tyle robiła hałasu, jakby do salonu puszczono całe stada spłoszonych koni *Fi! comme c'est mauvais genre!* Wyobraź sobie, mój aniołku, jaka wśród tańców była historja: p. Kleofas Wzdychalski, piramidalnych kształtów młodzieniec, z olbrzymim lazurowym, jak mówią, od likworów nosem, pod którym zwijały się sążniste ryże wąsy, zaprosił Wandę do polki. Z początku wszystko szło dobrze, uważałam tylko, że pan Kleofas zbyt zapalczywie skręca *à rebours*; zrobili parę turów, aż na trzecim zaczepia się Wzdychalski za moje krzesło, traci równowagę, wywraca Wandę i przygniata ją całą massą swéj hipopotamiéj objętości. Wanda strasznie krzyknęła i omdlała: zrobił się rumor w towarzystwie, wyniesiono ją do sypialni, a gdyśmy, cucąc nieszczęśliwą prędko rozbierały, jeszcze raz krzyknęła . . . .

. . . .

Widzisz z tego jak się na wsi znają z krynolinami! O ostatnim balu w klubie nie wspominaj mi, proszę, *les bons vieux temps se sont passés!* Tadeusz wyjechał za granicę, a twego Oskara ja wcale nie lubię, *il n'a pas l'air distingué.* Ach! złota Krysiu, kiedyż cię uścisnę? tak mi do ciebie tęskno! serce moje bez ciebie jak trawa bez rosy... lecz mam nadzieję, że wkrótce wyjedziemy na karnawał. Mówią że będzie wielki zjazd, a hrabina Szamszurkiewiczowa ma trzymać dom otwarty. Co robi Adelka? napisz do mnie! Posełam ci formę mankietków i przepraszam za długi list, ale ja jak się rozpiszę, to zawsze kilka ćwiartek nagryzmolę.

Całuję cię; twoja Julja O.

FILOZOFY.



Lokaj. — Dzień dobry, Walku. —

Stróż domu. Jak się masz, Jaśku?

L. Kiepsko! mój pan, niewiedzieć za co, chciał mnie dziś rano dać w pysk trzy razy.

S. Ha! ha! a zkądże ty wiesz, że ci chciał dać trzy razy? —

L. A.... a.... bo dał! —

S. No to czegóż gadasz, że chciał?

L. Jakiś ty głupi!! juścić chciał, bo gdyby nie chciał, toby nie dał. —

SŁÓW KILKANAŚCIE

O NIEDORZECZNÉJ ADORACYI NIEWIAST

W DRUGIÉJ POŁOWIE XIX WIEKU.

Wiek nasz, odznaczający się rzetelnym postępem na szerokim gościńcu wieczności, nie otrząsł się, niestety! z niektórych barbarzyńskich przesądów i nałogów, silnie zakorzenionych, i jakoby z naturą naszą zrosłych. Nie idzie atoli za tém, ażeby zwątpić w przyszłość: jeżeli bowiem pokolenie przemijające, zrodzone i wychowane w zastarzałych maxymach, smutkiem napełnia subtelne głowy stronników postępu: to za to pokolenie wzrastające pięknemi błyska nadziejami, i świetną rokuje przyszłość dla kraju.

Z pomiędzy atoli wielkiéj liczby zapor, wstrzymujących naprzód pędzącą ludzkość ku szczęśliwości ogólnéj, niepoślednie miejsce zajmuje tak zwana *Grzeczność i poszanowanie dla niewiast;* zabytek to jeszcze wieków średnich, wieków barbarzyństwa i ciemnoty. Owych to czasów rycerze, i tym podobne Don Kiszo-

ty, uroiwszy w swych w stal zakutych mózgownicach jakieś pierwszeństwo dla niewiast, nie wahali się dla nich krwawych staczać potyczek, a nawet i gardła nadstawiać. Znajdowali się już i naówczas ludzie postępu, którzy brzydząc się temi wstecznemi dążeniami, a nie mogąc przeciwko uzbrojonym fanatykom otwarcie głosu podnosić, pod pozorem gorliwości religijnéj palili i topili czarownice, ażeby się plemie niewieście zbytecznie nie rozradzało. Obejrzyjmy się atoli na narody przodkujące ludzkości na drodze postępu i oświaty, jako to one z ową płcią postępują. Chińczykowie w drewniane trzewiki zakuwają ich nogi, ażeby wiele nie chodziły, a przeciwko mężczyznom a panom swym buntów nie podnosiły. Indyjanie palą je na stosach pogrzebnych wespół z końmi, psami i inną ruchomością zmarłych mężów. Mahometanie, którzy bezwątpienia najwięcéj rozumu mają, a pięknemi, naśladowania godnemi prawami się szczycą, przedają swe samice na targowicy publicznéj, jako inwentarz, a chowają zamykane, jako drób w kojcach. Hebrajczykowie nawet prawowierni, czyli tak zwani husyci (Chassidim), służącego płci mezkiéj więcéj szanują, niżeli własne żony; sadowią onych bowiem przy szabasowym stole, a ich bałabusty w kuchni z córkami wieczerzę pożywać muszą. Nakoniec Angielczykowie, niekiedy na powrozie żony swoje na rynek wyprowadzają, i one więcéj dającemu przedawają. Święte są słowa Valensa Aciduliusa, uczonego Brandeburczyka, który jasno w swéj rozprawie dowiódł, że niewiasta nie jest człowiekiem; a kameduli oglądać jéj nawet nie chcą. My tylko jedni, chełpiący się połataną szatą mądrości, zostajemy w karygodnéj dotąd ślepocie i zdala stoimy za postępową rzeszą, okazując jeszcze jakoweś szczątki poszanowania, przez naddziadów naszych zaszczepionego. A wszakżeż to Pismo święte naucza, że z niewiasty powstał grzech i wszystkie zło na świecie, i gdyby nie ona, dotąd chodzilibyśmy sobie swobodnie po raju wespół z innemi zwierzęty, nie znając fraków, rękawiczek i t. d. niedogodności. Pandora, otworzywszy puszkę, cały świat o nieszczęście przyprawiła. Chytra Judyth ucięła głowę Holofernesowi; Kleopatra zgubiła Antoniusza, a Bona i Marja Gonzaga i wdzięczna Marysienka niemało krwi napsuły naszym naddziadom. Któżby tam zresztą wszystkie niegodziwości niewiast wyliczył? Mieliżbyśmy być tak słabemi, ażeby dla pięknych oczu a zdradzieckich serc, w czasach dzisiejszych poszanowanie okazowali, a siebie i naszych synów na pośmiewisko świata wystawowali? Wstydby to był i hańba nieodpuszczona dla naszego wieku. Dlatego, miły czytelniku, zrób mocne postanowienie zbudowania i nauczania przyszłych pokoleń! Jeżeli napotkasz niewiastę na wązkim tretoarze, strąć ją raczéj w błoto, niżbyś miał z drogi ustąpić. Gdy siedzisz wygodnie w kościele, a ona szuka miejsca kędyby usiadła, odwróć oblicze twoje; w teatrze rozsiądź się wygodnie, a szerokiemi barki zasłaniaj, iżby nic nie widziała, a gdyby cię o zrobienie miejsca prosiła, udaj głuchego, lub co lepsza rozśmiej się w oczy, litując się nad niewieścią głupotą! W dolinie szwajcarskiéj puszczaj jéj pod nos obfite dymy cygara twego, iżby hardą nie była. Na przechadzkach publicznych kalecz jéj oczy, przeszywając bezwstydnym wzrokiem, lub uszy bezwstydną mową, ażeby przed tobą uchodziła, a gdy ją napotkasz samą, a w miejscu odosobnioném, znieważaj, boć to plemie cierpliwe i słabe a nie nosi kija! Tak tedy postępując, zyskasz imię **Wielkiego**, osłabisz przesądy, a pożytek i chwałę ziemi twéj przyniesiesz!

OBRAZEK WIEJSKI.

Het! tam daleko, gdzie modra Wisła, mijając stary gród Krakowa, śpieszy pod Sandomierz aby mu podmyć stopy i porwać na swe fale galary z pszeniczką i flisakami, stoi wioska, przy jéj końcu mała chałupka, przy jedyném okienku śmiejąca się liściem brzoza, a pod nią smutna wiejska dzieweczka.



Bo i rączki załamała,
I oczkami posmutniała,
I mówiła sobie biedna:
— «Jam na świecie prawie jedna,

Widzę okiem do około....
Bom samotna, niewesoła. —
Oj! świegotki! oj! ptaszyny,
Wy szczęśliwsze od dziewczyny! —

Ale nie dziwcie się, piękne panie, smutkowi wiejskiéj dzieweczki, bo to Basia, córka gajowego, starego Napoljonisty: szesnaście lat życia okryło jéj buziaka barwą czerwonego jabłuszka, słonko umalowało płowym kolorem włosy, wiatry wymuskały kibić, rosa modrym oczom dała ogień i życie, a matka ustroiła swego ptaszka w białą chustkę, w sznurki korali i paciorków....

I w gorsecik z kwiatuszkami,
I w spódniczkę z obszyciami. —

A tu mimo tego, choć to niedziela, siedziéć saméj, kiedy karczma z drugiego końca wioski szumi graniem i tańcami, to i dziwnie i nijako.

W tém drzwi od sionki skrzypnęły i wyszła matka:

— »Basiu!« — rzekła do zadumanéj dzieweczki — »i czego-żeś tak spochmurniała, nikej w dzień sowa? — Nie bój się, granie ci nie ucieknie, idzie ci właśnie na niego, a tak co niedziela ino grania i karczmy pilnować, to i niełładno i nie wypada na młodą dziewuchę. — Oto gorzéj, ze starego ojca nie widać, pewnikiem siedzi w karczmie, bo jak się rozgada o Hiszpaniji — to już mu nic bez głowę nie przejdzie, ino Hiszpanija i Hiszpanija. — A on kaleka, jeszcze gotów po omacku, bo słonko ino co nie zajdzie, jak będzie wracać do domu wpaść gdzie do jakiego parowu i zabić się. — Skocz ino, moja Basiu, a żwawo, i przyprowadź tu ojca duchem do domu.... ale czekaj no.... przecieć popraw ta kwiatków na głowie i ubrania, bo się ta wszystko na tobie porozlatywało, nikej sukmana na pijanym chłopie. — Ot tak, widzisz! — No teraz ruszaj, moje dziecko, a wracaj mi zaraz, taniec zostawić na stronie i przychodzić, bo ja będę czekała.« —

A tam w karczmie ostro żwawo,
Szast! na lewo, szast! na prawo,
Kiedy stukną, zawsze z szczękiem,
Kiedy krzykną, zawsze z brzękiem,
A muzyka nie umyka,
Rżnie żwawego, wesołego!

* * *

Dziewczęta na boku stoją,
I oczkami tylko broją,
A chłopaki przytupują,
I jak mogą przyśpiewują:
Dana, dana, dana, dana!
Moja dziewczyno kochana!

* * *

Gdy tak młodzież śpiewa, hula,
Że aż przywiera koszula:
— »Patrzcie kumie« — mówią starzy —
»Toć my przecie jeszcze jarzy!
»A jednakże te młokosy
»Dobrze wodzą nas za nosy,
»Bo dyć mówią, że staremu,
»Tak nie ujdzie jak młodemu.« —

* * *

— »Co tam młodzież! to junaki,
»Nie warta niucha tabaki,
»My młodemi także byli,
»I śpiewali i tańczyli,
»A że nogi nie statkują,
»Ino w miejscu przytupują,
»Toć nie dziw, bo spracowane,
»I zmęczone, sturbowane.« —
Więc krzyknęli: —

* * *

— »Hej! szynkarka!
»Ot! już pusta z wódki miarka,
»Daj gorzałki choćby krzynę,
»Chociaż kapkę, bez przyczynę,
»Że fantazyi naprawiewa,
»I we dwóch se wykrzykniewa:
»Oj! da da da, dana dyna!
»Ja parobczak, ty dziewczyna!« —

* * *

Więc na przemian piją, gwarzą,
Niby trzeźwo.... niby marzą....
— »Patrzcie kumie....« —
— »Ej! sąsiedzie....
»Górą nasza....« —
— »Będzie.... będzie...
»O! mój Boże....« —

— »Cóż wzdychacie?
»Oczy na mnie wytrzeszczacie?—
— »Ej! to wszystko od frasunku,
»Z turbacyi, ze starunku.« —

* * *

I gdy znowu flaszka trzeszczy,
A tu młodzież w tańcu wrzeszczy: —
— »Hej! dziś nasza! umykajcie,
»Na drodze nam nie stawajcie!
»Hejże! hejże! na około,
»Obracajwa się wesoło! —
»Hu — ha!!« —

I Basia była nieostatnią, a jak się tylko w izbie karczemnéj pokazała, chłopcy zlecieli się do niéj jak pszczoły do ula:

Przyskoczyli,
Poprosili,
I nuż w chopki
Żwawe chłopki —

bo i cóż znaczy kwadrans czasu względem wieczności?— Hulała więc młodzież, hulała i Basia, a w alkierzu gospodarskim trzech siedzi włościan, jeden na kufrze, drugi na łóżku, trzeci na trójnożném krzesełku, pilnie zważając na opowiadającego z zapałem Józefa gajowego, ojca bawiącéj się Basi. — Stary to wojak, co widać



zaraz z miny i czupryny: wąs zawiesisty, czapka zuchowato na bakier przekręcona, kurtka opięta, spodnie białe płócienne, przytém kulawy, bo nogę wzięła Hiszpanija, a kraj dał kawał drewna na szczudło. — Stojąc na środku, jedną ręką trzyma fajkę przy ustach, a drugą wskazuje, jakby komenderował: — »naprzód wiara!!« — Na stole znajduje się ser, chleb, wódka z flaszką, kieliszek, w oknie kropidło, palma, małe lusterko, za drzwiami kilka beczek, żelastwo stare, grabie, cepy, na kołkach kosy, sierpy, zaprzęgi, sita, przetaki, a przy samém wejściu kropielnica ze święconą wodą, i na drzwiach kredą wypisane M. † C. † B. † r. 181....

Józef puściwszy kłęb dymu, popił z kieliszka i musknąwszy wąsa, mówił w dalszym ciągu swego opowiadania: —

— »Po bitwie pod Jena, mospanku, jeszcze byliśmy w dobréj forsie, było nas coście 90,000 dzielnego wojska: ale Cesarz Napoleon nie dał nam ani chwili spoczynku, i jak zaczął gonić nas to pod Pułtusk,

to pod Frydland, to pod Ejlau, tak zagonił nareszcie do Hiszpaniji, i kazał szturmować do Saragossy.— Oj! pamiętam jak dziś, pułkownik Kąsinowski dowodził naszym pułkiem, dziedzic wtedy był Kapitanem, a ja sierżantem, i jakeśmy przybyli pod Saragossę, tak ledwo żeśmy wypoczęli, zaraz nowy szturm nakazano. — Było to czwartego sierpnia, noc była ciemniusieńka, że choć oko wykol, a tak cicho, tak spokojnie, jakby jednego żyjącego na ziemi nie było stworzenia. — W tém po północku, jakby bardzo daleko gdzieś tam z pod ziemi, dały się słyszéć przytłumione pojedyncze w bęben uderzenia. — Nadstawiliśmy uszów i każdy zrozumiał, że to cichy alarmowy sygnał. Dalejże więc do porządku, do szeregu, ale milczkiem i w cichości, tylko jaki taki westchnął, gdy pomyślał, że mu może przyjdzie położyć głowę na obcéj ziemi, i że tam daleko za francuzkim i niemieckim krajem zostawił ojców, braci, często żonę, z którą się nigdy nie zobaczy.

Około drugiéj godziny nad ranem stanęły kolumny zupełnie uszykowane, a my tworząc przednią straż z armatami, w których słomą koła były obwinięte, posunęliśmy się naprzód. — Jakiś czas mospanku szeroką drogą maszerowaliśmy wprost do miasta ku bramie *del Carmen*: — serce biło mi jak młotem; wtém, na czele naszéj przedniéj straży dał się słyszyć wystrzał i natychmiast kolumną poszedł rotowy ogień, a myśmy ruszyli z bagnetem na baterją. — Sypnięto kartaczami, i tak w powietrzu zaszumiało, jakby kto żywe żmije lub węże przerzucał nad głowami, ludzie jak grad poczęli padać na ziemię, zrobił się tumult, ozwały się jęki, ale my na to nie zważali; kolumna znowu stanęła w porządku — — i daléj naprzód! —

Niedługo mospanku, baterja już była w naszym ręku, wiara jak mrówki obsiadła okopy, a kiedy goniąc nieprzyjaciela wpadliśmy do miasta.... Jezus Marja! jeszcze mi dzisiaj włosy stają na głowie. — Bo to spojrzę w górę, a tu w jedném oknie siedzi Hiszpan i z karabina celuje do mnie: ja więc paf! do niego, Hiszpan chlap o ziemię, a tu z dachu leci dachówka i jedna i druga.... ja się usuwam i w prawo i w lewo, kawałki cegieł, kamieni, odskakują i przyskakują na wszystkie strony, kurz włazi mi w oczy.... myślę sobie: źle!... bestyje zatłuką człowieka, więc znowu poglądam ku górze. —Ale przed kulami, co tak latały w powietrzu jak pszczoły, i przed dymem tak gęstym, że go w rękę wziąść można było, ani sposób co dojrzéć. — Wypatruję jednak, wypatruję, patrzę, a tu na dachu, w dymnikach, w oknach siedzą Hiszpanie, mężczyzni, kobiety, dzieci i czego które dopadnie, kamienia to kamienia, rądla to rądla, garnka, beczki, polana drzewa, choćby z ogniem, kafli z pieców, i wszystko ciska na nas.« —

— »A to naród zawzięty« — przerwał jeden ze słuchających, a Józef puścił kłęb dymu, musknął wąsa, i mówił daléj: —

— »Zapewne że zawzięty, ale to nic, bo kiedy tak wypatruję, patrzę, a tu stoi w oknie na pierwszém piętrze Hiszpanka, trzyma u piersi może półrocznego dzieciaka, i co powiecie? że ten mały rozbójnik tu ssie pierś matki, a w ręku trzyma flaszkę pełną wina i mierzy nią, żeby mnie w sam łeb uczęstować. — Tak mospanku, myślę sobie, trzeba go naszpikować, będzie dobra pieczeń, i już go bagnetem miałem przewiercić....«

— »Albo tam dzieci jedzą w Hiszpaniji?« — zapytał Wojciech, siedzący pod obrazami na łóżku. —

— »Jak cielęcinę u nas« — odrzekł Józef, przymrużając oczy i przełykając — »jak cielęcinę....«

— »Czy może być?

— »Ba! w wojnie, mój Wojciechu, z głodem to nie ma żartu; raz przecie jak nas ścisnęło, a staliśmy pod dębowym lasem coś z tydzień, tośmy wszystkie dęby z głodu z kory poobjadali. — Dziecko przecie zawsze smaczniejsze, boć to mięso, więc trudno było burgować. —

Słuchający pokiwali głowami z wielkiéj zgrozy i zadziwienia; Józef znowu przełknął, przewrócił oczyma i mówił daléj: —

— »Otóż mospanku, kiedy się ładuję do naszpikowania dzieciaka, i tylko upatruję z któréj najlepiéj strony wsadzić go na bagnet, a tu matka śliczności jak anioł uśmiechnęła się do mnie, i kiwnęła palcem, żebym poszedł do niéj na górę. —Nie głupim!«—bąknąłem sobie pod nosem, ale miny nie tracę, pomusknąłem ostro wąsa, podsunąłem się ku oknu i rzekłem z koperczakiem po hiszpańsku: —

— »Po hiszpańsku!.« — przerwali słuchający z zadziwieniem — »no — no....« —

— »Ba! jużcić z Hiszpanami trudno się po polsku rozgadywać.... otóż mospanku podsunąłem się ku oknu i rzekłem: — *buona donna! je suis servantus polako, donne buziaka i bonum vinum.*« —

— »Patrzajcie« — przerwał Walek, jeden z najpilniejszych słuchaczy — »to gadka hiszpańska cosić podana na naszą, mało wiela zawdy zrozumiałem coście do niéj powiedzieli.« —

Józef nic na to nie odrzekł, tylko spojrzał błyskiem sztyletu na chwalącego się Walka, mruknął coś niezrozumiale, i wytrząsając z fajki mówił daléj: —

— »Jak ja to rzekłem, tak ona się jeszcze do mnie miléj uśmiechnęła, wychyliła berbecia zupełnie na ulicę, coś mu szepnęła, dzieciak się zaindyczył, matka znowu do ucha, on się oburknął, i obracając się do mnie rzekła: — »*buono polako, vinum, vinum.*« — Potém sama wypiła szklankę wina dla pokazania że nie zatrute, a jak dała znak, tak ja otworzyłem usta, przechyliłem głowy w tył, i dzieciak zaczął mi lać z góry.... no ma się rozumiéć z flaszki.... prosciutko w gardło jak do kieliszka....« —

— »Patrzajcie, moi ludzie« — odezwał się Walek — a to dziwy!« —

— »Ej! albo to tak wszystko było, jak mówią Józef« — odezwał się Stach, znający także troszkę żołnierkę, bo z podwodą jak go wzięto, tak nie puszczono aż we dwa miesiące do domu; — »przecieć i ja znam, co żołnierstwo znaczy i wiem że to cygany, Panie odpuść! jakich mało.« —

— »Nie wierzycie to się spytajcie dziedzica« — odrzekł Józef — »a przekonacie się, że ja tu nic swego

nie dodaję, tylko wszystko opowiadam z prawdą, jak było.« —

— »A może być, może być« — odezwali się dwaj drudzy słuchacze i tak zagadali Stacha, że i ten w końcu umilkł, kiwnąwszy głową z niechęcią. —

— »No! mój Józefie« — odezwał się Walek — »picia jak miarkuję, to wam pod tę wojnę w Hiszpaniji nie brakowało, ale co z dojadkiem, to wam się musiało trocha skurczyć.« —

— »Człeku wszystkiego było po uszy« — odrzekł na to Józef — »i żeby nie strzelanie, a wszystko kulami, to mi nigdy w życiu tak dobrze nie było jak w Hiszpaniji. — Bo to widzicie, kiedyśmy weszli do miasta, tak Hiszpany zabarykadowali się po kamienicach, i jedni strzelali do nas jak do zająców, a kobiety i dzieci gotowały w kotłach wodę, olej, oliwę i wylewały wszystko na nas na ulice. — Ale głupi naród, myślał że nas żywcem ugotuje....« —

— »To wam widzę radzi byli« — wtrącił któryś ze słuchających —

— »Różnie — różnie — zwyczajnie, jak w nieprzyjacielskim kraju—otóż powiadam wam, że Hiszpany, choć zawzięty naród, ale w swém zawzięciu przeholowali, bo gdy jedni wylewali na nas wrzącą wodę, gotujący się olej lub oliwę, drudzy co napotkali pod ręką, ziemniaki surowe, kaczki, kury, gęsi poskubane, ćwiartki wołowiny, cielęciny, pomarańcze, kasztany, talerze, noże, łyżki, widelce i różne inne różności, wszystko to także wyrzucali oknami: — a że wrząca woda, olej i oliwa płynęły z góry tak jak rzeką, że nad głowami naszemi jak w kotle syczało i kipiało, więc te różne jedzenia zaraz w nich się gotowały, smażyły i padały na ziemię gotowiusieńkie do jadła. — A jakie to było wszystko smaczne.... to jeszcze dziś mi ślina do ust idzie....« —

— »A bodaj was i z waszą Hiszpaniją« — przerwał Wojciech ze śmiechem podnosząc ramion — »już téż gadacie niestworzone rzeczy....« —

— »Co, nie wierzycie?« — przerwał Józef przełykając, że aż mu coś gżdyknęło w gardle — »to może i temu nie uwierzycie, że mnie raz otruto, i w szpitalu otworzono brzuch, wyjęto truciznę, wymyto ładnie w środku, zaszyto i byłem potém zdrów jak ryba. — No, jakże? może i temu nie wierzycie?« —

— »No — to inna rzecz, to doktorska sprawa, to oni różnie umieją, ale....« —

— »No, to widzicie« — przerwał Józef z najlepszą miną, i pragnąc widać zwrócić rozmowę do innego przedmiotu, mówił dąléj: — »w szpitalu co prawda odleżało się, ale nic nie piłem tylko wodę, i jak mnie pytano się: co chcę? to zawsze rzekłem: — *nostro buono Signore, si sea aqua*.... i w tém miejscu zwracając się ku Wojciechowi, co to mowę hiszpańską tak znalazł do naszéj podobną, mówił daléj: —

— »No — kiedyście rozumieli pierwsze po hiszpańsku, to powiedzcie, co to znaczy? — no! mówcie — mówcie, kiedy tak wszystko znacie — gadajcie, gadajcie....« —

— »No — że tego nie wiem« — odrzekł Wojtek przeciągle — »ale pierwsze....« —

— »Aha! pierwsze! widzicie że to nie tak łatwo po hiszpańsku się nauczyć — aha! widzicie....« —

— »No! — kończcie swoje....« —

— »O kończenie fracha, ale wy się nigdy nie wyrywajcie, że umiecie po hiszpańsku — bo co to?.... hm!.... gadać takie rzeczy.... kiedy się piecuchowało, i z podwórza nawet się nosa na świat nie wysadziło.

Wojciech skonfundowany sapnął i zażył tabaki potrząsając głową, Józef pokręcił wąsa, mruknął, puchnął dymem, i już zabierał się do dalszego opowiadadania, bo wymówił — »mospanku« — gdy weszła Basia i zatrzymując się w progu rzekła: —

— »Chodźcie ino tatusiu do doma, szukam was tyla czasu po próżnicy, a wy ot....« —

— »A ja po co do domu?« — opryskliwie przerwał Józef — »czy to dziś nie święto, czy co? — nie pójdę, i basta!« —

— »Kiedy matusia mnie przysłali i powiedzieli, żeby was duchem przyprowadzić do doma....« —

— »Matusia przysłali« — nagle pokorniejąc odpowiedział Józef, zabierając się do odejścia — »a i cóż tam takiego nowego?« —

— »Kumie!« — odezwał się Stach — »nie bądźcie dziwni, i zostańcie jeszcze krzynę czasu, przecieć ta nie ma nic takiego pilnego....« —

— »Pilnego jak pilnego, ale kiedy kobieta przysłała....« —

— »No — i cóż? przecieć was kobiéta nie zje! ktoby ta zważał na babskie gadanie?....« —

— »No.... — tak.... ale widzicie« — zaczął bąkać Józef frasobliwie skrobiąc się w głowę — »ale widzicie kiedy kobiéta.... te.... bodajcie.... jakże tam rzekłem....« —

— »Ej! bajecie mój kumie, czy to my zbytkujemy? — Ot zwyczajnie gadawa sobie przy kieliszku gorzałki i jużcić. — Zostańcie, zostańcie. — Szykarka! dajcie kwaterkę wódki. —

— »Chodźcie tatusiu, chodźcie« — odezwała się znowu Basia — »bo matusia będą się gniewać.« —

Józef miłosiernie spojrzał w jednę i w drugą stronę, najmiłosierniéj na Basię, jakby ją chciał choć jeszcze o kwadransik czasu uprosić, i byłby zapewne natychmiast udał się do domu, ale Wojciech mszcząc się za konfuzją z hiszpańszczyzny, odezwał się z szyderstwem: —

— »Józef by się zostali, ino z nich baba i boją się o swą czuprynę, żeby im kobieta nie wydarła....« —

— »Co ja?« — krzyknął Józef tonem brzęczących nożyc, gdy się w stół uderzy, jak powiada przysłowie: — »ja się boję żony? ja baba? — ha — ha — ha — bodaj was Bóg kochał.... ja? — stary żołnierz.... a to mi się podoba! —

— »No — to kiedy się nie boicie, to zostańcie.« —

— »Ej! źle mówicie« — odezwał się Walek — »bo

czy ta jest taki na świecie człowiek, co by się żony nie bał? —

— »O — o — o — o — o — a cóż-to?« —

Basia z ogólnego oburzenia zawojowanych chłopinów, choć to młoda dziewucha, a rozśmiała się skrycie, smyrgnęła nieznacznie do izby, bo skrzypki znowu się ozwały z basami, a Wojciech, potrząsając ręką, wystąpił na środek izby i mówił daléj: —

— »Ale czekajcie i posłuchajcie co wam powiem.« —

Raz się w karczmie rozgadali,
Jakoby się żon nie bali. —
Wtedy jeden praktyk stary,
Co rozumu miał bez miary,
Wziął słoniny połeć tłusty,
Zasolony na zapusty,
I zawiesił na topoli. —
I rzekł: — »Kto jest dobréj woli,
»Kto się żony swéj nie stracha,
»Niech go zdejmie!« —
—»To nie fracha!« —
Rzekli ludzie, poglądali,
Ramion w górę poruszali,
I głowami pokiwali,
I serdecznie powzdychali: —
Ale żaden nie miał woli,
Żeby połeć zdjąć z topoli,
Bo w swéj duszy każdy wiedział,
Że w spódnicy babskiéj siedział,
Więc się mało nie spłakali,
Że się żon tak srodze bali. —

* * *

A wtém jakiś wpadł buńdziuczno,
Spojrzał, krzyknął, rozśmiał huczno,
I rzekł śmiało — »Oj! gawrony!
Ja się nic nie boję żony,
A że prawda, to pokażę,
Bo na drzewo zaraz włażę.« —

* * *

A więc wszyscy wielkiém kołem
Otoczyli śmiałka społem,
I ściskali, całowali,
I wesoło się pośmiali:
A on objął pień nogami,
I po sękach, gałęziami,
Piął się w górę. —
— »Oj! gawrony!« —
Kpi se z drzewa — »bać się żony?
Oj! niedojdy, oj ciemięgi!« —

* * *

— »A to śmiałek, to zuch tęgi.« —
Mówią z dołu. — Lecz wpół drogi,
Jakby go ból złapał srogi,
Skrzywił usta, potrząsł głową,
I zszedł na dół. —
— »A gdzie słowo?« —
Wrzasnął ludek — »my gawrony? —
To i ty się boisz żony!« —
— »Nie — nie boję, lecz kapota
Na mnie nowa, a do błota,
Od roboty, jest siermięga,
Więc ją zdejmę« —
— »To mitręga.« —

* * *

Mówią ludzie — »po co schodzić
Było z drzewa, i znów wchodzić?« —
— »Nic nie szkodzi, wnet się sprawię,
I słoninę wam dostawię,
Bo kapotę gdy tłuszcz splami,
To mnie babsko skrzyczy, zgani.« —
— »A ty zuchu!« — wrzasli tłumem —
»Idź do biesa z swym rozumem,
To z nas każdy taki śmiały!« —

* * *

I chociaż to czas niemały,
Jak się taka rzecz stać miała,
Gadka jednak ztąd powstała,
Że chłop czy pan uszlachcony,
Każdy boi się swéj żony. —
A więc dziej się Boża wola,
Bać się żony, chłopska dola! —

— »Otóż nieprawda« — krzyknął Józef, nastrajając zuchwało minę — i żeby wam pokazać, że jabym zdjął słoninę.... tak powiadam wam... że zostanę.« —

— »Dobrze, dobrze, tak to ale,« — odezwali się chórem towarzysze, gdy Józef mężne krople zimnego po-

tu obcierał z czoła — »i my mawa kobiety, a przecieć nie spieszewa się do domu, przecieć nas nie zjedzą.« —

— »Ba! jużcić nie zjedzą, a choć ta może nadkąszą, to fracha! bo i tak choć trocha, to z nas zostawią.« —

— »A jużcić, a ino« — potwierdzili drudzy poważnie, i dalej do kieliszka i gawędy. —

Józefowi w to graj. Hiszpanija, znowu na plac wyjechała, Saragossa zajęczała rannemi, kule zaświstały, zahuczały, i kiedy już z pół kopy Hiszpanów pobił, a naumizgał się do całéj kopy Hiszpanek, odezwał się nagle, zaglądając przez szparę drzwi niedomkniętych do izby karczemnéj, szumiącéj tańczącą młodzieżą, pomiędzy któremi, jak skrzydła ptaka, migotała spódniczka Basi: —

— »Moi sąsiedzi, kiedy patrzę jak to młodziarstwo tańczy i wywija jak najęte, tak i mnie zdejmuje ochota, i żebym tak miał drugą nogę.... to Boże kochany....« —

— »Albo to tak nie można« — przerwał Stach — »wolniuśko, drobniuśko, to się ta i potelepiemy.« —

— »Zapewne — chodźwa« — odezwano się gwarnie, a Józef podskoczył i przechylając się jak w tańcu, zaśpiewał: —

Żołnierz ci ja żołnierz,
Mam czerwony kołnierz,
Mundur z rabatami,
Spodnie z wypustkami — hu! — ha! —

— »Hu! — ha! — powtórzyła gromadka, i wtoczyła się do izby, stając parami na przedzie tańczących. —

— »Ostro, grajku!« — wrzasnął Józef — »graj moją nótę o kukułce na drzewie, — chodźcie Wawrzyńcowa.« —

— »Ino ostrożnie, Józefie....« —

— »Co ta się pytacie, chodźcie.« —

— »Ej! kobieta wasza będzie się gniewać....« —

— »Co ta kobieta, żona to....« —

W tém w drzwiach od sieni pokazała się Józefowa, stary wojak natychmiast umilkł, zaczerwienił się, a Basia smyrgnęła za piec. — »Tak — żona« — odezwała się z dąsem Józefowa — »żona u ciebie zawdy w gębie, ale w sercu nie masz o niéj żadnego pomyślenia. — Takiemu staremu i bez nogi, brać się do tańca, czy tobie się w głowie pomięszało? — Czy ci się naprzykrzył ten drugi kikut, co go masz jeszcze cały?« —

— »Magdusiu! — moje dziecko....« —

— »Oj! gaduło, gaduło« — mówiła daléj, nie zważając na przerwę, »jak zacznie gadać, a wszystko o wojnie w Hiszpaniji, to na nic nie ma baczenia, ino Hiszpanija i Hiszpanija. — Ja sama na uboczu, a tu jedno z językiem ucieka do karczmy, a drugie z nogami.... gdzie Basia, ta ladaco? — a mówiłam, a ino nie zabaw się długo....« —

— »Cicho, moje dziecko, cicho,« — odezwał się Józef, stojąc na środku izby, i z najzimniejszą krwią pykając dymem tytuniowym — »u młodego podeszwy u nóg swędzą, a u starego żołnierza język, to i nie dziw, moje dziecko, że oboje uciekają do karczmy. — Z całéj potyrki tylko mi tyle pozostało, że człowiek ma o czém powiedzieć, to....« —

— »Tak, ty umiesz wszystko ładno przełożyć, ale jak na taki na świecie wielki niewidok, wpadłbyś gdzie w dół ziemniaczany, to wtedy i wojna i Hiszpanija i gadka, żadnéj by ci rady nie dały. — Chodź do domu!« —

— »Zaraz, moje dziecko, zaraz ino dokończę....« —

— »No — chodź do domu, chodź« — przerwała Józefowa, ciągnąc za rękę z Basią Józefa, gdy inne przed chwilą nadeszłe kobiety wyciągały swoich, pakując na nich bez pytania czapki, sukmany lub kamizele, i klepiąc ciągle: —

— »Chodź i ty — chodź — dosyć tego bałamucenia — chodź — chodź....« —

— »Ale Jaguś — ale Marychna....« —

— »Ej! co tam — chodźta — chodźta.« —

— »Marychna!« — zuchowato zawołał Stach, usiłując wyrwać się ze szponów domowéj subordynacyi, ale w téj chwili Marychna zaszła mu z tyłu i lekko popychając wyjechała za drzwi, a za nią wytoczyła się reszta towarzystwa, pomimo oporu i zakładania *veto.*

— »Kumie!« — zagadał Wojciech do Józefa już na dworze — »właśnie mi się coś ochapia, że jak nas tu jest czterech, to byśwa téj słoninie chyba nie dali rady, — co to o niéj wyprowadziłem gadkę.... —

— »I ja tak miarkuję« — szepnął Józef i ulegając przemocy kobiecéj, biedaczysko tylko wzdychał, muskał wąsa i dumał....

Ej! mospanku, oj! kobiety,
Zkąd bierzecie téj podniety,
Do wiecznego trajkotania,
Do zrzędzenia i łajania? —
O nad bomby i kartacze
Gorzéj, kiedy żona gdacze. —

* * *

Dawniéj było wiele stuku,
Biedy, głodu, z armat huku,
Lecz mospanku człek był wolny,
I wesoły, jak ptak polny. —
Nad granaty i kartacze
Gorzéj, kiedy babsko gdacze. —

* * *

Na ten przykład, na wedecie,
Lub na straconéj pikiecie
Człek sam jeden stoi cicho,
A tu myśli, jak na licho,
Niosą piosnkę, znaną w świecie,
Chociaż wojna nie żart przecie! —

* * *

» —Jedzie żołnierz borem lasem,
Przymierając ż głodu czasem,
Suknia na nim oblatuje,
A wiatr dziurami tańcuje.« —

* * *

Albo inną — »Błyszczy kwiecie,
Stoi Ułan na wedecie,
A dziewczyna,
Jak malina,
Niesie koszyk róż. —

* * *

Jak świt tylko, błysły zorze,
Każdy w pacierz — Boże! Boże!
Wojsko staje równiusieńko,
W długie linje prościusieńko,
Trąby grają, bębny huczą,
Bagnet błyszczy, lance fruczą;
A my naprzód ostro! śmiało!
Idziem w śpiewie, jak przystało
Na żołnierza i to zucha,
Nie z baraszków, ale z ducha. —

* * *

Daléj naprzód! daléj w konie!
Każde oko męztwem płonie,
Błyszczą strzały, dym, huk, wrzawa,
Na to wszystko patrzy sława,
I z zwycięztwa się raduje,
I nam głośno przyklaskuje. —

* * *

Po batalji każdy pyta:
Kogo braknie? — potém wita:

— »I ty żyjesz i ty bracie? —
Jakże się masz? jak się macie?« —
A kto zginął, temu w niebie
Duszę Bóg przyjmie do Siebie! —

* * *

Lecz precz, smutki! — ot! ogniska
Zapalono — żołnierzyska
Siedli kołem, jedzą, gwarzą.
Palą fajki, inni marzą,
Ten o domu, o rodzinie,
O swéj wiosce, o dziewczynie,
Co tam kędyś het! z daleka,
Może tęsknią do człowieka. —
I śpi szczęśliw, że bez sromu,
Jest choć we śnie myślą w domu. —

* * *

A wiatr szumi nad głowami,
Gwiazdy błyszczą światełkami,
Chmury płyną, rosa pada,
I śpi wojaków gromada. —
Tak, mospanku, tak bywało!
Wszystko to się kiedyś działo!

* * *

A dziś człowiek ot! w frasunku,
I bez nogi, bez szacunku. —
Każdy woła: — »hej! ty stary,
Hej kulasie! marsz na mary!« —
A ja na to — »ostro stój!
Wąs do góry! minę strój!« —
Bo nad bomby i kartacze
Gorzéj, kiedy żona gdacze! —



REBUS № 3.



WYRYWKI Z DZIENNIKA

NIEMIECKIEGO PODBÓŻNIKA ALBERTA KARLSDORF.

W wagonie 13 Stycznia 1859 r. Wszystko dokoła mnie zatopione w rozmowach hołdujących wyłącznie egoizmowi, duszę ich ogarnęło tantaliczne pragnienie złota! Myśl filozoficzna nie przeniknie tych serc merkantylicznych, a pole wzniosłéj i czystéj spekulacyi jeszcze odłogiem leży i długo leżéć będzie nietknięte w ojczyznie trzciny cukrowéj. Żaden *mnie* nie widzi, choć na *mnie* patrzy — żaden z nich nie wie, że *ja* żyję, że *ja* wyższy nad nich, potęgą ducha z politowaniem przyglądam się rozhukanym falom materjalizmu, które nie zaleją *méj* duszy — *ja*.... i któż *ja* jestem? *ja* jestem *ja!* W pięknéj *mojéj* ojczyźnie, przeznaczonéj do niesienia światu postępu i myśli, rodzi się mnóstwo synów, aby skolonizowali cały świat: — aby zanieśli światło nauk w dzikie krainy Sławian, tych odwiecznych sług *mojéj* pięknéj Germanii. — A *ja*, zaniesiony w stepy nowego świata, jestem *apostołem* idei wielkiéj, nieskończonéj, niepojętéj. *Jam* człowiek z Bożém tchnieniem.... *moje* cygaro się kończy i rzucam je, jak moi ziomkowie rzucili perły wiedzy, pomiędzy trzody narodów. — Sen klei *moje* powieki, świst lokomotywy napróżno chce zagłuszyć *moje* myśli. — *Mój* duch wyższy jak świst Yankee — a jego kraj to *nasz*.... Marzę.... unoszę się w krainę abstrakcyjnéj myśli.... zasypiam! —

Nowy Orlean 15 Stycznia. — Otóż jestem w stolicy Anty-abolicjonizmu. W koło mnie pędzą negrów spętanych; i cóż mnie to obchodzi? alboż *ja* jestem negrem, alboz *ja* jem ryż i piję Kuskus? — Inaczéj w Bostonie, New-Yorku i Filadelfji. — *Tam* negr usamowolniony.... tam posiada prawa człowieka.... czarnego. Śmieszni są ci negrzy spanoszeni.... im się zdaje, że złoto zastąpi urodzenie.... przodków — nauki — ogładę. — Sypaniem dolarów chcą sobie zakupić miejsce w towarzystwie białych, którzy ich się wyrzekli.... którzy niemi gardzą.... lecz czy słusznie? na to historja odpowie. Należałoby potomków tych przybyszów odwiecznych ze wschodu, przyciągnąć do siebie, ale nie plwać na nich. — Należałoby zrobić sobie z nich przyjaciół, a nie wrogów, obywateli wspólnéj ojczyzny, a nie niechętnych; — dobrym przykładem zachęcić do cnót, a nie szyderstwem większą wykopywać przepaść, która z każdym dniem zamiast się zmniejszać, wzrasta olbrzymio. I cóż, że murzyn przejrzy wiedzę, kiedy go od niéj odpychają? I cóż, że go przyjmie Amerykanin do swego wyznania, kiedy w piątém i szóstém pokoleniu wyrzuca mu, że pochodzi z murzyńskiéj rasy, jakby był winien, że go Bóg negrem stworzył? Miłość Chrystusa powinna garnąć w swe objęcia dzieci jednego ojca, a nasi pastorowie fanatyzują gmin i podburzają przeciw murzynom. Oni, widząc szczerość postępowania i życzliwość Amerykanów, pokażą się wdzięcznemi i z zapałem

uścisną dłoń im podaną. Dzienniki Stanów Zjednoczonych (północnych), są w ogóle negrom nieprzychylne, zwłaszcza w New-Yorku, gdzie liczba ludności murzyńskiéj wzrasta w sposób zatrważający. Właśnie to powinno ostrzedz krajowców, ażeby raczéj zyskali sobie serca niesłusznie wzgardą okrytego plemienia i użyli swéj i ich pracy na podniesienie pomyślności i bogactw krainy, w któréj razem mieszkają. Murzyni w ogóle źle po angielsku mówią; jest jednak paręset ich familii w stanach północnych, które do dzieci swych nawet nie mówią benguelskim djalektem i trzymają Amerykanki służące, iżby od dzieciństwa nauczyły się mówić czysto po angielsku. — Murzyni są przemyślni, zabiegliwi i chciwi. Pochodzi to ztąd, że długo zostając w niewoli fizycznéj, a dotąd w moralnéj, za pomocą złota chcą zrównać białym, niepomni, że złoto bez oświaty i wartości wewnętrznéj nie potrafi zetrzéć piętna różnicy, jakie jest przyczyną ich poniżenia moralnego. Zamiast puszenia się złotem, niech się szczerze wezmą do nauk specjalnych i pracy! — Niech się starają podnieść pomyślność kraju, a swój proletarjat i gmin niech oderwą od faktorstwa, tandeciarstwa i szynkarstwa, a zwrócą do roli i rzemiosł, bo na téj drodze nikt niemi gardzić ani potrącać nie będzie! — Moje cygaro gaśnie, idę spać i życzę dobréj nocy Amerykanom i Negrom, a zarazem pierwszym: ażeby zapatrując się na wzajemną miłość murzynów, która ich czyni tak potężnemi, podobnie jak oni, wzajem się kochali i wspierali radą i czynem, a nie hołdowali samolubstwu; drugim zaś: ażeby przychylnością do kraju i wykorzenieniem przesądów okazali, że mają prawo nazywać się pożytecznemi obywatelami Stanów Zjednoczonych.

Nowy Orlean 19 Stycznia. — Dziwny zbytek panuje w tutejszém mieście; każdy żyje nad swoje dochody, ztąd tajemna nędza, długi, jak rak nieuleczony, toczą tutejsze społeczeństwo. Wszystko dla oka ludzkiego, mało bardzo dla siebie i rodziny. Stroje kobiet poszły w przysłowie, a ich krynoliny ogromnie szerokie, pokrywając wrodzoną piękność kształtów, czynią je podobnemi do dzwonów katedry mogunckiéj. Najkosztowniejsze suknie materjalne noszą jako strój codzienny, zgarniając niemi błoto, które w zimie literalnie zalewa tutejsze ulice.—Jeżeli zaś kobiéta traci grosz ciężko zapracowany, lub co gorzéj pożyczony, i mężczyźn niemało przyczyniają się do zniszczenia własnéj rodziny. Pokątne miłostki żonatych, gra w karty, obfite libacje przy każdéj sposobności, pożerają to, czego żona nie straciła na zbytki i stroje. Mieszkańcy należący niegdyś do Francyi i jeżdżący dziś jeszcze do Paryża, chlubią się przed światem, że Nowy-Orlean, to mały Paryż, i we wszystkiém starają się naśladować zamorski swój prototyp. Ztąd osobliwie pomiędzy wyższemi klasami mowa francuzka jest panującą; popisują się z nią na przechadzkach i chętnie mieszają pojedyncze słowa, jeżeli raczą przemawiać ojczystym językiem. Podstawą wykształcenia jest przedewszystkiém język francuzki; do dzieci sprowadzają Szwajcarki i słusznie; — dziewczyna bowiem Szwajcarka, która w swéj ojczyznie nauczyła się chodzić około chowu cieląt rasy szwajcarskiéj, wybornie może się nadać do wykształcenia nowego pokolenia. Deprawacja pomiędzy niższemi klasami ogromna. Whiskej to ich powszedni napój, a szynkarze murzyńscy zabierają w niedzielę grosz zapracowany krwawo w tygodniu. Ztąd też rzadko w którém mieście można widzieć w święto tylu pijaków, ile w Nowym-Orleanie.

LETNIE MIESZKANIA POD WARSZAWĄ DO NAJĘCIA.



METAMPSYCHOZA.

Kto chce na tym padole płaczu, w tych ciężkich czasach, nie mówię już dorobić się majątku na dzierżawie, ale przynajmniéj opłacić ciężary, powinien nietylko widziéć, ale nawet słyszéć, jak trawa rośnie. —

I dla tego p. Jakób, dzierżawca dóbr ziemskich Smolice Wielkie, patrzał, słuchał i pracował, ażeby nie utracić trochy dorobionego majątku, i zostawić dzieciom po swojéj śmierci jakie takie utrzymanie. —

Najstarszym synem p. Jakóba był p. Wincenty, pełnoletni już młodzieniec — Namiestnik ojca — wyręczyciel przy żniwie, omłocie — wydawaniu obroków i t. p.

Było to w Maju; — p. Jakób zatrudniony sadzeniem niebardzo plonujących, nieszczęśliwych ziemniaków — niemógł oderwać się od pracy i jechać na walny jarmark, pomimo konieczńéj potrzeby i zamiany kasztanowatego wałacha, który, jako powolny, z nagłym bułanym dłużéj zaprzęganym być nie mógł. —

Po kilkodniowym namyśle p. Jakób przywołał swego syna do siebie. —

— Słuchaj no Ficuś. —

— Słucham taty. —

— Widzisz, ja jechać nie mogę w żaden sposób na jarmark, a trzeba mi koniecznie tego lenia kasztana sfacjendować, bo w żaden sposób do bułanego nie pasuje — Weźmiesz karbowego Walka, on się zna na koniach, pojedziecie — tylko zapowiadam, żeby mi dobrze handel zrobić, na jarmarku zachować się przyzwoicie — bo jakbym się o czém, panie broń! dowiedział, to niech cię ręka Pana Boga broni!

— A proszę taty, cóżbym ja tam złego miał zrobić? —

— Dam ci na dopłatę do facjendy złotych polskich sto pięćdziesiąt, dla ciebie na życie po złotych cztery, a dla Walka po złotówce, na dni pięć uczyni — pięć razy pięć, dwadzieścia pięć — na stajnią i stancją złotych dwadzieścia — razem więc dwadzieścia a dwadzieścia pięć, będzie czterdzieści pięć — tylko, jak powiadam, zachować mi się przyzwoicie i wyrachować co do grosza. —

Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu — zajechał Walek wózkiem, wypakowanym umieszanym obrokiem, bułany szarpał się naprzód, kasztanowaty w tył cofał; aż nareszcie wsiadł p. Wincenty, obdarowany od mamy dodatkiem kilkunastu złotych, pieczoną kurą i kiełbasą — pojechał i za dwanaście godzin spostrzegł z daleka mieścinę, w któréj odbywał się ów sławny, coroczny walny jarmark. —

A cóż to jest walny jarmark?

Jest to łapka na myszy, do któréj kładą ponętę szachry, karciarze, oszusty i rozmaite niedołęgi, celem łatwiejszego i prędszego obdarcia i oskubania z ostatniego grosza, zbierających go w pocie czoła rolników. —

Jaka jest ponęta do téj łapki? —

Długie cybuchy z bursztynami, zwane antypki — markowane karty — ślepe, kulawe, i nosate szkapy — fabrykowane wina — magazyny strojów męzkich, złożone z gałganów, kupionych na licytacji po nieboszczykach i przedekartyzowanych dla szanownéj publiczności — powyganiane z większych miast Nimfy — rozmaitego kalibru bryki, powozy, wolanty, arki noego — baty fiszbinowe, z których ustawicznie niedowarzeni amatorowie trzaskają nad głowami przechodzących — czerwone szlafroki — żółte buty — zielono-pstrokate z wielkiemi kutasami ranne mycki — i wiele tym podobnych głupstw i niedorzeczności. —

Po co się jedzie najwięcéj na walny jarmark? —

Po to, ażeby przez kilka dni użyć tych strasznie przyjemnych przyjemności, złapać się w łapkę i potém wisiéć za nogę, albo za głowę, przez rok cały, a może i więcéj. —

Nie w takim prawda zamiarze pojechał Wicuś na jarmark — ale cóż on temu winien, że przyszedł na świat z guzem na głowie, który, podług systematu Galla, mieścił w sobie tę przebrzydłą żyłę, w któréj na widok asa lub damy, krew jak młotem uderzała? Co on temu winien, że nie mogąc sfacjendować leniwego kasztana, po naradzeniu się z Walkiem sprzedał go i chodził pomiędzy końmi, ażeby dołożywszy do wziętych za kasztana pieniędzy dane od ojca sto pięćdziesiąt złotych, jego rozkazowi zadosyć uczynić? Co on temu winien, że konia dobrać nie mógł — że łażąc po błotnistéj mieścinie z kąta w kąt, oglądając auszusy warszawskich sklepów, pijąc piwo, lipowy kwiat z okowitą, co tu herbatą z arakiem nazywają, pomaleńku zabłądził do małéj ciemnéj stancyjki, gdzie kilkunastu młodzieży, obsiadłszy do koła stół, spoglądali jak w słońce w czcigodnego bankiera, który jednego po drugim oporządzał? Na widok tego szanownego zgromadzenia, tego prześwietnego zgromadzenia — tego wielkiego Trybunału, do którego wszystkie nasze staropolskie cnoty tyłem się obróciły, którego członkowie w biretach z najeżonych włosów, oblani potem, otoczeni obłokiem z unoszącego się drejkenigowego wagsztafowego i gelb wirginiowego dymu, czekali z upragnieniem chwili, w którejby mogli wydrzéć grosz, ostatni może, swemu sąsiadowi, przyjacielowi, a nawet i bratu; żyła p. Wincentego nabrzmiała, zaczął powoli dostawiać na kartę, wygrywał, znów przegrywał, szczęście zaczęło się ważyć — nareszcie bankier zawołał:

— Pięćset złotych do bicia — kto bije!?

— Ja biję! — przez djabła skuszony zawołał Wicuś. —

— As — dama.... dwójka, newka, walet, dyska... as! — przegrałeś pan! —

Zimno od stóp do głowy przebiegło nieszczęśliwego Wicusia, cisnął na stół pieniądze i w największym strachu, bojaźni i rozpaczy, pędził sam, nie wiedząc gdzie i po co. —

Nawał myśli, który nieszczęśliwemu tłoczył się do głowy, widok zagniewanéj twarzy ojca, wstyd i hańba, wyrodziły w nim chęć samobójstwa — po niejakim jednak namyśle postanowił żyć jeszcze — nie wspominając nic o nieszczęściu Walkowi, kazał zaprządz bułanego i jednym koniem wyjechał z mia-

steczka, aby w najbliższéj karczmie przenocować, ztamtąd napisać list pożegnalny do rodziców i pójść w świat, gdzie go oczy poniosą. —

Dobrze się już ściemniło, kiedy nasi podróżni roztasowali się na nocleg — księżyc tylko bladém swojém światłem oświecał pod lasem karczemkę i patrzał w oczy panu Wincentemu, w którego głowie całego świata lokomotywy gwizdały. —

Waluś, po zadaniu bułanemu obroku, położył się i usnął. —

Wicuś, spać nie mógł — wyszedł i wolnym krokiem szedł gościńcem ku lasowi. —

Nikt nie jest tak oszczędny w podróży, jak Izraelici; jeden z nich, powracając z jarmarku, o kilkaset kroków za karczmą pod lasem popasał pod gołém niebem, pozawiązywał worki z obrokiem na łby koniom i chrapał na wozie. —.

Zbliżył się powolnym krokiem do niego Wicuś i pomiędzy trzema żydowskiemi końmi spostrzegł na drążku, kropka w kropkę takiego bułanka, jak jego własny. —

Najszczęśliwsza myśl, jaką tylko strapiony człowiek wymarzyć może, przyszła mu do głowy. —

Z największą ostrożnością wyprzęga bułanego konia, zdejmuje z niego chomonto i cichuteńko prowadzi go do krzaków, niedaleko karczmy, gdzie go do drzewa przywięzuje, tak, aby spostrzeżony być nie mógł. — Powraca potém jak najostrożniéj do żydowskiego wozu, kładzie na siebie chomonto, zapina postronki, i na czworakąch zaprzęgnięty stoi przy wozie. —

Po niejakiéj chwili ocknął się Izraelita, schodzi z wozu, idzie do koni, i o dziwy! zamiast bułanego, widzi zaprzęgniętego człowieka do wozu.

— Ny! — co to jest?! — rozbój? cy co? gdzie mój koń? Co tu jegimość robi?

— Za ciężkie grzechy moje — rzecze z powagą pan Wincenty—przemieniony zostałem w konia; dziś właśnie pokuta moja skończyła się — i przeszedłem w dawną swoją postać. —

— Aj waj! a dla ciego jegimość wcoraj się nie psemienił? hę? jabym był jegimości nie kipił — ja za jegimości dał 50 talary — a jak jo je odbierę? — hast du gewidziot — a jak tu nadjadą chłopy rozbójniki, to mnie zabiją, że ja katolika do woza zaprzęgom. — Wiłaź jegimość ztąd i idź do sto djabłów prec — niech jegimości za moje pieniądze kark się złomie. —

I stroskany kupiec zerwał chomonto z pana Wincentego, wrzucił na wóz i co prędzéj pojechał w dalszą drogę, przeklinając nieostrożność swoją. —

Tymczasem p. Wincenty przyprowadził do karczmy bułanka, obełgał Walka, że go na drodze kupił, kazał zaprządz i na całą noc pojechał do domu. —

Ojciec był dosyć zadowolony z kupna, a jeszcze więcéj z przyzwoitego zachowania się na jarmarku syna, którego serdecznie ucałował. —

Po kilku tygodniach pokazało się, że kupny bułanek zaciągał na oko; postanowił więc p. Jakób sprzedać go na pierwszym jarmarku — pojechał z Walkiem do miasteczka w celu facjendy, lub sprzedaży. —

Na jarmarku było dosyć koni i kupców, a pomiędzy handlarzami był i nieszczęśliwy Icek, którego koń w człowieka się przemienił; spostrzegł pomiędzy końmi tego samego bułanka, zdziwił się niezmiernie, a zbliżywszy się do niego, nachylił łba bułanemu, i cicho rzekł mu do ucha:

— Musiał jegimość znów co zrobić, kiedy jegimości drugi raz przemienili — ale niech się jegimość nie ciesy, juz jo nie będę taki głupi! jo jegimości nie kupię, bądź jegimość zdrów! —

WYJAZD W KONKURY.

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

OSOBY.

PAN MATEUSZ DOROBKIEWICZ dziedzic wioski.
BŁAŻEJOWA, kucharka, pokojówka i gospodyni.
FRANEK, woźnica.
GUMIENNY.

SCENA I.

Pan MATEUSZ, *sam w pokoju.*

No! to podobno już wszystko skończone,
Pokoje czyste, podłoga jest nowa,
Że tylko jechać i przywozić żonę,
Bo już klateczka zupełnie gotowa!...
Znajdzie porządek moja pani młoda;
Aby ze służbą wszystko poszło składnie!
Spisałem rejestr.... jest szafa, komoda,
Słowem jest wszystko i pięknie i ładnie. —
Chociaż sąsiedzi mają mnie za gbura,
Choć deptał przy niéj jakiś tam wyrostek,
Kiedy jéj rzekłem: — Pięknaś jak aura! —
Moja Balbinka skraśniała do kostek!...

(cmokając językiem)

Tfu do pioruna!... smaczny kąsek będzie!
Choć człek się żeni, to nie bardzo błądzi:
Pannę po ślubnym dostanie obrzędzie,
A przed weselem teścia oporządzę! —

(na ganku).

Służba! gumienny!... niech tu przyjdzie Franek!.

GUMIENNY.

Franek! do pana!...

MATEUSZ (*do Franka*).

Gotowe już konie?...

FRANEK.

Są, ino troche osowioł kaśtanek,
Mało obroku....

MATEUSZ,

Obroku!... gawronie!...

Owies po rublu.... czy ty nie wiesz, błaźnie?....
Chciałbyś kraść ciągle!... znam ja cię, gałganie!,..
Ale poczekaj! sprawię ja ci łaźnię,
Aż ci prababka kością w gardle stanie!....

FRANEK.

Śkapięta głodne, ciągle o ccem duchu,
To gnój wywozą, to drypcą z powozem....

MATEUSZ.

A tyś od czego?.... położyć na brzuchu
Zmaczaną płachtę, spętać je powrozem,
Rznąć po sto batów.....

FRANEK.

Jo ta tak nie moge,
Zal mi robaków, choć nie mają dusy.....

MATEUSZ (*w gniewie*).

Poszoł won durniu!... dziś jedziemy w drogę!
A niech mi który z kopyta nie ruszy!!...

(*w pokoju*).

Ej! Błażejowa!... dziś będę na balu,
Dać mi kołnierzyk....

BŁAŻEJOWA (*idąc*).

Natychmiast przynoszę....

MATEUSZ.

Czemu nie sztywny?... czy nie ma krochmalu?
Czy nie kupiłem farbki za trzy grosze?...

BŁAŻEJOWA.

To naumyślnie....

MATEUSZ.

Co ta czarownica?...

BŁAŻEJOWA.

Jak bardzo sztywny — to uszy piłuje....

MATEUSZ.

A tobie czy co piłuje spódnica?...,
Z cudzego worka, to nikt nie żałuje!...
Poczekaj babo! i ciebie uraczę!...

BŁAŻEJOWA.

Toć ja dla pana tak chcę, jak dla ojca....

MATEUSZ.

Prawda!... a kura po podwórzu gdacze,
I chodzi z jajem — nie wsadzisz do kojca!....

BŁAŻEJOWA.

Czy ją pan macał?... jedno zniosła rano;
Pachciarz za jaja dał już dzisiaj złoty!...

MATEUSZ.

A cóż to?! drugie znieść jéj zakazano?...
Cóż ma lepszego kura do roboty?!...
Masz tu dziesiątkę, kupisz mi dwie świéce,
Ale nie wypal!... bo pamiętaj.... baty!...
Jak wrócę z gośćmi — zrobisz jajecznicę,
I na probostwie pożyczysz herbaty!...
Cukru tam jeszcze z ćwierć funta zostało,
Musi wystarczyć, teraz ciężkie czasy!
Jeżdżę w konkury.....

BŁAŻEJOWA.

To będzie za mało. —

MATEUSZ.

Nie ma pieniędzy na takie frykasy! —

BŁAŻEJOWA.

A co dla ludzi?...

MATEUSZ.

Kiedy?

BŁAŻEJOWA.

Na kolacją. —

MATEUSZ (*licząc*).

Kluski.... to drogie.... kartofle dać wolę....
(Co raz to gorzéj, mój ojciec miał racją....)
Weźmiesz z wybirków, tych co zmarzły w dole;
Tylko pamiętać, że już post za pasem,
Ale post twardy, więc nie brać oleju!...
Podaj mi surdut.... a ja tu tymczasem
Przygładzę czuba.... mości dobrodzieju!...

BŁAŻEJOWA.

Guzik urwany....

MATEUSZ.

Do ciebie należy
Przyszyć mi inny!... wiecznie te kłopota!...
Idźno, na górze, zdaje mi się, eży
Ekonomowi zabrana kapota,
Oderzniesz jeden, on się nie zmiarkuje....

(*sam*)

Ta dworska służba, to niewdzięczne dusze!
Człek sobie tylko życie z nią zatruje!
Ja tu ład inny zaprowadzić muszę!...

(*Do wchodzącego gumiennego.*)

Żeby mi wszystko zostało dojrzane!
Stróż nocny wcześniéj niech wyjdzie troszeczkę;
Dla krów trzęsionka; — i niechaj zastanę
Wieczór, parobków w kuchni rznących sieczkę! —
Idź! niech zaprzęga!...

(*sam*)

Niezły ten gumienny!...
Nigdy się nadto wódką nie zakropi,
Zdaje się nawet, że człowiek sumienny!...
Ale chłop!... szelma — tak jak wszyscy chłopi! —

SCENA II.

(*Pan Mateusz jedzie w starym odkrytym powozie, wysokiemi chudemi końmi, Franek siedzi na koźle i powozi*).

MATEUSZ.

Ej! stój ty durniu!...

FRANEK.

Słucham jaśnie pana....

MATEUSZ.

No! złaźże z konia, bo ci łaźnię sprawię....

(*wyjmując pudło łubiane*)

Masz tu kokardy.... O! łapa zwalana!
Wiesz, że kokardy kupione w Warszawie!...
Obetrzyj łapę!...

FRANEK.

Czysta, jaśnie panie!...

MATEUSZ.

Weź, przypnij koniom.... jakem pokazywał;
Nie mnij! — bo tego darmo nie dostanie!...
A jaśnie panem żebyś mnie nazywał!....

(*jadą dwie wiorsty w milczeniu*).

MATEUSZ.

Stój!...

FRANEK.

Słucham Pana!

MATEUSZ.

Pana!... jaśnie pana!...
Nie widzisz capie na niebie téj chmury?
Odpiąć kokardy!... deszcz będzie do rana; —
Zwijaj się.... powóz podniesiesz do góry....

(*jadą, widać dwór*).

MATEUSZ.

Stań!... dwór już widać!... chmura przeciągnęła...
Przypnij kokardy....

FRANEK (*po cichu*).

Wstązecka przy uchu,
A kazda śkapa po sto batów wzieła,
Ze robak z głodu krucy jem po bzuchu....

(przed dworem).

MATEUSZ.

Zacinaj konie!... jedź koło wyłomu!...
Dla koni owsa dadzą ci i siana,
Jak nie wyjedzą — to weźmiesz do domu!
A pilnuj kokard!...

FRANEK.

Słucham Jaśnie Pana!...

Hyacynt Wiercipięta.

MAŁE SZKOLNE ZDARZENIE.

Pomiędzy małemi berbecikami pierwszéj klassy, których zwykle przez szykanę nazywano *parwusami*, pamiętam jak dzisiaj, znajdowało się szczególniéj odznaczających trzech małych chłopaczków: Jacuś, Wacuś i Maciuś, w zgodnym tryumwiracie noszących tytuł *osiołków.* — Bo też nieraz w swéj błogiéj naiwności, z takim mimowiedzy wystąpili dowcipem, że nietylko cała klassa nagłym jak wystrzał z działa wybuchała śmiechem, ale nawet sami professorowie powstrzymać chętki do śmiania nie mogli, i radzi nieradzi wtórzyli chichotem rozweselonéj gromadce malców. —

Raz, na parę godzin przed examinem, zacny ksiądz prefekt, nakładłszy wszystkim w uszy co się tylko zmieściło, namustrowawszy się na wszystkie boki, żeby popis poszedł i chwacko i gracko, a pragnąc, by i te osiołki z czémkolwiek się popisały, naznaczył im pytania i rzekł: —

— »Pamiętaj Wacusiu, że jak się spytam, kto cię stworzył? — odpowiesz prędko: — Bóg Ojciec! — Ty Maciusiu, na pytanie: kto cię odkupił? — odpowiedz: Jezus Chrystus. — Ty zaś ostatni Jacusiu, pamiętaj, że ciebie Duch Śty poświęcił.« —

Chłopaczki przełknęli, zarumienili się od obciążenia pamięci, w cichym szepcie zaczęli powtarzać przeznaczone dla nich odpowiedzi.... w tém wszedł wizytator, i razem ze zwierzchnością szkolną zasiadł przed dużym stołem, okrytym suknem. —

Nauka religji rozpoczęła popis. — Sypnęły się więc zapytania, odpowiedzi jak grad leciały, my rośli jak baby na drożdżach, ksiądz prefekt się uśmiechał, aż wreszcie przybliżył się do Maciusia i rzekł: —

— »Kto cię stworzył? —

Maciuś zerwał się, zaczerwienił, pomyślał troszkę, i wskazując na Wacusia, rzekł: —

— »Proszę księdza prefekta! to Wacusia stworzył, a mnie odkupił.« —

Gdy rzecz wyjaśnioną została, łatwo się domyślić, co się daléj działo; urzędowa powaga zniknęła, od śmiechu wszystkim zatrzęsły się brzuchy, a my tak sobie pozwolili, że rzecz cała o mało nie skończyła się traicznie.... w referacie stróżowym na pniaku. —

OBYWATEL, BUDZĄC SIĘ ZE SNU,



Patrzy najpierwéj, czy mu rąk i nóg nie skradziono.

SPACER

NA POLA ELIZEJSKIE.

Smutno, nudno i głupio na téj naszéj ziemi,
Kiedy człek otoczony kłopotami swemi;
A choć się biedak drapie, biedy nie odpędzi — —
Zawsze go gryzą móle, zawsze go cóś swędzi!
Wszyscyśmy nieszczęśliwi, wszyscy narzekamy,
Wszyscy klepiemy biedę i wszyscy wzdychamy: —
Młody, chciałby najprędzéj dostać włosów siwych,
Stary pragnie powrócić do tych chwil szczęśliwych,
Gdy przy boku kochanki hasał na rumaku,
I z sztandarem miłości ruszał do attaku.
Kawaler na wydaniu ciągle ma ochotę,
Spełnić związkiem małżeńskim swe marzenia złote,
I buja tak jak motyl wśród polnych bławatków,
Wietrząc, gdzie jest najwięcéj miodopłynnych kwiatków.
Żonaty, co z pokorą ciężki krzyż swój nosi,
Z złożonemi rękoma Pana Boga prosi,
By za jego trosk tyle i za cierpień tyle,
Powrócił mu łaskawie kawalerskie chwile.
Bankiery i wieśniacy, pany i półpany,
Każdy ma ciężką biedę i każdy stroskany;
Niewiasty, niekontente z powszedniego chleba,
Płaczliwemi oczkami wzdychają do nieba;
I każdy płacząc, ciągnie tego życia kierat:
Pan, chłop, kupiec, wojownik, rzemieślnik, literat.
Ostatni najbiedniejszy, łzy mu w oczach stoją,
Gdy Was chce rozweselić gadaniną swoją,
Bo on pono najwięcéj nieborak narzeka,
I napróżno przed biedą i nędzą ucieka!
I ja, chudy pachołek z literatów rzędu,
Choć nie mam na Parnasie żadnego urzędu,
Chciałbym jednakże z Wami pogwarzyć wesoło,
I jaką pieśń swobodną, rzucić w Wasze koło;
Lecz i mnie, jak i wszystkich, ciągle coś w bok kole,
I mnie łzy w oczach stoją, i mnie gryzą mole,
I ja, jak błędny, łażę w śród tego chaosu....
A na co będę bazgrał?... kiedy niema sztosu!

. . . .

Ale.... raczcie zobaczyć.... Czytelnicy moi!
Co to tam na tym stole w buteleczce stoi?
A na niéj etykieta z napisem: »Miętowa«!
Mówią, że od gorzałki zawsze boli głowa,
Ale kiedy jest troska, kiedy kłopot wielki,
To czasem i pomoże ten nektar z butelki!
Nie mówię, by się upić, nadwerężyć zdrowie!...
Wstrzemięźliwość przed wszystkiém, kochani Panowie!
Lecz człek zawsze weselszy przy pełnéj szklanicy!...
A zatém... odkorkuję!... do Was, Czytelnicy! —



. . . .

Ha! dobra! doskonała! humor mi naprawi,
Choćby się jeszcze napić?... drugi nie udawi!
Dzielna, istotnie dzielna!... i nie boli głowa! —
Bodajto gorzałeczka, czysta, a miętowa!

Omne trinum perfectum — trzeba wypić trzeci,
A może żal i troska do djabła poleci! —

. . . .

Wyborna!... wyśmienita!... hej! ha! doskonała!
Jakoś w sercu i w duszy prześlicznie zagrała! —
Co mi tam!... wszystko jedno.... bogactwo czy bieda!
Choćbym wiek cały beczał.... i tak.... nikt nic nieda.
Co mi tam!... wszystko jedno.... biedny czy bogaty!
Czy w atłasy odziany, czy w podarte szmaty!
Wszak to u nas.... Mospanie!.... w naszym polskim rodzie
Szlachcic.... z zagona szlachcic... równy wojewodzie! —
Wszak prawda, Czytelniku?.... Wiesz co?! nasz wiek krótki!
Do ciebie przyjacielu!... wypij ze mną wódki!
Ty mój drogi poczciwcze!... serdeczny!... kochany!...

. . . .

Cóż to?... trzęsienie ziemi?... co?... sprzęty i ściany
W koło się obracają?... A cóż to u djabła?! —
Pióro z ręki wypada.... i chętka osłabła! —

. . . .

Bo ja też pisać nie chcę!!... wśród tego odmętu;
Nienawidzę papieru, pióra, atramentu!
Nie chcę nic!... od was.... moi.... Czytelnicy drodzy!
Wszyscyśmy na tym świecie — biedni i ubodzy!...
Dobranoc wam!... dobranoc.... tak mi bębni w głowie!...
Róbcie sobie co chcecie!... dobranoc... Pa....no....wie!!

Człowiek, na obraz i podobieństwa Boskie stworzona istota, podług wiarogodnego filozofa naszych czasów składa się z ciała, duszy i jaźni.

Każdy z tych trzech głównych materjałów naszego jestestwa dzieli się na wiele drobnych części, które sprowadzone razem do wspólnego mianownika, ustawiczną kłótnią pomiędzy sobą stanowią nasze ludzkie, głupie życie.

Bardzo więc naturalnie, że tak jak każdy inny, również i ja złożony byłem, jestem i będę z tych trzech wiktuałów, gdyż jestem człowiekiem (*animal rationale*).

Niegłupi powiedział: — »gdzie wiele radzą, tam nic nie zrobią i jeszcze się zwadzą.«

Widzieliście, kochani Czytelnicy, na wstępie, że ciało moje upoiłem miętówką — wstrzemięźliwi członkowie składający kłótliwą rzeczpospolitą mojego istnienia odosobnili się od pijanego ciała — dusza siadła na ramieniu — a jaźń, nie mając co lepszego do roboty, pogrzmiła sobie daleko! — precz daleko! —

Co wszystko wyrachowawszy, matematycznie wypada, że $^2/_3$ części mnie uciekło, a $^1/_3$ otrętwiała i usnęła na ziemi.

Nietrzeba wam opisywać, kochani Czytelnicy, radości uciemiężonych więźni, gdy z trzydziesto-kilko letniéj kozy na świat wypuszczeni, biegają sobie swobodnie: dlatego pozwólcie i biednym lokatorom mojego ciała, istotom czystym, wypuszczonym na wakacje, wypocząć po kilkodziesięcio - letniéj niewoli i pobujać po świecie marzeń, dopóki ich dzwonek szkolny, po wytrzeźwieniu mojego ciała, do dalszych usług nie zawoła.

In vino veritas!... dla czegóżby nie było prawdy w miętówce!?... Jeżeli więc obełgującym Was autorom opisów podróży dajecie wiarę, raczcie wierzyć temu, który upoiwszy ciało, odbył wielką podróż za granicą świata, i o posłuchanie Was prosi.

Duchowi członkowie mojego jestestwa spostrzegłszy mieszkanie swoje na kilkanaście godzin eterem zadymione, wzięli się pod pachę, a ukłoniwszy się salonowo uśpionemu ciału, popędzili w świat boży, użyć swobody i wypoczynku.

Trudnym do opisania lotem wzbiłem się w powietrze; przedmioty ziemskie nikną nadzwyczajnie prędko, ledwo kiedy niekiedy wśród rozlicznych gmachów spostrzedz można osoby płci żeńskiéj, bo mężczyzni dawno już znikli w oddaleniu: średnica ich bowiem mniejsza, a podług zasad fizyki, przedmioty z mniejszemi średnicami prędzéj znikają z horyzontu.

Widzę jeszcze cokolwiek, jak powolnie posuwają się lokomotywy po kolejach żelaznych, a późniéj jeszcze spostrzegam pomaleńku wlokącą się iskrę, po drucie telegrafu elektro-magnetycznego.

Nareszcie Europa, Azja, Afryka, Ameryka, Australja i jeszcze jakaś niewiadoma nam część świata, przedstawiają mi się w figurach niezupełnie podobnych do tych, które na mapach widzimy. Widzę najwyraźniéj, że w Europie figury osobnych państw są inne, jak je na kartach geograficznych wykreślono: — kanał pomiędzy Francją a Anglją, stosunkowo daleko szerszy —Włochy, nie mają postaci buta z abcasem — morze Śródziemne jest bardzo nisko położone, a przekopanie przesmyku Suez może zatopić słupy Herkulesa. Pędzę daléj i daléj — widzę przy biegunach spłaszczoną kulę, kręcącą się niezgrabnie około zardzewiałych osi, i jakąś małą kulkę przy niéj, która się jak cielę za krową, za nią wlecze.

Daléj — przebiegam konstellacje gwiazd Raka, Panny, Wagi, Koziorożca i wiele innych; — uwijają się w koło mnie tysiące znanych i nieznanych planet — aż nareszcie na jeden raz, przedstawia się oczom moim wspaniały widok: — tak jak bengalskim ogniem oświecony nieprzejrzany okiem ogród spacerowy, nad bramą którego wielkiemi hebrajskiemi literami na tablicy wyryty wisiał napis: *Pola Elizejskie!*

Chciałem ukłonić się wspaniałemu widokowi, zachwycony jego pięknością, ale nie miałem czém, bo czapka moja na nieszczęście została przy pijanéj głowie na ziemi;— wszedłem tylko pokornie do cudownego ogrodu i na rozległych polach spostrzegłem miljony miljonów spacerujących.

Pierwszemi indywiduami, jakie zaraz w bramie spotkałem, było kilkunastu faktorów żydów, którzy mi swoje

usługi ofiarowali, a których przyjąć nie mogłem, bo sakiewka, dosyć i tak wypróżniona, pozostała w paletonie, w którym ciało moje na ziemi spało. Nie mogłem pomimo tego opędzić się ich natarczywości; po chwili jednak jeden z nich wyrzekł czarodziejskie słowo:

— *Niś — tu — dales!*

A moi fligiel-adjutanci opuścili mnie w okamgnieniu, tak jakby czarodziejską rószczką odpędzeni.

Uwolniony siłą słów tego exorcyzmu, który w pamięci zachowałem, od pierwszych napotkanych w tém miejscu ludzi — ruszyłem daléj.

Dostojne jakieś, starożytne figury, szły powolnym krokiem na przeciw mnie; usunąłem się na bok, lecz jeden z nich, zmierzywszy mnie od stóp do głowy, zapytał:

— Zkąd Pan jesteś?

— Z Europy, z Królestwa Polskiego, z Powiatu Olkuskiego.

— Pan świeżo przybyłeś na Pola Elizejskie? —

— W téj chwili, odpowiedziałem kłaniając się do saméj ziemi, a jeśli śmiem się zapytać, z kim mam zaszczyt rozmawiać?

— Jestem Ptolemeusz Filadelf; ten tu jest Juliusz Cezar, a to Sardanapal i Ninus.

Jeszcze niższy ukłon oddałem tak znakomitym przechodzącym.

— Cóż tam starożytne pomniki na ziemi? istnieją jeszcze?

— Stoją, proszę Jaśnie Wielmożnych Panów i świadczą o ich wielkości i potędze — ale przy téj sposobności radbym wiedziéć, bo ja na ziemi gospodarką trybarzę i właśnie zabieram się do stawiania stodoły w słupy murowane, dlaczego tak silnych budowli jak piramidy i obeliski, pomimo postępu w świecie zlepić nie możemy?

— Dlatego, że dawniéj stawialiśmy sami, a wy używacie do tego antreprenerów.

Znów ukłoniłem się do saméj ziemi.

— Cóż tam słychać? — zagadnął mnie Juliusz Cezar — jak się tam moi Rzymianie popisują?

— Zdrowi, proszę Jaśnie Wielmożnego Pana, jedzą makaron i pająki morskie.

— Co takiego?!

— Bo Rzymian już dawno niemasz, tylko Włochy....

Wtém przeraźliwe gwizdanie i śpiew na nótę Tyrola przerwał naszą rozmowę — dostojni przechodnie odeszli, a jakiś z niemiecka ubrany elegant zbliżył się do mnie śpiewając:

»*Wenn ich des Morgens früh aufstehe*,
»*Und zu meiner Schwägerin gehe.*«

Powitałem go ukłonem.

— Witam — a zkąd Pan przybył?

— Z Polski, proszę Wgo Pana. Z kimże mam przyjemność mówić?

— Jestem Djogenes filozof.

— Pan Dobrodziéj solo spaceruje? a gdzież beczka?

— Panie!... filozof dziś beczki nie potrzebuje, świat cały jest okropną beczką, w któréj odbywa się ciągła octowa fermentacja uczuć, myśli i pożądliwości: burzy się logika z materjalizmem, a my jak bańki w téj musującéj massie pokazujemy się — pękamy — i giniemy. — Żegnam Pana. —

— Najniższy sługa Pana Dobrodzieja. —

Poważna jakaś osoba zbliżyła się do mnie, a spojrzawszy łaskawie rzekła:

— Pan jesteś Polak? —

— Tak jest.

— Jestem Krakus, założyciel Krakowa, i cieszę się spotykając współziomka mego na tém miejscu. —

Ukłoniłem się z wielkiém uszanowaniem. —

— Jestem więc tyle szczęśliwy, że mogę oglądać Waszą Wysokość, od którego imienia my wszyscy Krakowianie ród swój wiedziemy. —

Jeżeli się śmiem zapytać, czy to prawda, że Wasza Wysokość raczyłeś zabić Smoka w jamie pod Wawelem?

— Tak jest, zabiłem go.

— Dla czego, proszę Waszéj Wysokości?

— Bo codziennie musiano mu dawać poddanych moich na pożarcie.

— Wielka szkoda, że go Wasza Wysokość zabić raczyłeś.

— Dla czego?!

— Boby się teraz bardzo był przydał, i bez straty poddanych Waszéj Wysokości, mógłby się był wyżywić, a nawet doskonale upaść.

Krakus poszedł daléj, a ja założywszy w tył ręce, zacząłem poważnie spacerować; niedaleko spostrzegłem na trawniku siedzącego Polonusa, smarującego dratwę.



— Z kimże mam ten honor?
— Rej z Nagłowic.
— Co Pan dobrodziéj robi?
— Buty? — ślepyś wasan!

— Pan Dobrodziéj na ziemi byłeś Poetą?

— Baj — baju, poezja chleba nie daje, a jeżeli wasan czujesz do niéj pociąg, radzę lepiéj chwycić się jakiego rzemiosła, tak jak nie przymierzając ja — ścielę się do stópek — bądź asan zdrów, bo nie mam czasu.

Cudowny brzęk jakiegoś instrumentu dał się słyszéć uszom moim. — Dziwnie ubrany człowiek zbliżył się do mnie, a przebierając na strunach jakiejś arfy, wydobywał z nich śliczne melodje. —

— Pan dobrodziéj artysta?

— Orfeusz, do usług Pana.

— A Pani dobrodziejka zdrowa?

— Jaka pani dobrodziejka?

— Pani Eurydyka?

— Ho! ho!... stare dzieje! — Eurydyka poszla za mąż, za bardzo bogatego fabrykanta zabawek dziecinnych.

— Bój się Pan dobrodziéj Pana Boga! przecież to Waćpaństwa dobrodziejstwa za przykład miłości na ziemi przedstawiają.

— Terefere!... miłość o głodzie, sprzykrzy się i wojewodzie, jak mawiała w końcu moja ubóstwiona Eurydyka. — Ona dziś ma Panie dwadzieścia cztery haftowanych koszul nocnych i tyleż dziennych — najkosztowniejsze panie jedwabie i axamity — niedawno dał jéj mąż na szpilki dwa tysiące złotych reńskich cwancygerami — a co atłasów — satentiurów — grodenapelów — domamariów — muslindelenów — tiulów — koronek — batistów — tiulików — klipklapów — i t. p. — to aż oczy bolą! Przy mnie chodziła w lnianéj, a najwięcéj w wełnianéj odzieży, i za całą rozrywkę miała tylko głupie moje przywiązanie i te nudną muzykę; dziś jest bardzo, o! bardzo szczęśliwą — nawet słyszałem, że sobie mieli dobra kupić.

— No! no!...

Pogrzmiłem daléj — krocie znajomych osobiście i historycznie osób przewijało się w około mnie. — Kłaniałem się na wszystkie strony — widziałem Noego — Hudsona Lowe — Matuzala — Wallenstejna — Pyrrusa króla Epiru — Ryszeliego — Katylinę — Marcina Lutra — Kleopatrę — i wiele różnych znakomitych osób. — Z naszych ziomków, spotkałem się z panem Filipem z Konopi, z panem Grabskim i z liczną ich familją; wszyscy cieszą się zupełném zdrowiem i kazali się kłaniać wszystkim znajomym i przyjaciołom. I wiele innych spotkałem osób, których dziś pamięcią objąć nie mogę. —

W końcu długiéj alei, na rozstajnych drogach, na strasznie chudéj szkapie, zajechał mi drogę jeszcze straszniéj chudy i wymokły jak śledź holenderski, rycerz, uzbrojony od stóp do głowy, który spostrzegłszy mnie, zmusił wierzgającego zdechlaka do ruszenia z miejsca, a spinając go ostrogą, zniewolił ledwo po długich szpryncach, że zbliżył się do mnie. Rycerz ostrze długiéj piki do piersi moich przyłożył i zawołał:

— Stój!!...

— Co wasan chcesz? i coś za jeden?

— Jestem don Kiszot z Manszy, kawaler Lwów.

— I cóż z tego?!

— Najuroczyściéj przysięgam i utrzymuję i przez całe życie utrzymywać będę: że Miss-Pastrana jest najpiękniejszą w świecie, piękniejszą nawet od méj Dulcynei. —

— Tfu!... mospanie — zjadłeś wasan sto djabłów! —

— Jeżeli przeczysz — broń się!... bo cię na miejscu ubiję i naszpikuję jak kota! —

Widząc że to nie peć — i z uzbrojonym warjatem nie ma co robić, dałem drapaka na poprzek trawników — ta szelma daléj za mną — jak mogłem tak się zwijałem przed ścigającym mnie Kawalerem Lwów i zmykałem kręcąc mu na wszystkie strony — ale w téj ucieczce przeraził mnie straszny odgłos trąb, a potém okropny lament, który się przeciągnął płaczliwém echem po nieprzejrzanych alejach pól Elizejskich. — Okropny strach ogarnął wszystkich spacerujących, a na twarzach wszystkich widać było straszliwą bojaźń kary — — — W tém

Ogłoszono Sąd Ostateczny:

Obydwa świata końce w posadach zadrżały,
I straszne siłą swoją pioruny zagrzmiały.
Gwiazdy zaczęły spadać i słońce zagasło,
A posłaniec Merkury dał na ziemi hasło:
Że Jowisz władca świata, Pan Panów odwieczny,
Przybywa w całéj chwale na sąd ostateczny.
Wrą wody oceanów, świat pełen ciemności,
Zlepiają się spróchniałe nieboszczyków kości,
Niknie dzień — a noc wieczna całun swój rozwija,
Bo ostatnia godzina dla świata wybija —
Wszyscy strachem przejęci, z pośpiechem, zapałem,
Spieszą stanąć przed strasznym Sądu Trybunałem.

. . . .

Pod złotym wielkim dębem, przy Junonie żonie,
Najsprawiedliwszy sędzia zasiada na tronie. —
Obok niego siadają boginie, bogowie,
W tém Merkury zawołał: »spokojność panowie!
»Wszyscy niech tutaj stają pod to święte drzewo!
»Wybrani pójdą w prawo, potępieni w lewo,
»Ażeby sprawiedliwie swych postępków w miarę,
»Odbierali nagrodę, albo słuszną karę. —«
Ucichło ludzkie plemię, a w tém Pan odwieczny
Zaczął ludzi zwoływać na sąd ostateczny.
W jak największym porządku, ustawieni w szyki,
Stoją ludzie z Europy, Azyi i Afryki,
Słychać wszędzie okropny płacz i narzekanie,
Przychodzą Australczyki i Amerykanie,
Czarni, biali, miedziani, wszyscy się zbierają,
Z spuszczonymi nosami wkoło drzewa stają,
Tak jakby makiem zasiał, głucho, cicho wszędzie,
A każdy tylko słucha, co to z tego będzie?

Rozpoczęły się sądy; Merkury znak daje,
I każdy po kolei przed Trybunał staje.
Gdy w rzeszach nastąpiła nieprzerwana cisza,
Pierwszy z miejsca ruszyłem do Tronu Jowisza.
Dawnych wieków urzędnik, mistrz sprawiedliwości,
Nie miał skóry na sobie, świeciły się k ości,
A okropném męczeństwem poranione ciało,
Potargane w kawałki krew z siebie bryzgało.
Jowisz, spojrzał z zdziwieniem — »cóż to jest do biesa?!
— »To jest zbrodnia, Jowiszu, króla Kambizesa.
»Byłem sędzią u Medów długie bardzo lata,
»To za me poświęcenie od niego zapłata;
»O! pomścij się nademną, ty panie nad pany!
»Za jeden tylko wyrok źle zredagowany,
»Ten co zawsze z ochotą w całym szukał dziury,
»Kazał mnie tak okropnie obedrzéć ze skóry!
»On mnie strasznie umęczył! on to tak mnie dobił,
»Zmiłuj się królu królów!« — »A! dobrze ci zrobił!«
Krzyknął surowo Jowisz — »Ja widziałem z góry
»Jak gwałcicie kodexa i prawa natury.
»Że z ciebie skórę ściągnął — Kambizes miał racją.—
»Ty śmiałeś sprawiedliwość puszczać w licytacją!
»I obdzierać ze skóry bez żadnéj litości
»Tych, co chcieli od ciebie prawa i słuszności?
»Precz ztąd!... pięknego zboża niepotrzebna plewo!
»Kara twoja za mała — umykaj na lewo! —
«Sequens!...« zawołał Jowisz — pomału z pokorą
Nadchodzi jakiś wojak — ale mu niesporo,
Staje z spuszczoną głową z największym respektem. —
— »Coś za jeden?« — »Ja byłem kohorty Prefektem.« —
—»Cóż ty panie Prefekcie? znam ja twoje sprawki:
»Dowodziłeś milicją dla swojéj zabawki,
»Senatus populusque żołd ci święcie płacił,
»A ty z twojéj kohorty jeszcześ się bogacił?
»Przegrałeś w całem życiu każdą bitwę prawie,
»Bo konie iść nie mogły pasane na trawie,
»I nad próżną drabiną zębami dzwoniły,
»A żołnierz wygłodniały w ręku nie miał siły.
»Na lewo!... mój Plutonie! weźmiesz tego chłopa,
»A proszę cię nie szczędzić kija i haropa!« —
Daléj jakiś jegomość pod drzewo przybywa,
A Jowisz się w te słowa do niego odzywa:
— »Cóż sobie wasan myślisz, mości dobrodzieju?
»Wlałem ci trochę więcéj do głowy oleju,
»Abyś uczył używać powszedniego chleba
»I pokazywał drogę twym bliźnim do nieba;
»Zrobiłem cię dla tego panem profesorem,
»Byś był innym przykładem i dla drugich wzorem....
»Tyś wrzeszczał o miłości bliźniego w zapale,
»*Redde, redde quod debes* wołając zuchwale....

»Idź braciszku na lewo! związać go w powrozy,
»I o chlebie i wodzie wpakować do kozy!« —
Wtém zabrzmiała muzyka. Cudowny widoku!...
Cały korpus baletu, w posuwistym skoku,
Gnąc i łamiąc swobodnie giętkie swoje gnaty,
En avent przed sądowe przysuwa się kraty.
Czarującym widokiem wszyscy osłupieli
O sądach, o Jowiszu całkiem zapomnieli,
A wkładając na oczy lornety, lornetki,
Pożądliwym uśmiechem śledzili kokietki.
Merkury z zadziwieniem z ukosa spogląda,
Wiją się, balansują i formują ronda,
Cały korpus najzręczniéj wyskakuje żwawo,
A szanowna publiczność, klaszcze, bije brawo!
Fora!... wołają rzesze — Jowisz okiem zmierzył,
Dyrektora baletu pięścią w łeb uderzył,
I smutnie się skończyło wielkie przedstawienie....
Znowu grobowa cisza i znowu milczenie.
—»A cóż się to ma znaczyć?... Cóż to u stu katów?
»Kto śmie przed sąd mój stawiać małpy i warjatów?
»Czy jeszcze tu chcą wabić swoją kokieterją?!
»Na lewo!... mój Plutonie! zrób z nich menażerją,
»I wpakuj po jednemu za żelazne kraty,
»A jak będą skakali.... rozumiesz!... to baty!« —
Gdy już przyszła zupełnie do porządku rzesza,
Każdy z zwieszoną głową na sądy pośpiesza.
Idą panie i panny, mężatki i wdowy,
Karze je wielki sędzia surowemi słowy:
Tę że złą była żoną, że się wciąż gniewała,
Tę znów, że tak w młodzieży ciągle przebierała,
Swojego przeznaczenia na ziemi nie doszła,
A przez to przebieranie i za mąż nieposzła. —
I schodzili się ludzie przed sędziego drzewo,
I jedni szli na prawo, a drudzy na lewo —
Szli bogaci, ubodzy, wieśniacy, panowie,
Owdowiali, żonaci i kawalerowie,
I młodziki i średni i siwego włosa,
Lecz każdy od Jowisza dostał zaraz nosa.
Ten, że złe życie pędził, — ten, że się upijał, —
Ten, że się lichwą trudnił, szachrował, wywijał, —
Ten, że się nie ożenił — i tak i tam daléj,
Jedni karę, a drudzy zbawienie zyskali.
Szło dosyć różnych ludzi artystów, aktorów,
Dziedziców i dzierżawców, prawników, doktorów —
A każdy od Jowisza, swych postępków w miarę
Otrzymywał nagrodę — albo słuszną karę. —
Przyszła koléj pomału na panów malarzy,
Poetów, literatów, muzyków rzeźbiarzy;
Każdy, drapiąc się w głowę, grzechy swoje liczy....
Tam rozpacza poeta, płacze budowniczy;
A Jowisz skinął ręką — donośnym rozkazem
Kazał stanąć przed sobą wszystkim w szereg razem.

Stanęli przed Trybunał, tylko ja zostałem,
I z największą bojaźnią za krzak się schowałem;
Sądziłem że się dla mnie nic złego nie stanie,
Ale Jowisz zawołał: — »chodź tu! ty bocianie!
»I popisz się przedemną z bazgraniami twemi,
»Co dwie sroki za ogon ciągniesz tam na ziemi! —
»Ja ci kazałem orać, a ty nie pracujesz,
»Tylko w niezgrabnéj kuźni nędzne rymy kujesz
»Bez sensu i kadencyi, bez formy i kształtu?
»Ruszaj zaraz na lewo! . . . .
. . . . Ja, jak krzyknę gwałtu!
Jak drapnę, przestraszony okropnym widokiem,
Jednym, sześć konstelacyj przeskoczyłem skokiem,
Spotkałem się w tym pędzie może z gwiazd milionem,
I nie jeden kometa trącił mnie ogonem. —
Zziajany i zmęczony, przestraszony wielce,
Ocknąłem się w méj izbie.... przy próżnéj butelce....
Przy mnie stał stary Matuś, szepcząc: — »proszę pana!
»Paszy nam nie wystarczy — dałem resztę siana, —
»Woły się kładą w pługu — deszcz przez strzechę leje, —
»Kozak przybył z paletem — bułany kuleje!« —
Trzeba iść — radzić złemu i gospodarować....
Jowisz orać rozkazał, a nie rezonować! —
Wstałem — ziewnąłem sobie po tych marzeń stracie....
I kończę, czytelnicy.... bo i wy ziewacie!...

REBUS № 4.



SKOKI KONIKA

na szachownicy.

№ I.

w do-	ciec:	chło-	kle	cza-	to	ma-	mo-
ca	dzie-	gra	oj-	piec	ral-	by-	Na
lu-	mu	zwy-	ną;	w ką-	je,	ką	ły:
cię!	oj-	be-	Choć	tła	mio-	cie.	o-
ro-	ły?	Mio-	cie	Szpar-	je,	Na	tel-
tał	dzą	lę	ga-	jest	rzu-	ni	wśmie-
Sam	ną.	ga-	zda-	sta-	gał	I	co
szpar-	Py-	szpar-	wal-	ły	się	casz	ga-

№ II.

sić	go-	sy-	u-	ki	pu	sie	I
Lan-	ra,	ba	dnie,	Ro-	na-	W pre-	pa-
wy-	No-	ka,	je	gi	O-	ga	ran-
To	dnie	Żyć	bić	Et	fe-	Jak	ku-
ka,	dłu-	ry	mo-	se	fra-	cae-	księ-
Par-	mi-	sztu-	Lo-	Na	stwo	la-	ny
gi,	a-	ga	fran-	czyć	Szpo-	ki	te-
tręp-	le	Tan-	tém	Z nad	ra.	Głup-	ry

(*Rozwiązanie nastąpi późniéj*).

WIZYTA U OBYWATELA WIEJSKIEGO (*).



»*Jestem Assessor Honorowy.*« —

NIMFA CHAOSU.

TRAGEDJA W 5. AKTACH.

Z PROLOGIEM I EPILOGIEM.

przez Oxygenjusza d'Azote napisana,

Z MUZYKĄ MAESTRA BERSELIO.

PROLOG.

OSOBY.

KWASOROD, Pan na zamku Żelaznéj Rury.
NIEDOKWAS, jego syn.
NIEDOKWASEK, bratanek Kwasoroda.
KOPERWAS, stary Marszałek dworu.
TRĄBA POWIETRZNA.

(*Rzecz w zamku Żelaznéj Rury*).

(*Teatr przedstawia wielką salę w zamku Żelaznéj Rury— noc— Straszliwa burza, niekiedy światłem błyskawic przerywana. Pioruny raz wraz przebiegają scenę — Uragan zrywa dachy i wali baszty — Trzęsienie ziemi w szybkich uderzeniach druzgocze wszystko, co uragan oszczędził. Deszcz — grad — zawieja — śnieg i szron. — Przez wielkie okno w głębi, widać przechadzającą się poważnie po niwach okolicznych* TRĄBĘ POWIETRZNĄ).

SCENA I.

KWASOROD *wchodzi szybko z retortką, z któréj pali przemycany tytoń.*

Do stu piorunów! czyż nie będzie końca?
Uragan huczy od zachodu słońca,
Ziemia wciąż skacze, jakby taradajka!
Nawet mi dzisiaj nie smakuje fajka!

(*Druzgocze retortkę o ziemię*).

A niech cię licho!... to przebrzydły knaster!...
Znikł z firmamentu nasz świetny hyliaster,
Cały mój zamek w gruzy się rozleci....
Gdzież będą mieszkać moje biedne dzieci?

(*trzęsienie ziemi zrzuca część sklepienia*)

Milionset diabłów! sklepienie się wali!
Koperwas! słyszysz? bież prędko do sali
Podeprzeć ściany...

(*) Powyższy rysunek, równie jak poprzedzający, p. n. *Obywatel budząc się ze snu*, są pomysłu p. Leona Kunickiego.

(*Piorun przebiega szybko scenę, Kwasorod zatrzymuje go*).

Hej! za pozwoleniem....

(*zapala cygaro i puszcza piorun, który zawstydzony ucieka*).

Wszystko mi dzisiaj zagraża zniszczeniem!

(*słychać łoskot*).

Masz! otóż okno wypadło z futryną!
Wnet wszystkie baszty w kupę gruzów spłyną....
Lecz cóż tam widzę?... wszak po moich łanach,
Smukłéj budowy, skryta w mgły tumanach
Nadobna Trąba Powietrzna przepływa....
Hej służba!.... łotry.... (*do siebie*) o chwilo szczęśliwa!...
Koperwas! słyszysz? Koperwas, do pana!
O śliczna Trąbo! o Trąbo cacana!
Jakżem rad ujrzyć twe przecudne wdzięki....

(*wstając, wrzeszczy straszliwie*).

Djable wenecki z piekielnéj paszczęki!
Koperwas!! słyszysz! hej, ty psie wołoski!

SCENA II.

KOPERWAS (*wbiega blady i przestraszony*).

O jasny panie! ziemia cztery wioski
Pożarła rolą z bydłem i chłopami.

KWASOROD.

Błaźnie! jak możesz nudzić mię głupstwami?
Siądź raczéj na koń — i pędź co sił stanie,

(*pokazuje mu Trąbę Powietrzną*).

Widzisz na polach tę nadobną panię,
Trąbę Powietrzną? — więc proś, by w gościnę
Wstąpiła do mnie!

KOPERWAS.

Pędzę! lecę! ginę!

KWASOROD.

A jak najprędzéj wracaj w zamku progi!
Rozumiesz?

(*Kawał sklepienia spada i druzgocze głowę Koperwasa*).

KOPERWAS (*krzycząc z bólu*).

Aj! aj!

KWASOROD.

Ot widzisz, łajdaku!
Jakiś niezgrabny! przynieś prędzéj laku,
Może poklęję jako te czerepy. —

(*Koperwas biegnie i przynosi lak — piorun uderza i zapala świecę stojącą na stole*).

KOPERWAS (*podając*).

Ostatnia laska!

KWASOROD (*topi lak i klei mu głowę*).

W stepy tobie, w stepy
Bydło paść! ale nie być pańskim sługą!

(*puszcza go*)

No, jakoś będzie, a nie baw się długo!

KOPERWAS.

Wracam natychmiast.

SCENA III.

KWASOROD *później* NIEDOKWAS i NIEDOKWASEK.

KWASOROD (*patrząc za nim*).

Gapie i niezdary!

(*Przegląda się w zwierciadle*).

Co to? (*przerażony*) włos siwy!... toż nie jestem stary!...
Już siwe włosy?! jakżeż tu u kata
Teraz wystąpić, gdy wdzięki ni świata
Zawita — jeszczeż bo na samém czole!
Ha! niema rady.... chyba łeb ogolę.

(*siada przy toalecie i namydla głowę*).

NIEDOKWAS (*wchodzi*).

Co czynisz, ojcze?

KWASOROD.

Naprawiam ruiny....
Skąd idziesz dzióbku?

NIEDOKWAS.

Powracam od *Cyny*.
Grymaśna jejmość — próżnom robił drogę,
W żaden jéj sposób ukwasić nie mogę.

KWASOROD (*ostrząc brzytwę po pasku*).

Ba! ona w *Chlorze* całkiem zatopiona,
Pycha owładła tą dumną dziewczyną,
Że zamiast *Cyna*, chce się przezwać *Cyno*.

NIEDOKWAS (*wpadając*).

Stryju kochany, cała wschodnia strona
Naszego zamku w gruzach już spoczywa!

KWASOROD (*obojętnie goląc się*).

Wziął czort co swoje!

NIEDOKWASEK.

Narożnik się kiwa,
I główna baszta wkrótce się rozleci!

KWASOROD (*obciera głowę*).

Ha! pal ją licho! — patrzajcie no dzieci,
Czy tam gdzie na łbie nie został włos siwy?...

NIEDOKWASEK (*patrząc przez mikroskop*).

Nie! ani jeden!

NIEDOKWAS.

Jakem nieszczęśliwy!

SCENA IV.

DAWNI i KOPERWAS; *potém* TRĄBA.

KOPERWAS (*meldując*).

Trąba powietrzna jaśnie oświecona!

Trąba wchodzi i przewraca wszystkich czterech.

WSZYSCY CZTEREJ (*leżąc*).

Padamy do nóg!

TRĄBA (*dyga*).

Sługa uniżona,
W czém mogę służyć, dostojni panowie?

KWASOROD (*wstając*).

Madame!

NIEDOKWAS (*wstając*).

Przyjmij w korném słowie
Nasz hołd —

NIEDOKWASEK.

Cześć naszą. —

KOPERWAS (*wstając*).

Aj! aj! moje kości.

KWASOROD.

Cudny utworze wichrów i nicości....
Przez mgły tumanów iskrzą śliczne oczy....

NIEDOKWAS.

Wielbiłem dotąd wdzięk *Cyny* uroczy,
Lecz na twój widok stanąłem olśniony,

NIEDOKWASEK.

Racz śliczna trąbo uchylić zasłony....

TRĄBA.

Arya.

Kto moje wdzięki
Ujrzy choć raz,
W piekła paszczęki
Po uszy wlazł,—
Zginie z méj ręki,
Z potomstwem wraz—
Wstrzymajcie jęki,
Ach! jeszcze czas! (*chce odejść*).

KWASOROD.

Stroisz z nas sobie żart oczywisty.

NIEDOKWAS.

Uchyl, ach! uchyl zasłony mglistéj!

NIEDOKWASEK.

Niech raczéj ginę, a ujrzę liczko!

KWASOROD.

Wysłuchaj prośby, śliczna Trąbiczko!

KOPERWAS.

O czarownica!

KWASOROD—NIEDOKWAS—NIEDOKWASEK.

Ta zwłoka zabija.

TRĄBA (*wzdychając tak silnie, że wielki żerandol nad parterem gaśnie*).

Pereat Mundus!... fiat justycyja!

(*Dziesięć piorunów uderza — Obrazy przodków Kwasoroda spadają ze ściany. Koperwas wywraca kozła, inni trzymają się na nogach jako tako — Tumany otaczające Trąbę pierzchają, ukazuje się przecudna nimfa*).

Trzéj Adoratorowie:

O słońce wdzięków! któż jesteś, Ondyno?

(*Melodrama*).

TRĄBA.

Nimfa Chaosu, zowie się Termino—
Logia, mém dziełem Chaos nieskończony,
Kto mnie raz ujrzy — nieuk czy uczony,
Takiéj umysłu wraz doznaje spieki,
Że po bezdrożach tuła się na wieki,
Jako żyd wieczny....

(*Błyskawica żyd wieczny przechodzi scenę, groby się otwierają*).

W nazwisk labiryncie
Rozkocha, jako Sofronja w Olincie.

KWASOROD.

Niechaj się tułam od morza do morza,
By mi świeciły twe oczy w bezdroża!
Jakoby Pharos!

NIEDOKWAS.

Bądź mi Erdystone!

NIEDOKWASEK.

Bierz nas!

Terminologja (*na nutę przekleństwa Normy*).

Stało się! życzenia spełnione,
Ciebie mój stary i tych dwóch młodzieńców,
Biorę, jakoby moich oblubieńców.
Wszystkich trzech razem wirem mym opaszę,
Zrodzą się z tego liczne syny nasze,
Co szydząc zamku waszego ruinom,
Wszystkich trzech nazwy rzucą na łup drwinom.

(*Obejmuje wszystkich trzech tumanem*).

Wszyscy trzéj (*wrzeszczą z bólu*).

Biada!

(*Nagle pękają chmury i zalewają scenę; Olbrzymia ręka na czarnych obłokach pisze ognistemi głoskami wyraz:* »**Tlen.**« *Kwasoród chwyta się za serce—Niedokwas za głowę, a Niedokwasek za aortę—Koperwas patrzy w górę, gapiąc się za ulatującą Nimfą*).

KWASOROD (*z boleścią*).

Gdzie ona?

KOPERWAS (*machając ręką*).

Wziął djabeł co swoje!

NIEDOKWASEK (*wyrywając sobie włosy*).

Konam z rozpaczy!

NIEDOKWAS.

Mdło mi!

KWASOROD.

Ledwie stoję!

NIEDOKWASEK (*siwiejąc*).

Ach! jak mi zimno.

NIEDOKWAS (*siwiejąc*).

O, my nieszczęśliwi!

KWASOROD.

Ha! co ja widzę!? obadwaście siwi!!
Obydwom zmarszczki szerzą się po twarzy.

NIEDOKWAS i NIEDOKWASEK (*chwytają się za włosy*).

Co mówisz, ojcze?

KWASOROD.

Tak, jesteście starzy!

(*z radością przeglądając się w szczoteczce od zębów*).

Ja mam włos czarny — dziarską tęgą minę —

(*uderzając się w czub*).

Jakżem był mądry, żem zgolił czuprynę!

NIEDOKWAS i NIEDOKWASEK.

Przeklinam wiecznie tę straszną godzinę!

Nowe trzęsienie ziemi połączone z hukiem podziemnym— wszyscy czteréj zapadają się.

KOPERWAS (*lecąc*).

Aj! (*zapada się*)

KWASOROD (*lecąc*).

Gwałtu! rety!

NIEDOKWAS (*posyłając światu ostatnie pocałunki*).

A revoir.

NIEDOKWASEK (*zapadając się*).

Ginę!!

Koniec prologu.

AKT I.

(*dotąd nieukończony*).

AKT II.

(*musi uledz licznym zmianom, zanim będzie wydrukowany*).

AKT III i IV.

(*Nie są wcale zajmujące, więc też ich nie napisano, nie chcąc zbytecznem przeciąganiem nudzić szanownéj publiczności, a zresztą, zostawiają się fantazji i imaginacji łaskawych czytelników — Niechże je każdy wedle fantazji a gustu sporządzi dla siebie, a zresztą, jest to i bezpieczniéj, bo ich żaden Zoïlus nie będzie exenterował*).

(*Gdy więc tych czterech aktów niéma, a zatém :*)

AKT V.

OSOBY:

TERMINOLOGJA, Nimfa Chaosu.

TLEN, KWASOR, ŻYWIEŃ — synowie jéj i Kwasoroda.

TLENEK, OKWAS — synowie jéj i Niedokwasu.

TLENNIK, OKIS — synowie jéj i Niedokwasku.

TYT, LIT — dwaj rycerze błędni.

Trzech nieznajomych.

KOPERWAS stary sługa zamku.

(*Rzecz jak w Prologu, w tym samym zamku*).

(*Teatr przedstawia dekorację Prologu — Zamek zrestaurowany, okna polepione papierem — główna baszta podparta tyczką od grochu, część sklepienia ściągnięta mocnym aptekarskim szpagatem — Drugiéj części sklepienia nie masz wcale, ale za to widać słońce, księżyc, gwiazdy, tęcze i zorzę północną, oraz fata morgana, meteory i t. p. piękności astronomiczne i metereologiczne*).

KOPERWAS (*na szczudłach z podrutowaną głową przygrywa na harmonice chemicznéj, zrobionéj z rurek probierczych (cylinderków reagensowych) i śpiewa tęskną dumę*).

Pieśń.

O szczęsna przeszłości!
Miałem całe kości,
Djabeł przyniósł gości.
Zamek zmienił w gruz.

A Koperwasisko,
To puste zamczysko,
Zamienił w siedlisko.
Orfeja i muz.

Nóci pieśń nadziei,
Stary zamek klei
Papierem, a w kniei
Zbiera mnóstwo tyk.

Podpiera wieżyce,
Sklepienia, piwnice,

Bo zamku dziedzice,
Przybędą tu w mig.

(*słychać trąbkę pocztową*).

SCENA II.

KOPERWAS — *później kolejno* TLEN — KWASOR — ŻYWIEŃ.

TLEN (*we fraku i żółtych rękawiczkach*).

Czy ten zamek Kwasorodów gniazdo?

KOPERWAS (*kłaniając się do ziemi*).

Jasny Panie! tutaj, nie inaczéj!

KWASOR (*wpadając na angielskim rumaku*).

Pod szczęśliwą zrodziłem się gwiazdą,
Bo już żywot zakończam tułaczy!
Ta wędrówka już mi się sprzykrzyła!

ŻYWIEŃ (*piechotą, w kurpiach z koszturem, nieśmiało wsuwając się przezedrzwi.*)

Czy tu ów gród, kędy niegdyś żyła
Kwasorodów potężna rodzina?

KOPERWAS (*kłaniając się*).

Tak, panowie.

Wszyscy (*trzéj siadają*).

Chwałaż tobie, panie!

TLEN.

Słuchaj, jak ci na imie bałwanie? —

KOPERWAS.

Koperwas.

TLEN (*plując z obrzydzenia*).

Tfu! — jestem twoi panem,
Zmieniam imię i zwę cię *siarczanem*.
A że zamek, żelaznego miano
Nosi — nazwę więc *Siarczan żelaza*.

ŻYWIEŃ (*cicho do Koperwasa*).

Mój braciszku, dziwnie cię przezwano,
Nie przystawaj — to dla cię obraża —
Jużby lepiéj *Żelazo siarkanne*.

KWASOR.

Patrzcie, patrzcie, przez chmurki poranne,
Co tu spada?

ŻYWIEŃ.

To coś nakształt cudu!
Jacyś ludzie!

TLEN (*patrząc w górę*).

Któż tam?

SCENA III.

Dawni, OKIS — OKWAS; *potém* TLEN i TLENNIK.

(*Nagle z spadochronem szybko obracając się, spadają Okis i Okwas*).

OKIS.

Hau du ju du?

OKWAS.

Ach! patrzajcież — bodaj mnie zdeptali
Kaczki — wszakżeż nasz zamek się wali!

TLEN i TLENNIK (*wpadając lokomotywą z gwizdem na scenę*).

TLEN (*ciekawie*).

Kto tam znowu? —

TLENNIK.

Późnośmy przybyli!

TLEN (*podając im rękę z uśmiechem*).

Bon jour! Bon jour! kuzynkowie mili!

TLENNIK (*do Tlena, wskazując po innych*).

Wujaszeczku — co to za hołota?

TLEN (*cicho do niego*).

Jakiś podstęp — jakaś nawet psota,
Ale wszystkich poślemy do czarta.

(*głośno*)

Ha! zobaczymy — co ten zamek warta,
Który spuścizną spadł nam dziś w podziale.
Chciał go Kwasoród zbudować wspaniale!
To więc owa jest *Żelazna Rura*,
Kędy nasza powstała rodzina?
Głupie głowy! — gdzież architektura,
Gdzież styl jaki? — ruina! — ruina!

ŻYWIEŃ i KWASOR.

Nam ten zamek — przypada w połowie.

TLEN (*zdziwiony*).

Wam? a wyż kto?

KWASOR.

Myśmy potomkowie
Kwasoroda i Terminologji.

OKWAS.

My toż samo tejż genealogji.

OKIS.

I jam ich syn.

TLENEK.

I ja!

TLENNIK.

I ja!!

ŻYWIEŃ.

I ja!!!

TLEN (*cicho do siebie*).

Nie wytrzymam — wezmę się do kija,
Lecz możeby — było to zawcześnie.

(*głośno niby przypominając*).

Tak! tak! prawda — coś jakoby we śnie,
Przypominam — dajcież ręce!

(*podając im ręce i mówi na stronie*).

Gbury!

(*głośno*).

Niech weselném pieniem zabrzmią mury!

FINAŁ (*)

CHÓR PRZYBYSZÓW.

O! szczęśliwa godzina!
Wszak to cała rodzina:
Tlen — Tleny — i Tleniki,
Kwasor — Żywień — Okwasiki!
Wszystko to jednego rodu,
Jeden drugiemu podobny,
Wszystko dzieci Kwasorodu,
I chaosu Nimfy zdobnéj.

TLEN.

Już umarł Kwasorod stary.

TLENNIK.

Z Niedokwaskiem.

TLENEK.

Z Niedokwasem.

ŻYWIEŃ.

My ich zamek...

OKIS.

I talary....

TLEN, TLENEK, TLENNIK.

Łap tymczasem!!

KISOR, OKIS — OKWAS,

Łap tymczasem!!!

WSZYSCY.

Wiwat! Wiwat!

(*) Przepraszamy za umieszczenie finału w tragedyi, ale pierwszy dramaturg świata, mądry Shakespeare powiedział: *there are things under the haeven, which our philosophers have never dreamt of*; „są rzeczy o których się filozofom naszym nie śniło“.

ŻYWIEŃ.

Ależ cyt!
Ktoś nadchodzi!

KOPERWAS (*meldując*).

Tyt i Lit,
Dwaj rycerze z obcéj strony,
Proszą o przytułek tu,
Każdy drogą utrudzony,
Bo biegł tutaj co ma tchu.

SCENA II.

DAWNI — TYT i LIT (*w zbrojach z zapuszczoną przyłbicą*).

TLEN (*występując*).

Ten gród mnie za pana bierze,
A więc panowie rycerze,
Mówcie czego który chce.

TYT (*przykładając rękę prawą do hełmu*).

Błędny rycerz Tyt się zwie.

LIT (*podobnież*).

Jam brat jego, zwę się Lit,
W dziale waszym łup mieć chcę.

TLENEK (*do Tlenka cicho*).

O zuchwalec!

TLENNIK (*podobnież*).

Będzie bit.

TLEN.

A włóczęgi! dam ja wam!
Wynoście się zaraz precz!

LIT.

Ja rycerskie prawa znam,

(*ciska mu rękawicę*)

Niech rozstrzygnie zatém miecz!

TLEN (*do siebie*).

Awanturnicy, wnet tę dumę skurczę....

(*szepcze cicho do Tlenka i Tlennika, którzy rzucają się znienacka na przybyłych rycerzy i wydzierają im miecze*).

TYT i LIT.

Zdrada!

TLEN.

Ha! łotry, ha! plemie jaszczurcze!
Precz stąd zuchwalcy, wyrzutki natury!

(*do Tlenka i Tlennika*).

Wraz ich wypędzić po za zamku mury.

TYT (*cicho do Lita*).

Musimy uledz, lecz przy sposobności
Damyż im bobu!

TLEN.

Prędzéj za drzwi gości!

TLEN.

Poszli do czarta! — Niech ustaną gniewy,
Niech luba zgoda wszędzie się rozszerzy,
Niecz brzmią ochocze Berzeljusza śpiewy!

(*skrycie wskazując na Kwasoroda i Żywienia*)

Wnet was wyrzucę jak owych rycerzy!

CAŁY CHÓR *prócz Okwasa*.

Niechaj każdy coś obliźnie
Na Kwasoroda spuściznie. —
Przepadły po wszystkie czasy,
Niedokwaski, Niedokwasy,
Drwijmy sobie z ich pamięci,
Niech gruzy porosną lasem!

TLEN (*wskazując Koperwasa*).

Czegóż ten stary się kręci?

WSZYSCY.

Za drzwi! za drzwi! z Koperwasem, *(bijąc go)*.

KOPERWAS *(z krzykiem)*.

Gwałtu! ratujcie!

MELODRAMA.

(Muzyka z Roberta Djabła w czasie zaklinania duchów:— Ogień podziemny wybucha, czuć woń smoły i siarki pomięszane z wonią bursztynu i adipociru).

SCENA III.

DAWNI i TRZECH NIEZNAJOMYCH *(wysuwają się z pod ziemi)*.

1. NIEZNAJOMY.

Niegodni, stójcie!

TLEN.

A to znów co za stworzenie?

(zamierzając się).

Precz ztąd! bo cię wraz otlenię!

CHÓR PRZYBYSZÓW.

Ktoś ty? co za prawo masz?

1. NIEZNAJOMY *(odsłaniając się)*.

Jam Kwasoród! — Jam pan wasz!!

TLEN *(zdziwiony)*.

Resurrexit?!

KWASOROD *(z szyderstwem)*.

Oui, monsieur!

TLENEK *(cicho do Tlenu)*.

Czy tylko nie będzie źle?

TLEN.

Jam tu panem — tyś już trup!
Moim zamek! — moim łup!

(dobywa szpady)

A więc za drzwi!

CHÓR PRZYBYSZÓW.

Za drzwi! precz!

KWASOROD *(wywijając ogromnym chełmem od alembiku)*.

Górą Kwasorodów miecz!...

NIEDOKWAS *(odsłaniając się)*.

Górą! Górą! *(ciska na Okwas ogromny czerep tygla)*.

NIEDOKWASEK.

Gdy się biją
Jam nie zając! *(uderza Żywienia kawałkiem własnego piszczela)*
Naści, żmijo!

(przecina go na pól, obie połowy wrzeszczą).

Gwałtu! ratujcie!

KWASOROD.

Bijcie i kujcie!

SCENA VI.

DAWNI TYT i LIT.

Zwycięztwo przechyla się na stronę Przybyzsów, wtém Tyt i Lit wyskakują z za muru i uderzają na nich z tyłu.

TYT.

Otóż dogodna pora,
Bierz na siebie Kwasora;
Górą Lit!

LIT.

Górą Tyt!

OBA RAZEM.

Kto przeciw nam, będzie bit!

Straszliwa i zajadła walka — zamieszanie bez pamięci — lecą głowy, tułowy i t. p. rzeczy. — Krew potokami zalewa orkiestrę. — Muzykanci chronią się na baryery. — Damy w lożach płaczą — światła gasną — robi się chaos i ciemność — tylko słychać krzyki walczących — zaćmienie słońca, księżyca i gwiazd. W tém słychać wśród zgiełku śpiew słowika. — Terminologja ukazuje się w słupie ognistym, wybuchającym ze szczytów Sommej!

TERMINOLOGJA.

To moje dzieło — bije się rodzina!
Dosyć! niech luby pokój się zaczyna!

(*Daje znak — na scenę wypływa ogromny wieloryb i zalewa ich swoim wodotryskiem*).

WSZYSCY (*drżąc z zimna rzucają broń*).

Brr!...

TERMINOLOGJA.

Jednéj żony i matki,
Wy mężowie i dziatki,
Dla czegóż się bijecie mieczami?
Ja was zaraz pogodzę,
Pokaleczonych srodze,
Dzieląc zamkiem i jego włościami,
A więc każdy niech bierze,
To co daję mu szczerze!

(*do Tlena i Tlenków*)

Wy sam gród!

(*do stronników Kwasoroda*).

Wy wały i fosy!
A kto hardą ma duszę,
Tego tułać się zmuszę
W labiryncie i kląć na złe losy.

WSZYSCY (*ściskają się z ukrytą nienawiścią*)

Wiwat Nimfa Chaosu! — co po wszystkie wieki
Przewyższyła wszech mędrców trafnemi wyroki.

KWASOROD (*dając dziesiątkę Koperwasowi*).

A ty po opodeldok ruszaj do apteki!
Z radości wszyscy sobie wysmarujem boki!

Koniec Atu 5go.

EPILOG

APOTEOZA.

OSOBY.

Żadnych niema.

(*Rzecz dzieje się wszędzie i nigdzie*).

Za odsłonięciem kurtyny widać wieżę babilońską; u spodu nagrobki wszystkich osób z poprzednich aktów.

CHÓR GROBOWCÓW.

Tu spoczywają Kwasoród i Tlen,
Długie niezgody skończył wieczny sen!
Zgoda wieńczy ich grobowce,
Płaczcie nad niemi, wędrowce,
I wy chemicy wszyscy,
I wysocy i nizcy. —
Już oba nie żyją,
Bo na anemiją
Pomarli młodo,
Ze świata szkodą.
Zacny ród:
Kwasoród
I Tlen
Wpadł w sen!!

WIEŻA BABILOŃSKA (*ogromnym głosem*).

In aeterno risibundi;
Sic transit gloria mundi!

KONIEC.

PROWINCJONALISTA i MIESZCZUCH.



P. Za pozwoleniem Acana Dobr:, gdzie tu jest bawarja?

M. Zapytaj się Pan raczéj, gdzie jéj tu nie ma?

P. A! dziękuję pięknie!!

M. O! nie ma za co!!!

PANNY
CHOWANE I WYCHOWANE,
KSZTAŁCONE I WYKSZTAŁCONE.

W oddalonéj przeszłości zginęło pierwsze moje westchnienie poświęcone kobiecie, bo pamiętam, że jeszcze byłem w klasssie szóstéj, gdym marzył o błękitnych oczkach bohdanki; do chwili otrzymania patentu kochałem się we wszystkich pannach, nad któremi czuwało oko matki lub guwernantki, a prześladowania ojców i zazdrość rywali po siedmkroć wpakowały mnie do kozy.

Gdybym wam chciał opowiedzieć kilka, lub kilkanaście scen z życia mojego, starzy uśmiechnęliby się z litością, młodzi powiedzieliby: i my to umiemy, matki nabrałyby gorszego jeszcze wyobrażenia o wielbicielach ich córek, a panny chciałyby mścić się za zawiedzione przez nas nadzieje ich rówienniczek i więcéj jeszcze przybyłoby ofiar płci męzkiéj.

Zamiast tego, dam wam malutki poglądzik na rozmaite rodzaje panien; nie obawiajcie się jednak powagi zbytecznéj, lub suchych rozumowań, boć przecież nie samą gorycz piłem w życiu.... czasem, jak pszczoła miód z kwiatka, ja z rączek kształtnych ssałem całusy, i czułem w sercu oblask tego spojrzenia, po którém zapominamy o życiu i o świecie, a przeszłość i przyszłość ustępuje przed myślą.... o jednéj wybranéj.

I.

W jednéj chwili, chociaż w czterech miejscach rozmaitych, przyszło na świat czworo maleńkich istot.

W skromnym domku, ekonom Szaraczkiewicz złożył na czole swojéj żony całus serdeczny i rzekł: »dzięki Najświętszéj Pannie! jestem ojcem — i mam dziewczynę jak cztery hajdamaki! — szkaradna baba Joachimowa straszyła mnie przez dwa dni całe — i mówiła, żeby ci dać wódki, z wapnem uskrobaném z rogu pieca.« —

W wiosce sąsiedniéj, w mieszkaniu dzierżawcy pana Jarkowskiego, słychać było wołanie nieustające wrzaskliwéj kobiéty: »gdzie jedwab'? gdzieście jedwab' podzieli?«... a potém wszystko ucichło i pan Jarkowski siedząc przy samowarze w swoim pokoju, mówił do Jankla pachciarza, który przyszedł powinszować mu córki: »z tego zmartwienia jestem głodny — jak gdybym od roku nic w ustach nie miał.... powiedz mi, co słychać w mieście i siądź na ławce pod piecem; wypijesz szklankę herbaty, stary szachraju; tobie dzisiaj uroczystość!«

W mieście gubernialném, pan Opasiński, rewizor gorzelni i posiadacz dwóch kamienic, przechadzał się z miną tryumfującą po sali, paląc cygaro, a uśmiechając się z zadowoleniem stanął przed zwierciadłem i poprawiając włosów rozpierzchłych na łysinie rzekł: »jest córka, będzie i syn!«

W Warszawie, w gabinecie zasłanym perskim kobiercem, leżał na sofie pan Pychałkiewicz, nie hrabia, ale posiadacz mitry na bilecie wizytowym, człowiek z ładnym wąsem, zgrabną figurą, pustą głową, ożeniony ze starą panną, ale milionerką, tego samego dnia, w którym wypadało mu zapłacić długi lub iść do kozy. — Z uścisków wierzycieli popadł w objęcia długo oczekującéj przyjemności małżeńskich i w téj chwili, ciotka jego żony weszła do gabinetu w którym spoczywał, mówiąc: »młoda hrabianka ujrzała światło dzienne!«...

»Monsieur N.... m'a invité à diner; je pense que j'y trouverai une nombreuse compagnie« rzekł pan Pychałkiewicz: »ale wieczorem, jak tylko przyzwoitość dozwoli, opuszczę towarzystwo i powinszuję pani hrabinie.... niechaj mała nie skrzeczy, bo to fałszywa melodja, któréj znosić nie mogę!«

II.

W tydzień po wypadkach wyżéj przytoczonych, Szaraczkiewiczowie uradzili, że córce ich będzie na imie Kasia, bo takie sobie przyniosła, t. j. urodziła się w dzień Śtéj Katarzyny; Jarkowscy, aby dziecko ich nie nazywało się jak chłopka, chcąc jednak zwyczaj zachować, dali swojéj córeczce dwa imiona: Henryeta Katarzyna, z warunkiem, że to drugie w metryce istnieć tylko będzie; — Pan Opasiński, na wzór Gubernatora, wybrał dla córki imię Laura, a Pychałkiewicz, pamiętając o swoich afektach głębokich dla pięknéj debiutantki teatru Paryzkiego, rzekł do żony: »albo jéj będzie na imię Nina, albo niechcę mieć córki.« —

W trzy dni potém, w Niedzielę, Szaraczkiewiczowie wróciwszy do siebie z kościoła, w którym ochrzcili córkę, mieli massę gości, złożoną z oficjalistów sąsiednich. —

Pani ekonomowa, nakarmiwszy dziecię, ułożyła je w kołysce, a sama w ryneczce żelaznéj, ustawionéj na węglach kominka, w pokoju, w którym siedzieli wszyscy, przesmażała żółty miód lipcowy z okowitą i korzeniami na krupnik dla gości, i dysponowała dziewczynie zrazy z kaszą jęczmienną na kolację; gdy mąż jéj częstując fajkami przyjaciół i całując w rękę wszystkie panie po kolei, wołał na całe gardło: »to pendractwo takie małe jak zając, słabe jak kurczę, ale jak mi Bóg miły! tak zna już ojca i dalibóg, takbym tego psiarstwa nie oddał za sto tysięcy!»

We dwa tygodnie potém odbywały się chrzciny córki państwa Jarkowskich; obywatelskich bryk, bryczek i powozów massa stała na dziedzińcu, a na klepisko do stodoły wtaczano powóz, w którym malutką przywieziono z kościoła; powóz antyk, jak zegarek professora szkółki elementarnéj, na którym skóry popękały już po 15stéj restauracyi, lakier potrzaskał, mosiędzy już nie było, tylko w jedném miejscu, ale który zawsze wzbudzał podziw w dzieciach Jankla, a przestrach w koniach chudych, gdy je do niego prowadzono. Trzeba jednak było wielbić koncept majstra, bo samą kolebkę tak wysoko w powietrzu zawiesił na resorach, że człowiek tylko po 10 schodkach mógł się dostać do środka, a w przypadku, gdyby furman wjechał nim nawet w Wisłę, jeszcze woda nie dostałaby się do środka kolebki i nóg jadących. —

W kuchni rozlegał się głos kucharki, w sieni słychać było swąd z tłustości smażonéj, w pokoju damy piły »Lunel« i jadły obwarzaneczki z migdałami domowéj fabryki, a pan Jarkowski dolewał wina sąsiadom i mówił: »ta moja Kaś...., chciałem powiedzieć Henrysia (dobrze że żona nie słyszała, bo to arystokratka, ma brata dziekanem, a siostrę za radcą gubernialnym), to będzie filut dziewczyna, nie dała się chrzcić proboszczowi, aż jéj pozwolił bawić się łańcuchem, a jak maluje!....«

We dwa miesiące potém, w mieszkaniu państwa Opasińskich kręciło się czterech najętych lokai i piąty miejscowy; w bawialnym pokoju zapalono żerandol, w bocznych przygotowano stoliki do kart i cała arystokracja gubernialna bawiła się do godziny 11éj w gry towarzyskie, jak np. szarpanie cudzéj sławy, lub w djabełka. —

W pół roku przed domem państwa Pychałkowskich w Warszawie zaturkotało kilka karet, a z jednéj wyniesiono malutką Ninę w koronkowéj sukieneczce, w jedwabnych powijakach, spoczywającą na atłasowéj poduszeczce, a pan Pychałkiewicz po złożoném powinszowaniu żonie swojéj, dostał od niéj złotych 30,000!! —

III.

Opowiadając z kolei wszystkie wypadki, wypadałoby mi powiedzieć: że Kasia w czwartym roku życia swo-

jego, była sobie szczebiotliwym moruskiem, umiejącym zmówić pacierz cały, biegała z matką w pole, kręciła się w kuchni pomiędzy czeladzią, dostawała od ojca czasem pierniczek przywieziony z miasta, a czasem klapsa, gdy była zbyt rozmowną w czasie obrachunku z ludźmi powracającymi z pańszczyzny; że Henryczka w tym wieku bawiła się lalkami, ale zarazem umiała już przeżegnać się i znała cztery litery z alfabetu; że Laurę strojono w szkockie majteczki i nauczono się kłaniać, a Nina wyjeżdżała osobną karetą z boną francuzką na spacer — ale byłoby to za długo, jak na jeden pobieżny artykulik. —

Pominę więc nawet ową ważną chwilę w życiu Kasi, gdy ją oddano na naukę do małego miasteczka, staréj jak świat, ale poczciwéj pannie, od któréj wróciła do domu w szesnastym roku życia, umiejąc czytać, pisać, rachować, odejmować, mnożyć, dzielić, szyć sukienki, robić czepki garnirowane tiulem, wystrojone czerwoną wstążką lub pąsowemi kwiatami, a nawet smażyć grzybka i robić omlet na małą skalę, lub leguminę z ziemniaczków.

Nie będę wam opowiadał o owéj ważnéj chwili, gdy państwo Jarkowscy, zmuszeni oddać Henryczkę na pensją do Madam gorącemi zalewali się łzami, a następnie, chcąc uspokoić jedynaczkę, przyrzekli jéj, że zachowają najczulszą pamięć o jéj kotku mruczysiu, baranku z dzwonkiem, cielątku srokatém, że lalki codzień będą chodzić na wizytę do siebie, a ona co tydzień dostanie z domu przesełkę, składającą się z obwarzaneczków i śmietanki.—Pominę i to, że Henryczka, zawarłszy przyjaźń z koleżankami starszemi, przy pomocy słodkich przesyłek odbieranych z domu, powróciwszy ze świąt Wielkanocnych, opowiadała im o swojém gospodarstwie, a panna Emma pochwaliła się przed nią, że nosiła w domu długą sukienkę, zamiast ciemnego mundurka, panna Klotylda z 3ciéj klassy, że jéj było bardzo przyjemnie, gdy ją syn sąsiada jéj rodziców w rączkę pocałował i powiedział: »o! panno Klotyldo....« ale nie skończył, bo weszła mama; dam pokój opisowi nawet, jaką Henryczka uczuła radość, gdy po skończeniu pensji włożyła pierwszą krynolinę i przedefilowała w niéj przez całe miasto.

I o tém mówić nie będę, że panna Laura, kształcąc się przez lat sześć w domu przy guwernantce, nauczywszy się mówić po francuzku jako tako, brząkać z całéj siły na fortepianie, tańcząc dwa razy w resursie na kinderbalu, oddaną została na dokończenie edukacyi do Warszawy, gdzie przez dwa lata uczęszczała jeszcze na pensję, stając u ciotki na stancji, a po powrocie do domu przywiozła z sobą: gorset paryzki, 5 krynolin, szeniony, podkładki do włosów, dziełko Alphonsa Karr, pod tytułem: *Ce qu'il y a dans une bouteille d'encre*, dwa listy romansowe, odebrane w przechodzie z domu na pensją, kilka tuzinów grymasów, pochwałę z chwalebnie ukończonéj edukacji i wieczne westchnienie, które otwierając jéj usta bez przerwy, kazało się domyślać, że dla ciągłego kataru, lub innéj ważnéj przyczyny, oddychać przez nos nie może!...

Nie rozpocznę nawet opisu, jak panna Nina, wycackana i wychuchana codzień, dokuczała bonom, guwernantkom, nauczycielom i metrom, którzy brali ładne pieniądze za znoszenie jéj grymasów; jak potém, gdy dochodziła lat piętnastu, rodzice powróciwszy z nią z Paryża, gdzie kończyła edukację, nie wychodzili z nią nigdy prawie, z obawy, aby przez pokazywanie jéj w teatrze, na koncercie, na ulicy, lub nawt w kościele, dystyngowana publiczność, zwracając swoje lornetki na miljonową dziewicę, nie okrzyczała jéj za starą pannę; jak panna Nina gorąco chwytała wszystkie książki, pełne ambrozji płynącéj z czarnych oczu swobodnych amantów, a wyglądając z za firanki na ulicę, po silném unoszeniu się staniczka, czuła że serce jéj budzi się, a imaginacja mówi mu: *bon jour!* jak matka jéj, widząc te wszystkie przymioty, których nie znaleźliśmy dotąd, prawiła mężowi: nasza Nina jest wykształconą *comme une princesse*, ale tu w Polsce nie znajdziemy dla niéj męża... chybaby w Paryżu... ona umie czuć jak ja czułam, a to dosyć, aby wiecznie cierpiéć pośród naszego barbaryzmu. —

O tém wszystkiém ja wam nie mówię, szanowni czytelnicy.... o czém więc powiem w tém rozdziale?... Dla waszéj korzyści.... zakończę go kropką.

IV.

Gdy Kasia kończyła rok 17sty, ojciec jéj zawiózł ją wraz z matką do miasteczka powiatowego, aby obejrzała się przecie pomiędzy ludźmi; wystroiły się kobietki jak na odpust, a i pan Szaraczkiewicz co prawda nie został w tyle, bo miał na sobie granatową czamarę z barankami siwemi i czapkę nawet rogatą z baranem, niby jaki karmazyn z urzędu, a wieczorem poszły na komedje do teatru, bo przyjechali tacy aktorzy, co nawet pokazywali sztuki w Łęczny, w Łowiczu i w Jędrzejowie.

Napatrzyły się kobieciny co niemiara, i nasłuchały się różnych piosnek, bo grali artyści: Bankructwo Partacza i krotochwilę: Nad Wisłą, a między aktami pokazywali rozmaite osobliwości i dziwy, do których należały dwie głowy Alexandra Wielkiego, jedna jak był dzieckiem, a druga, którą miał w wieku dojrzałym, gdy umarł w Suzie, czyli w Sosie, jak tłómaczył pan Dyrektor od aktorów.

Tak się to dziwnie tego dnia wszystko plotło, że był na hecach i pan Groszkiewicz, gorzelany od Hrabiego z synem; udała mu się dziewczyna Szaraczkiewicza, więc nazajutrz od słowa do słowa, jak się zaczęli zmawiać starzy, jak wypili z sobą herbaty z arakiem, a potém i piwa bawarskiego i porteru, i zjedli w zajeździe dwie przysmażane kiełbasy, a potém jeszcze zaczęli mówić ogólnikami: że widzi Bóg z Nieba, co komu trzeba, — człowiek nie zwierzę, towarzyszkę bierze — więc przyszło do tego, żeby młodego Groszkiewicza oświadczyć Kasi, a chociaż trudno powiedziéć komu: jédz głupi, bo to z makiem! to jednak sama dziewczyna może go nie odrzuci.

I nie wahała się Kasia, przystała na wybór rodziców, a chociaż dziewczyna swojego chowu, pamiętała zawsze, że bez Boga nie przejdzie proga i żyje do-

tychczas z mężem najszczęśliwsza, pobrali się we dwoje, a dzisiaj jest ich więcéj i dostawszy po trosze grosza na zapomogę od rodziców, z dzierżawy folwarku przyszli do własności, żyją jak u Pana Boga za piecem i kpią sobie nawet ze **Szpargałów humorystycznych** i krytyki, bo mają bociana własnego, co im co rok klekcze na dachu i zwiastuje wiosnę.

V.

Jednę pannę wydałem już za mąż — z drugą może będzie trudniéj, zrobię więc tak, jak jéj rodzice i rozgłoszę w sekrecie, że ma duży posag.

Albo nie!... dajmy pokój!.... trzeba żyć prawdą, gdzie komponować trudno.

Panna Henryczka, jako jedynaczka nieszpetna i pieszczona, wróciwszy do domu, przewróciła cały dom do góry nogami. Rosół z makaronem zdawał się jéj czemś straszném; mléko lub śmietana — to przysmak chłopski (nauka guwernantki młodszéj) — do kościoła jeździć nie mogła, bo z początku nie było nowego powozu, a potém panny dziedziczki zajmowały miejsca w stalach przed wielkim ołtarzem, a ona na kościele siedziéć nie chciała. — W domu więc tylko przyjmowała wizyty, lub z kwaśną minką wyjeżdżała do sąsiadów, żywiąc w sobie nadzieję, że jéj się trafi jaki chociażby hrabia!... i trafić by się trafił, ale.... ale.... mieszkali w zaklętéj okolicy! —

Pomiędzy książkami, które Henryczka przywiozła ze sobą z pensji, znajdowała się jedna, nosząca tytuł: Moje drobne poezje, która jednak daleko mogłaby miéć właściwsze nazwisko t. j.: Rymy zdawkowe lub błahe.— Na téj książce często spoczywało habrowe oko panny i westchnienie przy czytaniu rozdzierało jéj piersi.

Ciekawy pan Jarkowski, co téż tam córka czyta w niéj a czyta, wziął ją raz do ręki i dowiedział się o wypadku: że raz panna uboga poszła na spacer na orzechy, a z za krzaków wyjechał jakiś rycerz i porwał ją, w rok zaś wydało się, że to był królewicz angielski i ona....—ha!—pomyślał sobie ojciec: — może moja córka będzie królewiczówną?.... gdyby tylko inną jaką, bo to angielski, to tak jakoś jak angielskie ziele.

Gdy już prawie widział swoją córkę na tronie, rozległ się turkot na dziedzińcu i sąsiad jego, młody chłopak, płacący 4,000 złotych tylko z dzierżawy, przyjechał bryczką (o zgrozo!) oświadczyć się o jego Henryczkę.

Rozumie się, że mu odmówiono jak najniegrzeczniéj, a pani Jarkowska, wymówiszy mężowi swojému, że ubliżył taki głupiec ich jedynaczce swojém oświadczeniem, dlatego że nie prowadzą odpowiedniego domu, przymusiła go do większéj wystawności

Gdy rok 15 upłynął od tego czasu, panna Henryczka była jeszcze panną i nie miała męża, nazwano ją grymaśnicą, żabą chcącą wyrównać wołowi i tym podobne rozpuszczono plotki; jéj rodzice dosyć zamożni zrujnowawszy się, wydali ją nakoniec w chwili największych upałów sercowych, bo już ostatnich, to jest w 38 roku życia, za mąż za.... strażnika leśnego.

Biedne człowieczysko! w jego uszach rozlegał się codzień głos wszystkich zawiedzionych nadziei jego małżonki.... ale.... ale, on uciekał wtedy do lasu z fuzją na plecach, z początku mówiąc do siebie: — jakiś ty głupi, panie Wojciechu, żeś się ożenił ze starą panną! — Ale przed wieczorem wracał mu dobry humor i idąc do domu rozmyślał: — wprawdzie moja żona klnie jak huzar, ale za to kobiéta dobrze wychowana! i żył z nią aż do śmierci, siedząc przez dzień cały w lesie, lub chodząc po polowaniu.

VI.

Z panną Laurą działo się inaczéj. Zaraz po powrocie do domu zaczęła się nudzić niezmiernie, i gdy jéj matka myślała sobie w duchu: — moja córka będzie brylować w resursie, pójdzie za takiego, który jeździ karetą i t. d. — pannie Laurze wszystko nie smakowało: chciało jéj się raz kotka, a gdy ojciec kotka przyniósł, zachciało się pieska; gdy był piesek, stawała w zamyśleniu przy otwartém oknie, aby przecie kogo zobaczyć i smutek rozerwać; aż pewnego pięknego poranku, matka przejąwszy liścik pisany przez nią do jakiegoś jegomości, który wielki talent w nogach posiadał, rzekła do męża:

— Wiesz, czego chce się Lorci?

— Czego?—zapytał pokorniutki papa.

— Męża!—rzekła stanowczo rewizorowa.

— Męża!!—powtórzył małżonek zdziwiony. — Co jéj po mężu?... a!... teraz rozumiem, a mówiła: kotka, pieska... oj! filut dziewczyna... no! toć trzebaby o tém pomyśléć zawczasu, żeby nie było kłopotu... ale kogoby tu? Nie oddam, jak za obywatela; była kształconą nie dla urzędnika!

Pan rewizor rozgłosił po mieście w wielkim sekrecie życzenia córki i żony, a że panna Laura posiadała dwie kamienice i gotówkę, znalazł się jakiś zszargany dziedzic, który zabrał majątek, spłacił swoje długi, przegrał gotówkę w karty, a w dodatku dozgonnemi pęty połączył się z panną Laurą, powtarzając jéj codzień: »każde gryzipiórko chce się wedrzéć pomiędzy rodziny obywatelskie.«

VII

Siedm było cudów świata, więc i ja tylko na cześć siódmego cudu dorabiam ten ustęp, bo jestem okropnie śpiący... Chciałem wam dać poznać, że gdzie wychowania dziecka nie zaczną od pacierza, gdzie rodzice nie mają rozsądku, tam szczególnym tylko trafem kobiéta może odpowiedziéć swojemu powołaniu.

Ale! po trzykroć ale!... zapomniałem o pannie Ninie!... biedaczka cierpiała, bo ani książę ani hrabia nie zjawił się z prośbą o rękę, dlatego że pan Pychałkiewicz, jéj

papa, nadszarpał znacznie majątku. Drobna to okoliczność, ale fatalna!... Za lada kogo nie chciała iść za mąż, i dopiero gdy do cierpień jéj moralnych przyłączyło się kłucie w piersiach, niebezpieczniejsze niż pod piersiami, wyszła za mąż za jakiegoś starego, ale bogatego pana, który na biletach wizytowych podpisywał się: *le Colonel en retraite*, i przypominała mu czasy wojskowe, trzymając adjutantów przy sobie.

Ale już słońce wschodzi, więc moja gwiazda prowadzi mnie do łóżka, w którém może znowu przyśni mi się co podobnego.

Ω

REBUS N° 5.



KORRESPONDENCJA
SZPARGAŁÓW WIOSENNYCH.

Odkąd w polu piśmienniczém
Zjawiły się Wolne Żarty,
Wnet, jak gdybyś klasnął biczem
I ze smyczy puścił charty,
Tak sypnęła się zażarcie,
Garstka braci z piórem w dłoni,
A każdy na *świstka* karcie,
Pieśń ochoczą wam zadzwoni!
. . . .
Ja téż nie żywię się sianem!
Nie mam, jak mops, nos zadarty...
I ja pragnę być *bocianem*,
Bom polubił *Wolne Żarty*.
I oto na pierwsze danie,
Przyjmcie pismo co w niedoli,
Jeden z braci naszych, panie,
Kreślił z żalu czy swawoli.
Był to jakiś chłopiec żwawy,
Żył wesoło, robił długi;
Więc wam składam dla zabawy,
Jego spowiedź na usługi.
Pisze on do brata swego,
I uskarża się, że *goły!*...
Ale co tam wam do tego?
Dosyć że zdrów i wesoły!
A że list ów z kilku ćwiartek,
Ze sto wierszy ma w prologu....

Więc opuścim parę kartek,
I zaczniem od epilogu.

. . . .

Poddasze 29 Czerwca 18... roku.

. . . .

»Czy pamiętasz luby bracie,
»Szkolne lata i wakacje?...
»Czy pamiętasz radość, szał,
»Gdyś egzamin dobrze zdał,
»I obsypan pochwał krocią,
»Lub do wyższych klass promocją....
»Jak pod wieńcem sławy stał?
»Ach! ja często o tém marzę,
»Często wzdycham, często gwarzę!
»Dziś to właśnie ten dzień drogi,
»W którym niegdyś szkolne progi
»Opuszczając z łzą pociechy,
»Do rodzinnéj biegłem strzechy!
»Czemuż teraz ten dzień głośny,
»Tak mi smutny, tak nieznośny?
„Bo w téj chwili, gdy to piszę,
»I o tobie myślę, bracie,
»Jakiś głos za progiem słyszę!...
»Ktoś tam woła o zapłacie
»Za frak czarny, palto białe,
»Za kapelusz mój składany,
»I za etcetera całe...
»Nawet jeden głosik znany
»Coś tam gada o procencie,
»Żem dał słowo, przyrzekł święcie,
»Że dziś właśnie termin płacić...
»A! tu głowę trzeba stracić!!

. . . .

. . . .

»Otóż tobie *Piotra Pawła!*
»Niegdyś dzień ten tak lubiłem,
«Tak go święcie obchodziłem,
»Z biciem serca go czekałem,
»Łzą radości go witałem,
»Słodko wspomnieć *Piotra Pawła!*
„Dziś, wolałbym święto *Gawła*,
»Bo ten mniéj jest znamienity....
»Nie odznacza się jarmarkiem...
»Nikt nie złoży ci twe kwity...
»Nikt nie stanie ci nad karkiem...
»Żaden lichwiarz w tym dniu cichym
»Nie postąpi na twój próg,
»I nie rzeknie z chytrym śmiechem:...
»Dziś jest jarmark, zapłać dług«! —

. . . .

Na tém przerwę, bom uparty,
I nie skończę za nic w świecie...
— Ale... to są *Wolne żarty!...*
Wnet przylecę, gdy wezwiecie!

Klekot przelotny.

PAN NACZELNIK Ner 2gi

(pomysłu P. Leona Kunickiego).



Nie płaci gdy przegra, ale bierze gdy wygra.

FRASZKI

NOWE ALE ZDROWE — I STARE ALE JARE.

Ja: No i cóż, Jontku? jakże tam poszła u Wójta sprawa z Grzesiem?

Jontek: A no jusci wygrałem, abo co? tylo ze kazali cekać, bo mi jesce na skońcenie mają dać dwanaście plag!

Jakiś uczeń zapytany: — co to jest dusza? — odpowiedział: — »Pani Professorowa!« — A gdy na tak dziwną odpowiedź zażądano, żeby się wytłómaczył, dlaczegoby tak sądził? — »A jakże! — rzekł — toż Pan Professor zawsze mówi do Pani Professorowéj: — proszę cię, duszo, nie wydawaj tyle pieniędzy!

MŁYN.

Świat jest młyn, a wy ziarno; czas do kosza sypie,
Ziemia z mąki barszcz kisi, a robactwo chlipie.

TERMIN.

Dawno już jakiś Chiński filozof powiedział,
O co u nas niejeden nie dbał, choć i wiedział:
Że lepiéj rok na termin przeczekać na ławie,
Niż się stawić w pięć minut, kiedy już po sprawie.

Termin, to bicz żydowski, który chłoszcze szlachtę:
Chybisz kilka, nakoniec zabiorą cię w płachtę!

— Proszę pani, czyj to portret? — zapytał parafianin Warszawianki, wskazując na duży obraz olejny.

— To Kleopatra; — odpowiedziała Warszawianka.

— Kleopatra?! Cóż to za jedna?...

— Ciocia mojéj Cioci....

— A!... to elegantka!...

— Czy prawda, że w przysłowiach jest żywa mądrość narodów?

— Fałsz najczystszy! —

— A to dla czego?

— Bo mówią: *Wodę gotuj, woda będzie; — Kto smaruje ten jedzie; — Znać pana po cholewach;* gdy tymczasem wodę gotować, to się ulotni w parę; — Kto smaruje, ten stoi; — a panowie w kamaszach, nie w butach chodzą.

Mały panicz uderzył swoją guwernantkę w twarz. Arystokratyczna jego matka widząc to, zawołała: — *Eh, mon fils! tou jours dela main gauche! vous êtes done incorrigible!* (I cóż, mój synu, znowu lewą ręką? ty się, widzę, nigdy nie poprawisz!)

Żyd krawiec robiąc na wsi w pewnym dworze, żonie swojéj, mieszkającéj w pobliskiém miasteczku, przez sąsiada Icka posłał 15 groszy i serek, poczém o utrzymanie żony i dzieci spokojny, w tydzień dopiéro wraca do rodzinnéj zagrody, gdzie w miejsce czułych powitań żona spotyka go z krzykiem: — »Adera ty! szwarc jur! jagieś ti móg mnie tu z żieczmi zostawicz psies półtora niedzieli psies kawałek chleba i psies grosia pieniądzów?«

— Ny! jakto? psiecie ja czebie posłałem psies Icka pietnaszcze grosiów i syrka!

— Jagie pietnaszcze grosiów? jakiego syrek?

— Nu! to ja ide do Icka i z nim bede szę rozmówicz!

Jakoż poszedł do swego rzetelnego posłańca, z którym następująca odbyła się rozmowa:

— Iciek! gdzięsz podżał syrek, com czi go dał dla mojego żony i żieczów?

— Ny! zjadłem mu!

— A pietnaszcze grosiów?

— A mnie za drogie co? haste gewidziołt!

— Dzień dobry jéjmości.

— Dzień dobry, przez urazy, dziękuję za grzeczność.

— A mężulko czy zdrów?

— Już Bogu dzięka dwa lata, jak umarł.

— Doprawdy?! a cóż mu to było?

— Doktorzy mówili, że na godzinę przed śmiercią życie na apoplexję ukończył.

— Jakże tam z twoim panem? — zapytał służący swojego kolegi. — Najwyborniéj odrzekł zapytany — zu-

pełnie jak brat z bratem. Każdego poranku wzajemnie trzepiemy swoje suknie, z tą tylko różnicą, że ja mam swoją na grzbiecie, a pańska wisi na kołku.

Do jednego z aptekarzy miejscowych, sprowadzającego różne zagraniczne kosmetyki, pachnidła i środki lekarskie, przychodziła często pewna dama z żądaniem coraz to nowego proszku do zębów, oświadczając, iż poprzedni okazał się bezskutecznym. Wyczerpawszy wszystkie rodzaje podobnych specyfików, aptekarz dostrzegł przypadkiem, że owa dama ma tylko kilka zębów od przodu, i to, jak się zdawało, wprawianych; z najzimniejszą więc krwią rzekł do niéj: — »Pani szukasz zapewne nasienia na zęby, a my tego nie sprowadzamy.«

Wdowiec mówiąc raz z zapałem o nieboszczce swojéj żonie: zawołał: — Tylko nadzieja ujrzenia jéj na tamtym świecie, utrzymuje mnie przy życiu!» —

SPRZEDAŻ SKÓREK.

Wiadomo, że pan Mateusz jest nadzwyczaj przemyślny obywatel, który umie obywać się bez zwykłych form narzuconych przez krępującą dobry humor przyzwoitość. — Otóż zdarzyło się, że owce w jego okolicy zdychały i wszędzie było wielkie mnóstwo skór do sprzedania. Pan Mateusz zapraszał na nie niejednego kupca, ale jakoś nie przychodziło do zgody; trzeba było uciec się do fortelu. Razu jednego, w piątek po południu, przyszedł żydzina z pobliskiego miasteczka i zapytał się o skórki.

— A czy kupisz? zapytał pan Mateusz.

— Ny — co nimam kupicz? —

Pan Mateusz zwołał ludzi i kazał wszystkie skóry znieść ze strychu na podwórze.

Żyd obejrzał, i zdjąwszy jarmułkę, przystąpił do siedzącego w ganku pana Mateusza.

— A co jaśnie panie mam dacz?

— Dasz dziesięć złotych za każdą skórę.

— Ny — na co jaśnie pan kpi z biednego zidka — to i połowy nie warte.

— Ani grosza nie opuszczę.

— Ny — rubelke — ostatnie cenę.

— Nie przyprowadzaj mnie do niecierpliwości!

— Kiedy nie — to ja się kłaniam jaśnie panu — ja więcéj nie dam.

— A ty łapserdaku! krzyknął pan Mateusz.—cóż to?— czy ja dla ciebie mam ludzi, żeby mitrężyli i znosili ci skórki do obejrzenia? — Ja ludzi drogo płacę! Hej Mikołaju — powiesić skóry na płocie i przywiązać żyda do płotu — niech ich pilnuje do niedzieli! W niedzielę ludzie będą mieli czas, to skóry na strych wyniosą.

— Wolne żarty — jaśnie panie, — wybąknął struchlały żydzina, cofając się ku bramie.

— Będziesz widział, czy to wolne żarty? Mikołaj! — zrobić co powiedziałem.

— Aj! waj! na mnie szabas! — krzyczał żyd prowadzony do płotu.

— Co mi tam do twego szabasu — powiedziałeś, że kupisz skórki — kupuj!

— Rubelke — jęknął żyd przywiązany do płotu.

— Mało.

— Siedm złotych!

— Mało.

— Jaśnie panie! siedm i pół złotek.

— Mało.

— Jaśnie panie — żone, żieczi — szabas!

— Niech cię djabeł bierze z żoną i dziećmi!

— Ośm złotych!

— Mało.

— Aj! waj! — ośm i pół złotek!

— Mało.

— Jaśnie Panie — więcéj nikt nie da!

— Obaczysz jak popilnujesz do niedzieli.

— Ny — jaśnie panie! dziewięć złotych!

— A płacisz zaraz?

— Płacę.

Pan Mateusz kazał odwiązać drżącego od strachu żyda policzył kredą należność — żyd wytrząsł wszystkie torebki i ledwie wypłacił się.

— Mikołaju — zaprządz cztery konie do powozu, i odwieść pana Jankla do miasteczka!

— Na co z takim paradem, jaśnie panie?

— Na to, żebyś wiedział kpie, jak to dobrze z takim panem jak ja żartować! —

SZTUKI PIĘKNE.

Uczyliśmy się kiedyś z estetyki Euzebjusza Słowackiego, że *sztuki piękne* są: poezya, muzyka, malarstwo, snycerstwo i architektura. Są i dzisiaj jeszcze niektórzy amatorowie starzyzny, co się z taką mądrością w bakalarniach popisują. Ale nowi, zupełnie w duchu spółczesnym nauczający estetycy, śmieją się z mniemanéj *piękności* owych sztuk, a wystawiają nieznaną starożytnym piękność sztuk zupełnie innych, które dzielą na niższe i wyższe. Z dzisiejszych tedy sztuk pięknych, sztuki niższe są: sztuka mięsa, sztuka drobiu, sztuka bydła, sztuka płótna, sztuka drzewa i t. p. Sztuki zaś wyższe są: 1. sztuka przewracania koziołków w pańskich progach; 2. Sztuka szybkiego robienia majątku z niczego; 3. Sztuka zamydlania ludziom oczów; 4. Sztuka zaciągania długów, wydawania dziesięć razy więcéj jak się zarabia; 5. Sztuka żenienia się z posagiem; 6. Stuka robienia karyery; zresztą 7. Sztuka bankrutowania. — Co się zaś tyczy *sztuki podobania się* i sztuki *zwodzenia kobiet*, to niegdyś tak popularne, już dzisiaj także uważają się za anachronizm. Bo w naszych czasach nikt się już nie stara nikomu *podobać*, ale z niego korzystać; co do kobiét zwłaszcza, téj niepotrzebnéj subiekcji nikt

sobie nie zadaje. A co do *zwodzenia* kobiét, to próżna fatyga; bo my, przy dzisiejszych naszych paniach, jesteśmy tak głupi i tak ubodzy w osobiste środki zwodzenia, że chyba ta tylko da się zwieść, która zwiedzioną być pragnie. Już dzisiaj o szlochach, lamentach, spazmach, zamknięciach się w klasztorze, o truciznach, sztyletach i tym podobnych dramatycznych perypecjach miłosnego zawodu, ani słychu! Miłość ślepa, szalona, *nieostrożna*, stała się udziałem samych tylko studentów i niedawnych pensjonarek; jéj miejsce zajęło u kobiet tak zwane *przekonanie*, a u mężczyzn *dobry interes*. Słowem, zawiązywanie wszelkich stosunków, bądź *stałych* bądź *niestałych*, między ścigającemi się płciami, wykreślone zostało z rzędu *pięknych sztuk*, a przeszło w sferę ścisłych umiejętności i opiera się na arytmetyce, perspektywie i finansach.

Piszą nam z Krakowa, iż ponieważ Towarzystwo niemieckie oświetlania miast gazem, nie odpowiedziało oczekiwaniu i latarnie palą się ciemno, niemal gorzéj aniżeli dawne lampy Arganckie, przeto magistrat tamtejszy, chcąc publiczności ułatwić przebywanie błotnistych ulic, wydał postanowienie, ażeby przy każdéj latarni gazowéj umieścić świecę stearynową. Że zaś świece te z fabryki krakowskiéj są tak nieumiejętnie zrobione, iż potrzebują szczypców do objaśniania, przeto przy każdéj latarni wisieć będzie para szczypców na sznurku, ażeby ją sobie każdy wedle potrzeby objaśniał.

Kiedy Albinosy byli w modzie, każdy biegł do Szwajcarskiéj Doliny, ażeby zobaczyć to dziwo natury; komu zaś kassa nie pozwalała na ucieszenie się tym experymentem zoologicznym, studjował afisze po rogach ulic porozlepiane. Niejeden Dandy, wyczerpawszy do dna portmonetkę na uciechy karnawałowe, makagigi i t. p. rozkosze, z zazdrością spoglądał na szczęśliwego Niemca, pobierającego wzorem swych rodaków kontrybucję obfitą z mieszkańców Warszawy. Niejedno bożyszcze salonowe, ogołocone z funduszów, z chęciąby zostało Albinosem, byle tylko łatwo zbierać dwuzłotówki, lecz skąpa natura, chociaż niektórych opatrzyła rzęsistą bląd strzechą, nie dała jednak różowych oczu, a bez nich trudno za Albinosa uchodzić. Otóż idąc w pomoc téj użytecznéj części mieszkańców stolicy, podajemy najpraktyczniéjszy sposób dokonania metamorfozy i zostania Albinosem.

Upatrzywszy sobie stosowne miejsce nieco górzyste, jak np. u nas na Dynasach, wykopuje się jamę na 18 do 24 stóp głęboką, podobnie jak to owi ludzie czynią w swojéj ojczyznie. W niéj należy przebywać ciągle przez lat 4, wychodząc tylko ciemnemi nocami za żerem i zdobyczą — następnie żywić się surowemi, a co skuteczniéj żywemi rybami, a nos trzykrotnie na dzień proszkowaną krédą pocierać, iżby nabył potrzebnéj białości (albi nos). Wtedy cera jego stanie się *tak białą, że żaden malarz białości jéj pędzlem oddać nie potrafi*, będzie podziwem całego świata, a źrenice ich staną się różowe, jak u królików. Gdyby zaś pomimo ścisłego depełnienia powyższych przepisów, experyment się nie udał, przypisać to należy nie niedokładności informacji, ale złéj naturze Dandysa, do niczego już, a nawet do zostania Albinosem nieprzydatnéj.

Badacze starożytnych dziejów dowodzą, że wiek długi Matuzala pochodził z osobliwéj dyetetyki, jaką przez całe życie zachował. Miał on bowiem jadać jeno ostrygi, rzęsisto popijając szampańskiém winem. — Kto się o prawdzie tego podania przekonać pragnie, niechaj odwiedza codziennie handel pana N. przy ulicy...., gdzie obu tych artykułów w najlepszym gatunku dostać można.

Uprasza się handlujących kosztownościami, jako to: jubilerów, złotników, zegarmistrzy i t. p., ażeby w gablotkach biżuteryi i klejnotów nie wystawiali; wszak modlimy się codziennie »i nie wódź nas na pokuszenie!«— tymczasem podobne drażnienie wzroku i serca jest najoczywistszą pokusą. Któż bowiem, od natury opatrzony długiemi palcami, nie zostanie zmuszony do sięgnięcia ręką po cudze dobro? — I jakiż stąd rezultat? Skutkiem zabiegów około zgromadzenia stosownéj artyleryi do zrobienia breszy w gablotce, zabezpieczenia się od schwytania przez właścicieli, obmyślenia ucieczki i sprzedaży niezawsze bezpiecznéj, — w złym obrócie rzeczy można się dostać na ratusz, a nawet być zmuszonym do odległych wędrówek: — poszkodowany zaś naraża się nietylko na utratę swéj własności, ale nawet na zniszczenie znacznéj ilości obówia, zanim ją odzyskać lub na zawsze utracić zdoła.

NIECH PAPA TERAZ GRA ATU!!!

(podług pomysłu p. Leona Kunickiego).



KWESTJE ŻYWOTNE.

1. Jakie jest podobieństwo pomiędzy człowiekiem pijanym, a głupim?

(Pijanemu się zdaje, że każdy jest pijanym, — głupiemu że każdy jest głupim).

2. Którzy z Akademików wychodzą *na ludzi?*

(Ci co kończą kurs medycyny).

3. Gdzie znaleść można najnowsze i najlepsze zasady wychowania młodzieży?

(W tegorocznym kalendarzu popularno-ziemiańskim, w artykule pod napisem: Chów bydła rogatego).

4. Kto może głową przebijać mury?

(Ten, co ma czoło miedziane).

5. Kto Izraelitów nauczył spekulować zbożem?

(Ich przodek Józef w Egipcie).

6. Kto w wista byłby zawsze wygranym?

(Młode panienki, bo zwykle miewają piękne kolory).

7. A kto musi przegrywać?

(Aptekarze, bo nigdy dobrych maści nie mają).

8. Jaką powinna być nędza?

(Powinna błyszczéć, żeby ludziom się zdawało, iż jeszcze na coś przydać się może).

9. Czém żony najpewniéj mężów przywiązać mogą do siebie?

(Sznurkiem, i to złotym).

10. Jakie wino jest najlepsze?

(Cudze).

11. Kto jest najlepszym szewcem?

(Kto drugim bez miary buty szyje).

12. Jaki język każdemu jest dobrze znany?

(Kobiety).

13. Na czém żydzi grają, kiedy się im podoba?

(Na cymbałach).

14. Jaka jest największa zaleta Turków?

(Cierpliwość, bo mogą żyć z dziesięcioma żonami, gdy nam często i z jedną trudno).

15. Jaka jest różnica między myśliwym, a doktorem?

(Ta, że pierwszy zabija prochem, a drugi proszkiem).

16. Jaka jest różnica pomiędzy panem...., a osłem?

(Ta, że osioł ma dwa uszy, a nie ma rogów, — zaś pan.... nie ma uszów, bo nie słyszy co mówią o jego żonie, ale za to ma rogi).

17. Jaka jest różnica między psem, a oszczercą?

(Ta, że pies szczeka w oczy, a oszczerca za oczy).

18. Jaka jest różnica między Niemcem, a rośliną?

(Każda roślina potrzebuje pewnego klimatu, a Niemiec w każdym klimacie się przyjmuje).

19. Jaka fabryka największe u nas może miéć powodzenie?

(Papiernia, bo gałganów mamy pod dostatkiem).

20. Kto u nas najpodobniejszy jest do Francuzów?

(Urzędnicy, bo zwykle inaczéj mówią, a inaczéj piszą).

REBUS N° 6.



WUJASZEK CAŁEGO ŚWIATA

(*Na ucho Czytelnikom*).



I otóż staję znowu przed Wami, mili Czytelnicy, starszy blisko półrokiem, a więc i rozumniejszy i nowemi wzbogacony wiadomościami, — bo choć łysiną już Wam od dawna przyświecam, przecieć nie tajno nikomu, że do grobowéj deski człowiek się uczy i mądrzeje. Dużo rzeczy mógłbym Wam powiedziéć w sekrecie, gdyż wiem, że dyskretności Waszéj śmiało mogę zaufać, — ale zła to polityka, od razu wytrząsnąć cały zapas swych nowin: wolęć przeto niektóre z nich zachować na późniéj, a dzisiaj podzielić się z Wami kilkoma tylko kwestjami żywotnemi, które pod tą i innemi rubrykami przez **Bocianów** naszych w niniejszych **Szpargałach** zostały pominięte:

Otóż przyznam się państwu, że wszystkie najłagodniejsze nawet napomnienia, zwrócone do Warzawskich właścicieli, *alias* kamieniczników, na nic się nie przydały, i że ci panowie w bieżącym także roku z podwojonym zapałem broją swoje na coraz większą skalę. Mnóstwo mieszkańców przychodzi do mnie z użaleniem i prośbami o radę. Jeden z nich, wprowadziwszy się przed trzema laty do mieszkanka, złożonego z trzech pokoików, wraz z przedpokojem i śpiżarką — po dawniejszym lokatorze, który opłacał tamże komornego pięćdziesiąt dukatów — w przeciągu tego czasu powoli i stopniowo wywindowany został na podwójne myto tysiąca ośmiuset złotych: dziś nowo-nabywca téj staréj jak świat kamienicy, wywiesił kartę na *pięć salonów*, za które nie zawstydził się żądać dwóch tysięcy siedmiuset złotych! widać, że ci ichmoście zbyt literalnie tłómaczą sobie dziesięcioro Bożego przykazania, i lichwy, ani zdzierstwa pod przepisy ich nie podciągają. *Beatus ille, qui tenet!* to znaczy: głupi, kto daje, — ale mądry, przemądry ten, kto bierze! Jakiś drugi znowu, pan — — wprawdzie nie z panów, ale z cudzéj krwie, wystawił gmach, podobny raczéj do miasta, niż do domu, — za każdy w nim kącik każe sobie płacić na wagę brylantów czeskie szyby, któremi niecnota front swój przyozdobił. Zapytacie mnie może: — jakaż na to rada? A ja wam niestety! zmuszony jestem odpowiedziéć, że nie masz innéj, nad silne i gwałtowne parcie opinii publicznéj. Z nałogowemi lichwiarzami przed kilkoma już laty poradzono sobie, i ten głos powszechnéj opinji, potężnie wsparty czystą ręką sprawiedliwości, kilku z nich już, jeśli nie z kraju, tedy z miasta przynajmniéj wyświecił. Potrzeba więc tylko energii, jedności i wytrwałości, by zwalczyć także koalicję niesumiennych właścicieli. Wprawdzie być może, iż zanim takie zwycięztwo zostanie odniesioném, nieszczęśliwi lokatorowie i piękne lokatorki pomrą z głodu: — ale to właśnie najsroższą byłoby zemstą na gospodarzy! Niech wówczas puste swoje lokale wynajmują.... nieboszczykom, albo ich *pukającym* duchom!! *Quod bonum, felix, faustumque sit!*

Zapewne państwu wiadomo, że przed niedawnym czasem Towarzystwo Przyjaciół Nauk w W. Księstwie Poznańskiém, wyznaczyło 30 talarów nagrody za napisanie najlepszéj satyry na gry hazardowne. Otóż i ten szlachetny pomysł nie na wiele co jeszcze się przydał, a zielony stolik, lancuś, sztosik, faraon, w żadnym może kraju europejskim tylu nie liczą zwolenników, co w naszéj kochanéj Polsce. Zacząwszy od najniższéj klassy, przechodząc przez cały szereg dwutysiącznych biuralistów, aż do baronów, hrabiów i t. d. i t. d., wszystko gra w karty, wszyscy w nich jedynie upatrują godne siebie zajęcie, słowem wszyscy przepadają za obrazkami. Na żadnym balu, na żadnéj zabawie, na któréj znajduje się kilku przynajmniéj mężczyzn, nie obejdzie się bez kart: — zaledwie się przywitają, zaledwie powiedzą sobie nawzajem kilka kłamliwych grzeczności, natychmiast formują się w gruppy i zawiązują rozmowę — — o czém? o gospodarstwie? — gdzie tam! — — o przedmiotach naukowych? — niech Bóg broni! — — może co ciekawego z gazet? — Cóż znowu? — Jednak musi to być coś ważnego, bo i wczoraj na przykład, na wieczorze u jednéj z moich siostrzenic, jakiś łysy jegomość z dużym czerwonym nosem rozprawiał z takim zapałem, wszyscy obecni słuchali go z takiém zajęciem, że i ja się przysunąłem, chcąc się czegoś nauczyć. — »Moi panowie! — mówił — nie potrzebuję wam powiedziéć, jaki to lis z naszego Iksa! a jednak, mociumdzieju, wpadł onegdąj w łapkę. Grał dziesięć *kier*; natural-

nie, że sprawdzamy, byłem na ręku, ale jak Boga kocham! nie widziałem u niego żadnéj karty, — ta bestyja tak je jakoś składa, żeby ci nawet oko ostrowidzą, mociumdzieju, nie pomogło! Ale jako nie fryc wychodzę mu od trzech maleńkich *pików* w siódemkę; mój Iks kładzie *asa*, a Fortunat łup! małą kierką. Fortunat licytował do siedmiu *kar*, wychodzi w króla, a ja buch! ósemką *kierową* asa *blank;* odpowiadam *pik*, Fortunat chlust! *newką atutową* króla, i tak mociumdzieju, od wasana do wasana, wpakowaliśmy starego *bez trzech!*« — Cóż na to powiecie? śmiech ogólny! — »Po preferansiku,« — ciągnął daléj Kapitaś (tak go przynajmniéj wszyscy mianowali), »zaczęliśmy maleńkiego lancusia, — tak sobie dla zabawki, po 3 grosze, bo jak Boga kocham! mociumdzieju, nie gram nigdy dla interesu. Ale karta szła mi szalenie! dostaję bank: — z trojaczka zrobiła się złotówka, ze złotówki rubelek, potém *pecyk*... dwa... następnie cztery... bili wszystko! Ja, mociumdzieju, delikatna materja! nie chciałem ich zgrywać, nie ściągnąłem ani grosza z banku, dotrzymałem wszystko. I cóż na to panowie powiecie, ze puściłem wszystkich bez grosza!? — Żal mi ich, mociumdzieju było, jak Boga kocham! żal, bo to wszystko przegrali ludzie mający familje! — a najbardziéj tego biedaka Kazia! — może jego dzieciaki dzisiaj nic nie jadły! — oddałbym mu nawet wszystkie wygrane pieniądze, mociumdzieju, jak Boga kocham! — aleby znowu grał, bo to bestyja zawzięta do gry, — a tak może się poprawi!« — Całe szanowne grono podzieliło zdanie Kapitasia, podziwiając jego bezinteresowność w grze i szlachetne postanowienie nieoddania tego, co skradł zręcznie niedoświadczonemu Kaziowi.

Tylko sza!...

WUJASZEK Z SIOSTRZEŃCEM.



S. Niechże cię uściskam, serdeczny, drogi Wujciu! już dalibóg! myślałem, że nie żyjesz!

W. Żyję, ba i bardzo! Nie teraz byłaby pora umierać! Różnych się tam rzeczy człek na świecie nasłuchał, a nie chciałbym ich przecie zatrzymać przy sobie.

S. Zupełnie tak samo, jak ja! Ach! drogi Wujciu, żebyś wiedział, jak zabawnego wypadku wczoraj byłem świadkiem!

W. Jestem ciekawy!

S. Jeden ze znajomych naszych kupców, po niedawnym powrocie z Paryża ogłosił w Kurjerku najświeższą tegoroczną modę: parasoilk z tak nazwanemi *krynolinami*. Pani *Y.*, czystej krwi Żmujdzianka, zawczoraj po raz pierwszy do Warszawy przybyła, słynąca z oszczędności, a jednak zdecydowana ubierać się *podług ostatniego gustu*, doniesieniem tém niezmiernie się ucieszyła, bo pewną była, że tanim kosztem może dogodzić swemu zachceniu. Na przedpotopowéj więc parasolce, przed siedmią laty kupionéj na jarmarku Kowieńskim, poczciwa pani *Y.* zawiesiła krynolinę swojéj czteroletniéj córeczki i tak wyszedłszy na ulicę, byłaby zaszła niezawodnie do Saskiego ogrodu, gdyby jéj z pół drogi jakiś litościwy emeryt nie zwrócił. A co tam było śmiechu między ścigającą ją z bliska gawiedzią!

W. Niechże mi teraz kto powie, że krynoliny się na nic nie przydadzą!

S. Czytałeś już, Wujciu, nowe dzieło o *Gimnastyce dla płci pięknéj?*

W. Nie czytałem, ale zdaje mi się, że to całkiem niepotrzebne!

S. Czy może dlatego, że kobiety nasze i tak już dosyć skakać umieją?

W. Skakać, jak skakać! Ale włazić na drabiny nigdybym ich nie uczył, bo one się do zbytku *pną wszędzie wysoko.*

Tylko sza!...

ŻONY PREFERANSISTÓW,

CO SIĘ PÓŹNO W NOC ZAGRALI.

(*Pomysłu p. Leona Kunickiego*).



DONIESIENIA.

W mieście *Y.* na prowincji, młoda dobrze wychowana 24-letnia **Panienka** czująca niczém niepohamowaną potrzebę wyjścia za mąż i odbycia wycieczki do Paryża, zbywa darmo: 1) ciepłe, watowane, zupełnie jeszcze nie wynoszone serduszko, które dwa razy tylko okrywało nowomodny frak pewnego bogatego eleganta; 2) śliczny, salonowy głosik, *mezzo-soprano*, dający się wybornie zastosować do czułych włoskich arji i francuzkich piosenek; 3) wielki zapas wejrzeń i uśmiechów w najlepszym gatunku, fabrycznéj roboty; 4) talijkę uroczą, osich kształtów, doprowadzoną do tego stanu nie żadnym sztucznym sposobem, lecz za pomocą ciągłego używania ciasnych gorsetów i picia wody z octem; 5) sążnisty warkocz kruczéj barwy, o którego naturalném pochodzeniu wątpić niepodobna. — Wszystkie te przedmioty wzmiankowane osoba oddaje nabywcy na zupełną *własność*, zastrzegając sobie tylko prawo stałéj używalności i czasowego wstępu dla niektórych osób bliskich jéj serca, z zastosowaniem w téj mierze postanowienia kodexu o serwitutach.

W dniu wczorajszym w jednym z domów w Warszawie, przez wyłamanie drzwi **skradziono** następujące przedmioty: jeden papieros samsonowy, dwa pióra stalowe, paczkę zapałek, półtora arkusza welinowego papieru, spinkę bronzową, pięć guzików ołowianych, piórko do zębów, świecę łojową, igłę z czarną nitką i kij do poprawiania w piecu. Poszkodowany ostrzega, iżby nikt tych przedmiotów nie nabywał, gdyż w razie przeciwnym sam sobie winę przypisze; kto zaś wykryje sprawców kradzieży, lub same przedmioty skradzione odniesie, otrzyma w nagrodę bilet prenumeracyjny na 7-aktową komedję konkursową.

Z powodu dłuższego pobytu za granicą, jest do sprzedania **Pszenica** z urodzajów dwóch lat następnych. Wiadomość u faktora Moszki, który jest również upoważnionym do przyjmowania kapitalików, na ewikcję intrat z dóbr, zastawionych już prze dwoma laty.

W handlu wiktuałów na rogu ulicy Wygoń, dostać moża **Pudretu** i **Kitajki angielskiéj** w znacznych partjach. Tamże potrzebują panien do szydełkowéj roboty i mamek z świeżym pokarmem.

Sprzedaż *en gros* **Rękopismów** znakomitych Autorów, urządzoną została w straganie za Żelazną Bramą u pani Marcinowéj, gdzie również dostać można starego masła i powideł.

Officjalista, który przez lat 25 wiernie pełnił obowiązki prywatne u miejscowego arendarza, umiejący przytém (wprawdzie nie bardzo czytelnie) imię i nazwisko swoje podpisać, pragnie dla polepszenia losu otrzymać miejsce konserwatora przy jakiéj bibliotece prywatnéj, przyczém zapewnia, że dla tém lepszéj konserwacji książek, nigdy dotykać się ich nie będzie.

Kantor komissowy wydoskonalonych podług najnowszego gustu **Krynolin**, ma honor zawiadomić *bardzo interessowane damy*, iż nadszedł świeży transport krynolin letnich, wązkich, zajmujących tylko $\frac{1}{3}$ część szerokiéj środkowéj Alei w Saskim ogrodie. Ceny przystępne; — materjał z prawdziwéj trzciny hiszpańskiéj, przyda się zarazem jako narzędzie na niegodziwych mężów, którzyby żonom swoim krynolin kupić nie chcieli.

ROMEO I JULJA

(*Albinos i Albinoska*).



Para z Doliny Szwajcarskiéj, największe sprawiająca wrażenie.

SKRZYNKA DO LISTÓW.

Panu Now. w W.: — Projektowany rysunek, dla proponowanéj w nim zmiany *rużu i blanszu* na kolor sinobury, w drzeworycie wykonać się nie da. — — *Echu Bocianiemu z nad Neru:* — Słodkich wspomnień o *Frani* zazdrościmy, ale ich drukować nie można. *Swary Bocianie* zbyt krzykliwe. — — *Bocianowi bez nogi w Gr.*: — Najuprzejmiéj prosimy nie ustawać w dalszych klekotach, które zawsze z prawdziwą wdzięcznością są przyjmowane. — — *Panu Busiełasowi*: — Chcąc »zbłąkaną żabkę powrócić na drogę cnoty,« nie można jéj przecie zbyt jawnie wytykać palcami. — — *Panu B... o w Bylinach*: — Odpowiedź na swój list znajdzie Szan: Korrespondent w niniejszych **Szpargałach** — — *Panu Ap. R. w Czerniejowie*: — Szczerześmy wdzięczni za sympatję. — — *Panu M. w Nikisiołce*: — Żądaniu uczyniono zadosyć. — — *Panu F. J. w Ostrogu*: — Gdzie mówią fakta, rzecz sama się wyjaśnia. — — *Panu M. M. M. z Lublina*: — Po wygładzeniu, może się to na co i przyda; prosimy o dalsze próbki. — — *Bocianowi z nad Prosny*:—Niektóre drobiazgi wcale niezłe; użytek z nich w swoim czasie się zrobi. — — *Pisklęciu z zadartym noskiem*: — Na ów lepszy żarcik czekamy. — — *Bocianowi domowemu*: — Na teraz ujdzie i może się zużytkować; w przyszłości prosimy o czytelniejszy rękopism, bo i nam oczy potrzebne. — — *Adoratorowi W. Ż.*: — Daj Boże, jak najrychléj wzajemną adoracją wywdzięczyć się. — — *Bocianowi z ponad Warty*: — Ody i epopei dla osobistości nie zamieszczamy wprawdzie, lecz inne utwory przyjmiemy jak najchętniéj. — — *Panu J. G. w Zborowie*: — Rzecz już załatwiona.——*Panu A. R. w Kaliszu*:—Kwestja dziś już zapewne niewątpliwa.— — *Panu F.*: — W Kupidynka już się oddawna nie bawimy. — — *Panu Leonowi B. R. na Podolu*: — Manuskryptem: *O pożyczających cudze książki*, Autor każdéj chwili może rozporządzić. — — *Panu Nibasowi*: —Jak najmocniéj o dalsze prace upraszamy.

Rozwiązanie Rebusów zamieszczonych w **Noworoczniku Wolnych Żartów**, *zebranym przez* **Bocianów Polskich**. — *Rebus Nr. 1*: — *(Na) U porter — as Ban — A (w) et — i (na) dal — któż — lekarstwo — (skute) cz — Newy — śledź — i. — Na upór teraz, ba nawet i nadal, któż lekarstwo skuteczne wyśledzi?* — — **Rebus Nr. 2**: — *Kto (idzie) — krzywe mi — droga — mi — (tonie) ma — prawa (w niebie) — (po pas) ać. — Kto idzie krzywemi drogami, to nie ma prawa w niebie popasać.* — — **Rebus Nr. 3**: — *Pies przywiązany (je z) tlu — bon (je) przywiązany człowiek — (w) T dyby — (w) A przywią (z) A — nyk (ie) — dynie (przy) wią — (z) a ny. — Pies przywiązany jest, lubo nieprzywiązany; człowiek wtedy bywa przywiązany, kiedy nie przywiązany.* — — **Rebus Nr. 4**: — *Skor — osie — (za) lot na — baba — roz — bryka — (nad) ar M (niesie) (w) Y si la — mąż (na) U — wagi — i — po — gruszki. — Skoro się zalotna baba rozbryka, nadaremnie się wysila mąż na uwagi i pogróżki.* —